

Artur Zygmuntowicz

# GRUZJA

dla niezdecydowanych

STARS

Artur Zygmuntowicz

# **GRUZJA**

dla niezdecydowanych



Redakcja: Weronika Górską  
Konsultacja redakcyjna: Agnieszka Rachwał-Chybowska

W książce wykorzystano zdjęcia autorstwa oraz z archiwum: Emilii Małys, Celine Wasilewskiej oraz Artura Zygmunowicza. Zdjęcie autora na okładce: Nikola Mrozek.

Zdjęcie na okładce: Dominik Jirovsky on Unsplash  
Zdjęcia całostronicowe: Jairpha (str. 6 i 220), 2Photo Pots (str. 60), Alexey Okhrimenko (str. 168) on Unsplash

Copyright © by Artur Zygmuntowicz  
Copyright © for the Polish edition Wydawnictwo Stapis, Katowice 2019

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

Polska Izba Książki

prawolubni

**ISBN 978-83-7967-086-4**

Wydawnictwo STAPIS  
ul. Floriana 2a  
40-288 Katowice  
tel. +48 32 259 75 74

[www.stapis.com.pl](http://www.stapis.com.pl)

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

## **GRUZJA SŁODKA**

Przylot, fallus i szaszłyk

Kutaisi

Katedra Bagrati

Klasztor Gelati

Pierwszy wieczór w Kutaisi i parę słów o dziadowaniu

Poranny kac i rozważania o alkoholu

Droga do Batumi

Jak odzyskałem wiarę w rodaków

Pierwszy wieczór w Batumi

Wykład

Ogród botaniczny w Batumi

Drugi poranek w Batumi

Bloki i balkony

Jazz

## **GRUZJA SŁODKO-GORZKA**

Parę słów na początek i trochę na serio

Bez braw dla pilotów

Mitsubishi Delica

Jak podróżować po Gruzji?

Droga do Kazbegi

Rycerz w tygryziej skórze i hajla bajla

Pocztówkowy widok i grill Arcziego

Dolina Truso

Bakłazan na mieście i szaszłyk Arcziego

Swietłana ze Swierdłowska

W drodze powrotnej do stolicy

Na chybił trafił

Sex po gruzińsku

Azerski podryw w barze Warszawa i piwny ping-pong w barze dive

Rozdział, którego nie planowałem i który powstał bez przyjemności z pisania

Miasto, które opowiada historie

Muzeum Narodowe i polityka, przed którą trudno uciec

O przewagach Gruzji nad Polską – z opowieści Marcina

Gori – lekcja politycznej niepoprawności

Gori – ciąg dalszy

Chichot historii i rada Gamaliela

Golibroda

Protesty

Chałupka pana Bidusia

Pierwsze zarobione w Gruzji pieniądze

Po taniości

Bazar i wielka czerwona rzeźba

Trzy historie bazarowe

Motsameta, próby bycia Indianą Jonesem i déjà vu

Ćwiczenia z wyobraźni

Bibliografia

*Żonie Monice zwanej Zytą  
niniejszą opowieść dedykuję*

# GRUZJA SŁODKA

## PRZYLOT, FALLUS I SZASZŁYK

Gruzję odwiedziłem po raz pierwszy, gdy jedna z tanich linii lotniczych otworzyła połączenie z Katowic do Kutaisi. Już sama nazwa miasta, kojarząca się z pewnym słowem, wydawała mi się wystarczającą zachętą do podróży, ale o tym za chwilę. Spakowałem plecak, dwie książki o Gruzji i poleciałem.

W samolocie doznałem szoku – znacząca część podróżnych czytała *Gaumardzos* państwa Mellerów, książkę, którą i ja miałem ze sobą. Pozostali nie wyglądali na turystów i zachowywali się ordynarnie. Mimo upomnień stewardes pili alkohol kupiony na lotnisku, dyskutowali głośno, klęli i rechotali po prymitywnych kawałach. Zastanawiało mnie, dlaczego lecą do Gruzji, bo na pewno nie chodziło o zwiedzanie. Zapytałem wprost jednego z nich.

Wielki, spasiony łysol (dwa razy grubszy ode mnie, a ja patyczakiem nie jestem) stwierdził, że chętnie pogada, ale pod warunkiem, że się z nim napiję. Nie było wyjścia – wiedza kosztuje. Okazało się, że cała ekipa (dwadzieścia sześć osób, czyli trzynaście par) wybiera się do Gruzji kupować mieszkania. Na dowód tego łysol wyjął spod siedzenia torbę, w której przewoził dolary. Pierwszy raz widziałem na żywo tyle gotówki. Pokazał mi też jakieś kwity pozwalające na przewóz takich sum przez granicę. Sprawa się wyjaśniła.

Jednak wstyd to wstyd i coś musiałem zrobić, żeby oderwać się od tego, co się działo na pokładzie. Zacząłem więc dumać nad niezbyt mądrym skojarzeniem, które pojawiło się samo, gdy po raz pierwszy usłyszałem nazwę miasta Kutaisi. Kutaisi – kutas wisi. To pleonazm, taki jak „cofać się do tyłu” czy „spadać w dół”, bo w końcu kutas to coś, co wisi. Dziś słowo to uznawane jest za wulgarne, ale jeszcze niedawno kutas był chwostem, pędzlem, dzyndzlem, wisiolem, elementem ozdobnym. Pisał o kutasie Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*:

*Klucznikiem siebie tytułował,  
Iż ten urząd na zamku przed laty piastował.  
I dotąd nosił wielki pęk kluczów za pasem,  
Uwięzany na taśmie ze srebrnym kutasem.*



Ot, taki los słów. Dziś neutralne, jutro wulgarne. Lub na odwrót. Dwieście lat temu słowo „kobieta” miało negatywny wydźwięk. Słowem „kob” nazywano chlew, a „koba” znaczyło kobyła. Karmienie świń w chlewie było zajęciem żeńskim, pogardzanym. Kobieta oznaczała zatem służkę. Neutralnym słowem była „niewiasta”. Dziś po „niewieście” czy „białogłowie” śladów niewiele, dominuje słowo „kobieta”, a jeśli coś jest z nią nie tak, to zmienia się w „babę”, często z przymiotnikiem – „głupia baba”, „gruba baba” i tak dalej... Samo słowo „baba” to oddzielna historia, ale nie będę tematu ciągnął. Zainteresowanych proszę, aby przeczytali opracowanie Zygmunta Glogera. Ja wracam do Gruzji, „schodzę” z „baby”, by znów przez chwilę pobawić się „kutasem”, przepraszam – słowem „kutas”. A zostaje już tylko jedna, ale ważna kwestia dotycząca kutasa z Kutaisi. Skoro kutas to coś, co wisi, to męski organ w pełnej gotowości tym mianem nie może być określany. Zatem „Kutaisi – kutas wisi” to proste, a nawet prostackie skojarzenie ignoranta, który słabo zna własny język i któremu nie chce się sięgnąć do książek, żeby się dowiedzieć, że to miasto i ta kraina to wielka historia oraz grecka mitologia, który pijąc w mieście Kutaisi piwo Argo, zapewne nie skojarzy związku... Bo jakie skojarzenia wywołuje słowo „Gruzja” u przeciętniaka? Tak jest – schemat za schematem! Gruzja to wino, Gruzja to Tbilisi, Gruzja to „herbaciane pola Batumi”, gościnność, tamada, toasty i sympatyczny czołgista Grigorij Saakaszwili z *Czterech Pancernych i psa*. Tradycyjna gruzińska uczta, na pięć liter? Supra! Tej podstawowej, schematycznej wiedzy wystarczy akurat, żeby rozwiązać hasło z krzyżówki. Niedawno doszedł do niej konflikt z Rosją. I na tym koniec.

Oto jedna z korzyści wynikających z podróżowania: poznanie skali własnej ignorancji. Australia – kangury i opera w Sydney; Paryż – Luwr i Wieża Effela (zapis fonetyczny), nazywana niepoprawnie wieżą „Ajfla”; Moskwa – Plac Czerwony; Kreml – mauzoleum Lenina i metro; Toruń – pierniki i Kopernik. I tak dalej przez cały świat. Sam się dziwię, że mam maturę.

Myśl o maturze bardzo mnie rozbawiła, więc zaśmiałem się głośno. Siedząca obok młoda kobieta (dawniej: niewiasta, białogłowa) spojrzała na mnie zdziwiona, więc wyjaśniłem, że bawię się myślami, żeby uciec od tego, co się dzieje kilka rzędów foteli dalej. Opowiedziałem też o swoim skojarzeniu w kwestii nazwy miasta, do którego lecimy, i zostałem uspokojony, bo moja sympatyczna rozmówczyni tak samo jak ja zeswatała

kutasa z Kutaisi. Jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent Polaków. Trudno od tego uciec, nawet gdy wie się, jak stare jest to miasto i ile znaczy w historii. Mało tego – moja rozmówczyni miała tych geograficzno-seksualnych skojarzeń i zabaw słowami cały asortyment. Pierwsze – kiedyś Tbilisi nosiło nazwę Tyfilis, co rymuje się ze słowem „syfilis”. A Gruzja? To albo (często uzasadnione) skojarzenie z gruzami, albo fajna rymowanka „Gruzja, Gruzja – nasi druzja” (друзья, czyt. „druzja”, to po rosyjsku przyjaciele).

Żeby było jeszcze ciekawiej, to Gruzja (ewentualnie Georgia) jest Gruzją dla nas, ale dla Gruzinów nazywa się Sakartwelo. I jeśli chcecie im zaimponować, mówcie Sakartwelo, a nie Gruzja. Efekt murowany. Przy okazji ciekawostka – Polacy wiele gruzińskich nazw zmieniają po swojemu i tak Tbilisi staje się „Tybilisi”, z wyraźnym „y” lub „i” po pierwszej literze, klasztor Gelati (prawidłowa wymowa przez „g”) nazywają „Dżelati”, a Mccheta (wymowa prawie dokładnie według zapisu) bywa „Maczetą”. I kolejna ciekawostka – szybciej będzie Polaków poprawiać Polak mieszkający w Gruzji na stałe niż Gruzin, mający więcej wyrozumiałości. Gruziańskie luźne podejście do tych spraw objawia się w ten sposób, że niekiedy zapisują oni fonetycznie określenia zapożyczone z innych języków i tak grill bar będzie „greel barem”.

Kolejna rymowanko-skojarzanka to „gamardzoba – daj pan dzioba”, co, proszę mi przyznać, jest ze wszech miar sympatyczne, bo „gamardzoba” to zwrot używany na przywitanie, coś jak nasze „dzień dobry”. Gruzini, witając się, często całują w policzki, również mężczyźni mężczyźni, więc skojarzenie „gamardzoba – daj pan dzioba” jest cacy i na miejscu.

Moja nowa znajoma, poza słownymi, miała też bardzo dosłowne skojarzenia. Futurystyczny most-kładka w Tbilisi, ze względu na kształt zwany podpaską, budzi wesołość powszechną, a szczególną u tych, co znają Rzeszów i flagowy pomnik tego miasta, zwany „Wielką Cipą”. O większą dosłowność trudno. Człowiekiem jestem i nic, co ludzkie, nie jest mi obce.

Na koniec dodam, że nazwa waluty gruzińskiej, lari, zapisywana w skrócie GEL (*georgian lari*), pozwala nazywać gruzińskie pieniądze żelkami. Prawda, że fajnie? Piwo – trzy żelki, szaszłyk – dziesięć żelków. To bardzo osładza wydawanie pieniędzy. Ile cię ta Gruzja kosztowała? Niewiele, paczkę żelków!

Wróćmy jednak na moment do skojarzenia z kutasem (dawniejsze znaczenie słowa), czyli czymś, co wisi. Otóż w Państwowym Muzeum Historycznym w Kutaisi (ściśle centrum, przy ulicy Puszkina) można

obejrzeć pochodzącą z VIII wieku p.n.e. figurkę z brązu, z fallusem sterczącym jak się patrzy. Oficjalny, zabytkowy, niezwykle cenny kutas (współczesne znaczenie słowa) z Kutaisi, co to stoi, a nie wisi. Już słyszę głosy potępienia, że takim oto płytkim sposobem zachęcam do wizyty w muzeum, ale czemu nie? Zapewniam, że zbiory są znaczne i nie tylko figurę falliczną warto zobaczyć. Gdybym był szefem tej instytucji, to właśnie tą figurą reklamowałbym muzeum, które jest odwiedzane z rzadka i przez niewielu, a każdy żelek się przyda, chociażby na remont, bo stan muzeum pozostawia wiele do życzenia. Cena biletu – trzy żelki, czyli cztery i pół złotego.

Teraz opowiem coś na serio. Muzeum może nie imponuje stylem prezentowania ekspozycji, bo powiewa tu „późnym Gierkiem”, ale naprawdę jest tu co oglądać. Warto zostawić tutaj te kilka złotych, bo muzeum, poza wystawianiem eksponatów, zajmuje się też ich konserwacją, badaniami oraz wydawaniem pism historycznych. To, co można tu zobaczyć, stanowi jedynie część zbiorów, a i tak jest tego sporo. Od znalezisk archeologicznych z epoki brązu, poprzez ozdoby ze złota, manuskrypty gruzińskie, numizmaty, wielkie amfory do produkcji wina, aż po sakralia (wiem, że oficjalnie nie ma takiego słowa, ale może kiedyś się pojawi w słownikach) i co tam kto jeszcze sobie życzy. Nie ma co się dziwić tej obfitości, wystarczy zlokalizować na mapie gęstą sieć stanowisk archeologicznych wokół Kutaisi i sprawa staje się jasna. Na dobrą sprawę to jedno wielkie stanowisko archeologiczne. Proszę do tego dodać grubo ponad dwa tysiące lat historii miasta i okolic, a zdziwienie zniknie jak kasa z OFE i „katarski inwestor”.

Zapewniam jeszcze raz, nawet jeżeli czyjaś wiedza jest pobieżna, to nie będzie rozczarowany wizytą w muzeum. Słyszałem w jednym z kutaiskich barów, jak turyści z Polski dziwili się, że takie skarby są wystawione bez żadnego konkretnego zabezpieczenia. Nie trzeba Kwinty i Duńczyka, żeby obrobić takie miejsce, wystarczy najmniej rozgarnięty członek Gangu Olsena, który poradziłby sobie z tematem po pijaku, bez planu i z opaską na oczach – wnioski barowych dyskutantów były oczywiste. Według mnie dobrze, że turyści dyskutują na takie tematy, a nie o dupie Maryny, bo może taka dyskusja zainspiruje przynajmniej część z nich do sięgnięcia po lekturę, a przynajmniej pogrzebania w sieci. Zresztą każdy powód, który sprawi, że ktoś pójdzie do muzeum, jest dobry, nawet gapiowska ciekawość obejrzenia bezcennych skarbów wystawionych w zwykłych gablotach,

w jakich wystawiona jest drewniana masielnica po dziadku Stefanie Gąsienicy w Izbie Pamięci gminy Piździałkowo Górne. Zawsze można się pośmiać, zdziwić lub zainteresować głębiej i na serio, czy co tam komu pojawi się w głowie.

Natomiast osobom wnikliwym polecam książkę *Dawna Gruzja* Dawida Marshalla Langa. To doskonała lektura, jeśli chcemy znaleźć orientację w natłoku wrażeń, w gąszczu danych, liczb, dat, faktów, epok, dynastii i tak dalej. Kiedy z tą właśnie książką przed nosem zwiedzałem kutaiskie muzeum, bazgrząc w notatniku podróźnym, pani z obsługi (znacie zapewne te panie z muzeów – siedzą nieruchomo na zydelku w kącie i kontrolują, czy zwiedzający nie dotyka eksponatów, a życie wstępuje w nie tylko wtedy, gdy mogą zrypać zwiedzającego za niestosowne zachowanie) wyszła na chwilę z sali, zostawiając mnie sam na sam ze skarbami (ech, gdybym miał duszę Szpicbródki...). Po chwili pani wróciła z koleżanką i zaczęła z nią zawzięcie szeptać. Pewnie o tym, że gość – a byłem w tym momencie jedynym zwiedzającym – coś tam notuje, sprawdza, robi zdjęcia, więc pewnie to nie przypadkowy przechodzień. Zaraz potem pojawiła się propozycja czegoś do picia. Wyobrażacie sobie Państwo podobną sytuację w Polsce? Bo ja nie. Już przychodzi mi do głowy scena z filmu *Brunet wieczorową porą* Mistrza Barei, kiedy to Michał Roman (Krzysztof Kowalewski) zbiera ochrzan od Stasiakowej (Zofia Grabińska):

MICHAŁ ROMAN:

*No, co pani, oszalała?! No tak, ja jestem mokry, a pani wody w usta nabrała!*

STASIAKOWA:

*Paprotki muszą mieć wilgoć! A co pan tu w ogóle porabia, co pan tu, co pan tu robi? Co to jest? Pan se tu czytelnię urządził?! Co to jest? To jest muzeum, nie klubokawiarnia, proszę pana! Tu ludzie płacą za bileta, a przychodzą wycieczki całe! Co to jest, hotel?! Co to jest, proszę pana?! Każden by se tu, może pan jeszcze przylezie z wózkiem, co, co!?*

Oczywiście ktoś, kto pojawia się wcześniej zapowiedziany, dziennikarz czy pracownik naukowy z innej instytucji, w polskim muzeum na sto procent zostanie podjęty herbatą, ale wolny strzelec, który z książką w rękę próbuje coś więcej zakumać i jakoś ogarnąć ogrom historii, którą mu się aplikuje bez znieczulenia, nie ma co na to liczyć.

Zatem kolejny punkt dla Gruzji. Koniec dygresji. Tej konkretnie, bo inne będą. Wróćmy do samolotu na trasie z Katowic do Kutaisi.

Chwilę po rozważaniach o nazwie miasta, do którego lecieliśmy, moja nowa znajoma pochwaliła książkę państwa Mellerów, ponieważ opisuje ona nie tylko ulubione przez naszych rodaków sceny masakrowania wątroby, ale również element gorzki. Bo Gruzja to nie sama słodycz. Ja jednak przez najbliższe kilka dni miałem poznawać jedynie słodki smak Gruzji, zgodnie z przepowiednią nowej znajomej.

Chwilę potem przeszliśmy na „ty” i Justyna powiedziała:

– Tak czy inaczej podróże mają sens, gdy coś zmieniają w podróżujących. Dobrze by było, gdyby ci, którzy zachwycają się gruzińską gościnnością, chociaż trochę się tą gościnnością zainspirowali. Wtedy to ja rozumiem... Wiesz, o co mi chodzi... Mnie, mówiąc szczerze, to rozwała. Polacy korzystają tu z gościnności na maksa, ale gdy wracają do siebie, to sam wiesz...

– A ciebie podróżowanie zmieniło? – zapytałem.

– Cały czas mnie zmienia. Teraz lecę do narzeczonego. Sytuacja jest mocno pokręcona. Guram studiował w Polsce, poznaliśmy się na uczelni. Temat na serial... W każdym razie ja jestem ateistką i nie wyobrażałam sobie ślubu w cerkwi czy jakimkolwiek innym kościele, ale gdy poznałam przyszyłych teściów, zrozumiałam, jak bardzo to dla nich ważne i doszłam do wniosku, że odrobina hipokryzji nie zaszkodzi. Trudno, wezmę ślub w cerkwi. O dziwo, moi rodzice, na co dzień wojujący ateści, przyznali mi rację. Gdy powiedziałam o swojej decyzji Guramowi, to on, zamiast się ucieszyć, stwierdził, że nie chce nic robić na siłę. Teraz to on wojuje ze swoimi rodzicami o cywilny ślub, bo wiesz, jego ubodło, że to ja podjęłam decyzję, a nie on. Ambicja w wersji gruzińskiej to coś innego niż ambicja jako taka. A może raczej duma. Mieszanka dumy i ambicji. Mnie się wydaje, że Gruzini nawet nad tym nie panują, to jakiś odruch, który mają w genach, że to chłop ma podejmować decyzje, a jeśli nie, to nie jest chłopem. Rozwiązaniem mógłby być ślub w Polsce, ale to nie przejdzie... A jak im powiedzieć, że zamierzamy mieszkać w Warszawie? Że ich ukochany jednak będzie tak daleko? Nie wiem i trochę się boję ich reakcji. Na życie w Gruzji jednak się nie zdecyduję, bo kimś innym jest Guram w Polsce, a kimś innym jest Guram w Gruzji. Dwóch różnych ludzi. On doznaje jakiejś dziwnej przemiany natychmiast po wyjściu z samolotu, od razu staje się stuprocentowym Gruzinem. A w Polsce jest pół Gruzinem, pół

Polakiem. Tylko która wersja jest prawdziwa albo bliższa prawdzie? Nie wiem. I tak walczy rozum z sercem. Czasami ręce opadają... Zatem czy podróżowanie mnie zmieniło? Gruzja zmieniła mnie na pewno. Zrozumiałam, jak bardzo w Polsce tonimy w egoizmie i nawet tego nie widzimy... No, sama nie wiem. Po wakacjach we Włoszech zmieniłam całkowicie gust kulinarny, od Gruzinów nauczyłam się wiele – głównie tego, że można się dzielić, nawet gdy niewiele się ma, i trochę tej mojej warszawskości, jeśli wiesz, o co mi chodzi, na pewno ze mnie wyparowało.

Rozgadaliśmy się i dzięki temu podróż szybko minęła. W końcu wylądowaliśmy w słodko-gorzkiej Gruzji i, jak się później okazało, Justyna miała rację. Podczas pierwszej, kilkudniowej wizyty poznałem jedynie jej słodki smak.

Po wyjściu z samolotu pożegnałem się z Justyną, po czym poszedłem do toalety odświeżyć się, przebrać i przepakować plecak. Gdy wyszedłem przed terminal, okazało się, że autobus do centrum już odjechał. Jakiś zbłąkany taksówkarz zaproponował mi przejazd za dziesięć dolarów, a w końcu zgodził się na pięć, bo i tak wracał do miasta. Gdy zorientował się, że coś kumam po rosyjsku, poczuł chęć opowiedzenia o sobie, swojej rodzinie, polskich turystach, rosyjskich bandytach i o Renacie z Wodzisławia, która, zdaje się, mocno przyczyniła się do kreowania pozytywnego wizerunku Polski. Szczegóły tej historii pominię, ale przyznam, że fajnie się słuchało.

Kiedy taksówkarz dowiózł mnie pod hotel, stwierdził, że ma dosyć jazdy na dziś (a było dość wcześnie, tuż przed południem) i że chętnie się ze mną napije. Zgodziłem się pod warunkiem, że zrobimy maksymalnie dwie lub trzy kolejki i że ja stawiam. Kierowca z bólem serca się zgodził, ale pod warunkiem, że nie zapłacę na kurs. I tak wylądowałem w pierwszej knajpie. Starsza pani, prawdopodobnie właścicielka, podała niezwykłą, gęstą, aromatyczną zupę, chleb i kieliszki, o które poprosił mój kierowca. Następnie wyjął on z kieszeni małą butelkę z mocnym płynem i nalał po kolejce. Byłem zdziwiony, że gość pije własny alkohol w restauracji, ale co kraj, to obyczaj. Tak poznałem zupę „charczo” i „czacze” – domowy alkohol podobny do grappy, destylowany z winogronowych wyłoków. Mocny jak sto diabłów, na pewno ponad pięćdziesiąt procent. Miłośnicy bimbru, tequili, wódki i tym podobnych trunków będą nim zachwyceni, tym bardziej że każdy przyrządza go trochę inaczej. Mnie czacza nie leży, nic na to nie poradzę, jestem zadeklarowanym piwoszem i tyle.

Po pierwszej kolejce (wyraźnie chodziło o pochwalenie się własną produkcją) zamawialiśmy napoje z karty. Obyło się bez szaleństwa – taksówkarz wino, ja piwo, no, może dwa lub trzy piwa, potem szaszłyk plus zwykła sałatka z pomidorów, ogórków, cebuli oraz kolendry i było po imprezie. Żadnego legendarnego chłania na umór.

Pożegnaliśmy się, poszedłem zostawić plecak w hotelu i natychmiast ruszyłem poznawać miasto. A jest co zwiedzać w Kutaisi. Idąc w stronę katedry Bagrati, myślałem o zjedzonym przed chwilą szaszłyku. Dobrą kuchnię poznaje się po daniach prostych – kiepski kucharz schrzani zwykłego schabowego. Zjedzony przed chwilą szaszłyk był z wieprza. Mięso wcześniej macerowano, było soczyste w środku i chrupiące na wierzchu, doskonale doprawione, wyraziste, ale nie przesadnie ostre. Trzeba pewnie Anthoniego Bourdaina, żeby należycie opisać jego smak. Wiedziałem już, że kulinarna część wizyty zapowiada się rewelacyjnie.

## KUTAISI

Kutaisi ma opinię najbrzydszego miasta w Gruzji. To chyba jednak kwestia gustu, bo ja polubiłem je z miejsca. Uważam, że jakoś trzeba je oswoić, bo w końcu to baza wypadowa dla setek gości z Polski.

Zacznijmy od centrum miasta. Na środku wielkiego ronda umiejscowiono fontannę, którą fotografują wszyscy przyjezdni. Ja też polazłem pod nią z aparatem. I tu punkt dla Gruzinów. Wokół fontanny biegnie czteropasmowa (choć pasy nie są oddzielone liniami) ulica, po której jeżdżą samochody, autobusy oraz motocykle. Ruch spory, ale nikomu nie przeszkadzało to, że niejaki Zygmuntowicz stanął pośrodku jezdni i spokojnie robił zdjęcia. Kierowcy mijali mnie bez trąbienia, a policjanci życzliwie pozdrawiali machaniem, uznając, że skoro facet stoi na drodze, to widocznie musi. Proszę wyobrazić sobie podobną sytuację w Polsce. Zaczęłoby się od wielkiej ilości „kurew”, „chujów” i „skurwysynów” ze strony wściekłych kierowców, a potem albo mandat, albo śmierć pod kołami.

Wróćmy jednak do fontanny. Ozdobiona jest pomalowanymi na złoto figurami zwierząt, między którymi siedzi gospodarz uczyty z rogiem. Figury te to kopie oryginalnych złotych i brązowych figurek sprzed naszej ery, obecnie dostępnych dla zwiedzających Muzeum Narodowego w Tybilisi, przepraszam, w Tbilisi. Jak stare są oryginały, można się przekonać podczas wizyty w stolicy. Mówiąc krótko, w czasie, gdy tu kwitła już cywilizacja, na terenie obecnej Polski przeciętny Janusz wpierdział na surowo złapane gołymi rękami ryby, przegryzając dzikim szczawiem, a potem szedł spać do ziemianki. Jeśli miał fart i w nocy nie zjadły go wilki (niedźwiedzie albo inni Janusze), to następnego dnia szamał wiewiórkę ze skórą lub jeża z kolcami, po czym szczęśliwy siadał na gałęzi i w ramach rozrywki dłubał brudnym paluchem w nosie.

Fontanna to ściśle centrum. Tuż obok znajdują się: teatr, dwa muzea, park i kilka zadbanych ulic, przy których roi się od szpanerskich knajp, ale i od swojskich, klimatycznych lokali. Można stąd dojść do katedry Bagrati w dziesięć minut lub do stacji kolejki linowej, która za półtora złotego zabierze nas na drugą stronę rzeki Rioni, na wzgórze z obowiązkowym wesołym miasteczkiem i diabelskim młynem. Warto też pójść w przeciwnym kierunku niż katedra (na przykład ulicą królowej Tamary



w stronę dworca kolejowego), żeby zobaczyć mniej reprezentacyjne Kutaisi.

Mniej reprezentacyjne to mało powiedziane. Na podwórkach radosny wschodni rozpięzł, tynki się sypią, a drzwi, bramy, futryny i okiennice proszą o remont oraz odrobinę farby. Wszystko trzyma się na płataninie kabli, patentów, kawałkach blachy i byle jakich deskach połączonych według techniki rodem z czeskiej bajki *Pat i Mat*, znanej u nas pod nazwą *Sąsiedzi*. Gotowe plenery do kolejnej wersji filmu *Mad Max* albo pole do popisu dla perfekcyjnej pani Rozenek. Już ją widzę, jak wzorem Małgorzaty (tej od Bułhakowa, co śmigała na miotle) lata na mopie nad Kutaisi i czuje, że jest naprawdę potrzebna światu. Albo przynajmniej miastu Kutaisi.

Dla kontrastu na obrzeżach miasta, tuż obok drogi wylotowej w stronę lotniska mieści się budynek gruzińskiego Parlamentu, który przeniesiono tu ze stolicy teoretycznie po to, aby rozwinąć w ten sposób miasto i region. Jak widać, porąbane myślenie magiczne władzy to nie tylko polska specjalność. Budynek Parlamentu jest na wskroś nowoczesny i pasuje do reszty miasta jak świni siodło, ale kto tam władzy zabroni się bawić w śmiałe projekty? Przeszklona konstrukcja ma symbolizować przejrzystość władzy, co jest zabawne samo w sobie. Deputowanych w Gruzji jest równo stu pięćdziesięciu, co oznacza jednego posła na jakieś dwadzieścia pięć tysięcy ludzi, podczas gdy u nas jeden poseł przypada na prawie osiemdziesiąt trzy tysiące luda. Oczywiście to zjawisko można wytłumaczyć w ten sposób, że deputowany wybrany przez ludzi z małego powiatu ma lepszy kontakt z wyborcami, bo to swojak spośród swojaków, ale w takie cuda da się uwierzyć dopiero po wiadrze czaczy na twarz. Mnie osobiście wydaje się, że umiejscowienie Parlamentu na obrzeżach, w pobliżu lotniska, ułatwia deputowanym unikanie kontaktu z rozsypującym się miastem. Proszę jednak nie przejmować się zbytnio tą interpretacją złośliwego autora, któremu urodą i widzeniem świata coraz bliżej do siedzących w teatralnej łoży dziadków z *Muppet Show*.

## KATEDRA BAGRATI

Katedra Bagrati najlepiej prezentuje się z oddali. Nie ma bata – na każdym, kto pierwszy raz jest w Gruzji, miejsce to robi kolosalne wrażenie. Później turysta oswaja się nieco, bo kolejne cerkwie i klasztory położone są równie malowniczo, pocztówkowo, pięknie i ech, i ach, i wow. Weźmy chociażby powielany na tysiącach pocztówek klasztor Cmind Sameba, znajdujący się między miasteczkiem Stepancminda (do niedawna Kazbegi) a górą Kazbek, na wysokości dwóch tysięcy metrów z hakiem. Długość haka to sto siedemdziesiąt metrów, ale nie o wysokość tu idzie, tylko o absolutnie fantastyczną zdolność Gruzinów do wkomponowania architektury w naturę. Zdolność ta robi wrażenie nawet na kimś, kto nie ma pojęcia o kompozycji krajobrazu i historii sztuki i komu brak minimalnego poczucia estetyki. Cmind Sameba, Bugati, Bagrati i inne podobne miejsca po prostu powalają i tyle.

Jednak z katedrą Bagrati jest nieco inaczej niż z pozostałymi tego typu obiektami. Zaznaczyłem, że katedra najlepiej prezentuje się z oddali, pięknie górując nad miastem. Oczywiście, widząc ją, każdy gość robi sobie krótką wycieczkę i pakuje turystyczny zadek na wzgórze. Z centrum miasta to kilka, kilkanaście minut. Na miejscu, oprócz prawdziwej historii wyrytej w kamieniu (a trzeba pamiętać, że to budowla z początku XI wieku!!!), dostajemy odwrotność „nowej koncepcji wtapiania zabytków w pejzaż urbanistyczny”, czyli wtapianie elementów współczesnych w bryłę zabytku.

Tutaj potrzebne jest wyjaśnienie. Otóż po zniszczeniu kościoła przez Turków w XVII wieku i po drugim zburzeniu, tym razem w wykonaniu rosyjskich armat (armaty nie strzelały same – to oczywiste, chociaż rosyjskie armaty to jednak inne armaty i kto wie...) w XVIII wieku, katedra pozostawała ruiną aż do lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy to rozpoczęły się prace archeologiczne i renowacyjne. W latach dziewięćdziesiątych patronat nad budowlą objęło UNESCO, ale po radosnej twórczości gruzińskich rekonstruktorów cofnęło patronat w 2017 roku. Przyczynę decyzji o cofnięciu patronatu można zobaczyć na miejscu – ubytki uzupełniono szkłem, stalą oraz aluminium. Z zewnątrz widzimy metalową klatkę przyklejoną do bryły budynku w stylu „przyczepiło się gównem do kadłuba statku i, udając podróżnego, twierdzi, że świat zwiedza”,

a po wejściu do środka skrzyżowanie gruzińskiej średniowiecznej architektury sakralnej ze szklaną plombą w metalowej oprawie w rodzaju „biurowiec urzędu skarbowego w Białymstoku”. Całości „renowacji-dewastacji” dopełnia dach pomalowany farbą udającą patynę i drobnostki typu współczesne okna ze szkłem zespolonym. Jednak, co może wydawać się zaskakujące, mimo tej nieudanej rekonstrukcji czuje się w tym miejscu historię. Może to sam budulec, zdobienia rzeźbione w kamieniu, porozrzucane po terenie fragmenty oryginalnych, zniszczonych elementów budowli, zarośnięte bluszczem mury i ogólny klimat, jaki mają wszystkie ruiny świata, składają się, summa summarum, na to wyjątkowe wrażenie.

Do tego dochodzi piękny widok na miasto. Historyk sztuki i konserwator zabytków załame ręce, przeciętny turysta będzie miał sporo radochy, głupek się nie zorientuje. Pamiętajmy, że mowa o obiekcie z początku XI wieku. I nie jest to gruziński rekord. Dość niepozorna z wyglądu, ale bardzo ważna dla historii katedra Sioni w Bolnisi (miasto położone na południowym wschodzie od Tbilisi) została zbudowana w V wieku naszej ery, a z czasów przedchrześcijańskich mamy skalne miasto Uplisciche, też z V wieku, tyle że sprzed naszej ery. Te dwa miejsca to materiał na oddzielną książkę, a na pewno na wizytę, ale nie będę zanudzał szanownych Czytelników szczegółami – jedźcie, dotknijcie, oceńcie sami. I jeszcze małe porównanie – kościół św. Mikołaja w Cieszynie pochodzi z XI lub z XII wieku. Nie ma pewności. Tak czy inaczej, lista budowli XII-wiecznych w Polsce jest krótka jak (pozostając w klimacie skojarzeń z nazwą miasta) siusiak niemowlaka, a w Gruzji – potężna jak pyta Kupidyna.

## KLASZTOR GELATI

Inaczej potoczyły się relacje z UNESCO w przypadku klasztoru Gelati, który został wpisany na listę patronacką razem z katedrą Bagrati. Tutaj niespieszna renowacja odbywa się według wysokich standardów, dzięki czemu obiekt cały czas jest otoczony opieką UNESCO.

Do Gelati z Kutaisi jest niedaleko, niecałe dziesięć kilometrów, tyle że ostro pod górę. Niektórzy idą pieszo, co zajmuje ponad dwie godziny w jedną stronę, inni łapią stopa czy podjeżdżają kawałek marszrutką, jeszcze inni biorą taryfę. Przy czterech osobach (pojechałem do Gelati z trójką łodzian poznanych w samolocie) taksówka w obie strony kosztowała dziesięć złotych na osobę, czyli bardzo tanio. To było w 2014 roku. Teraz, kiedy piszę te słowa, mamy rok 2018 i jest drożej, ale dalej śmiesznie tanio w porównaniu z polskimi cenami.

Nie chciałbym, aby ta książka zamieniła się w przewodnik, ale muszę powtórzyć, że Gelati robi wrażenie. Przede wszystkim budynek ten to wciąż aktywny klasztor i kościół, z mnichami, którzy, nie zważając na zwiedzających, robią swoje, z pielgrzymami, którzy pojawiają się tu z pokornymi modłami, i z turystami, którzy w zależności od obycia i wychowania potrafią uszanować fakt, że to obiekt sakralny, lub nie. Niestety, Polacy robią trochę za dużo hałasu. Przed wejściem na teren klasztoru stoi zaledwie kilka byle jak skleconych straganów z pamiątkami i dewocjonaliami, co absolutnie zaskakuje na plus, szczególnie w porównaniu z częstochowską czy licheńską komercją.

Klasztor jest miejscem pochówku najważniejszego gruzińskiego króla – Dawida Budowniczego, który był fundatorem całości obiektu (1106 rok) oraz działającej przy nim Akademii, zwanej „Nową Grecją”. Gelati położone jest pocztówkowo, cały kompleks tchnie autentycznością i historią przez wielkie H. Nawet jeżeli komuś „nie podejdzie” miasto Kutaisi, to nie będzie żałował, że został tu przez jeden dzień, gdy odwiedzi kompleks Gelati. My mieliśmy tutaj dodatkową atrakcję w postaci zielonych palm przykrytych wielkimi płacami śniegu.

Polska dusza turystyczna ucieszy się też z faktu, że wejścia do obydwu miejsc, czyli do katedry Bagrati i kompleksu Gelati, są bezpłatne.

Zatem jedno z trzech miejsc objętych patronatem UNESCO w Gruzji zaliczone. Napisałem celowo „zaliczone”, bo Polacy lubią zwiedzać według

tego klucza, mimo że czasem w ten sposób trafią do miejsca być może ważnego z historycznego punktu widzenia, ale mało atrakcyjnego dla przeciętnego zwiedzacza, jak Hala Stulecia we Wrocławiu czy willa Tugendhatów w Brnie. Zresztą to temat na oddzielną opowieść, pokazujący, czym jest lobbowanie. Weźmy Park Mużakowski na granicy polsko-niemieckiej, wraz z pałacem po niemieckiej stronie czy wspomnianą już willę z Brna. Obiekty może ciekawe, ale czy naprawdę aż tak wyjątkowe? Bez „męczenia wora” decydom z UNESCO z pewnością nie byłoby patronatu. W tym miejscu małe porównanie – w Czechach UNESCO objęło patronatem dwanaście miejsc, a w pełnej zabytków Gruzji zaledwie trzy. Gruzja w ostatnich latach miała bowiem inne problemy niż patronaty UNESCO, a jeden straciła na własne życzenie.

## PIERWSZY WIECZÓR W KUTAISI I PARĘ SŁÓW O DZIADOWANIU

Po wizytach w Bagrati i Gelati przyszedł czas na posiłek. Lokal wybrałem na oślep i niestety trafiłem źle. Owszem, jedzenie było jak najbardziej w porządku, ale knajpę okupowała spora grupa naszych rodaków, zachowujących się skandalicznie. To był chyba lokal rodzinny. Gości obsługiwała lekko utykająca starsza pani wyglądająca na właścicielkę, która komenderowała pozostałą obsługą, a Polacy traktowali ją jak gówniarę na posyłki i święcie przekonani, że starsza pani nie rozumie polskiego, rzucali hasła typu: „Hej, babcia, pokaż jeszcze po te białe winko”. Słów starsza pani mogła nie rozumieć, ale intencję gości z pewnością tak. Pijani w trzy dupy rodacy pozwalali sobie na zbyt wiele i widać było, że właścicielka zaciska zęby, żeby nie posłać im „wiązanki”. Powstrzymywała ją chyba myśl o wysokości rachunku, bo grupa liczyła jakieś dziesięć, może dwanaście osób.

Niestety, gdy nasi trafią w miejsce, gdzie jest taniej niż w Polsce, z niektórych wychodzi skrajne buractwo. Widziałem to wiele razy – w przygranicznych czeskich piwiarniach, w karczmach na Słowacji, w podłych restauracjach upadającego Związku Radzieckiego. I zawsze wtedy zostawiałem większy napiwek, w złudnym, najprawdopodobniej, przekonaniu, że moje jednostkowe zachowanie zadośćuczyni chamstwu rodaków. Niestety, nie zadośćuczyni, a obsługa nie zapamięta mnie, tylko bandę chamów i to właśnie ich będzie kojarzyć z Polską. Smutne to szczególnie w Gruzji, gdzie miejscowi mają o nas dobrą opinię jeszcze z czasów po powstaniach, kiedy na Kaukaz trafiała polska elita, jakże różna od tego – przepraszam za określenie – bydła, za które jeszcze nieraz przyjdzie i mnie, i innym Polakom się wstydzić.

I tu znów dygresja – proszę sobie poczytać, co o jednej z najstarszych Polonii pisze profesor Maria Filina, chociażby w tekście *Polonia kaukaska* (tekst dostępny w sieci) czy w książce *Losy Polaków na Kaukazie* (mam egzemplarz z autografem pani profesor, u której w mieszkaniu jadłem i piłem – a co?), a zrozumiecie Państwo, o czym mówię. Polacy są tu jeszcze dziś pionierami w wielu dziedzinach, zaczynając od reaktywacji ratownictwa górskiego po prowadzenie hospicjów, więc proszę takich

wspaniałych ludzi zestawić z tępymi chomątami, których przyszło mi spotkać w knajpie. Szkoda słów...

Siedząc nad kolacją, cierpiałem podwójnie, bo nie mogłem rozkoszować się tym, co było na stole, i jednocześnie zastanawiałem się, czy powinienem to towarzystwo przywołać do porządku. Kto chociaż raz próbował, ten wie, jak się gada z ubzdryngolonymi. Najczęściej małe są szanse na sukces. Wiem, bo kiedyś próbowałem sił przeciw pijanym rodakom wspólnie z niejakim Irkiem Olejnikiem (gościem, który miał jaja jak balony, bo za zatechłej komuny próbował podpalić siedzibę wojewódzką PZPR) w restauracji hotelu Intourist we Lwowie, co skończyło się szarpaniną, po której siniaki schodziły mi przez miesiąc. Mówiąc szczerze, bałem się powtórki, bo od chama gorszy jest jedynie pijany cham. Dlatego odpuściłem.

Wtedy do restauracji weszły dwie młode, na oko dwudziesto-dwudziestoparoletnie Gruzinki. Usiadły i z miejsca dało się zauważyć, że nie były zachwycone towarzystwem przy sąsiednim stole, tym bardziej że zaczęło je zaczepiać. Zamówiły jakieś desery. Poprosiłem kelnera, aby dopisał je do mojego rachunku i gdy dziewczyny, szybko uporawszy się z zamówieniem, chciały zapłacić, kelner wskazał na mnie. Nie czekałem, aż Gruzinki podejdą, tylko pierwszy podszedłem do nich i powiedziałem, że jest mi bardzo wstyd za tych tu obok rodaków ze słomą w adidasach. Zaproponowałem przeniesienie się w inne miejsce i kolację, w ramach ratowania polskiego honoru. Dziewczyny zgodziły się, z miejsca proponując, abym poszedł do położonej niedaleko, popularnej restauracji El Paso i tam na nie poczekał. Zapytały, czy mogą jeszcze kogoś zaprosić. Jak Stevie Wonder, nie widziałem przeszkód.

Po pół godzinie nowe znajome pojawiły się w towarzystwie młodego chłopaka, który okazał się bratem jednej i chyba chłopakiem lub już narzeczonym drugiej (w tradycyjnej Gruzji to rozróżnienie jest znacznie ważniejsze niż w Polsce). Tak czy inaczej, wychodziło na to, że jego siostra jest na ten wieczór parą dla mnie. Dopiero kilka lat później dowiedziałem się, że tak się robi w Gruzji – podczas spotkań towarzyskich szuka się pary dla wolnej osoby. Jeżeli dwóch Gruzinów weźmie na stopa trzy turystki, a te dadzą się zaprosić na wino, to na bank Gruzini z miejsca zorganizują trzeciego faceta, żeby było do pary. Jeżeli znajdą się nie w swojej okolicy, to obdzwonią wszystkich znajomych, żeby znaleźć kogoś miejscowego, kto się przyłączy. Byle było do pary, chociażby miał to być kończący

dwunastogodzinny dyżur, zrypany jak koń po westernie kierowca karetki, który przez całe spotkanie nie do końca będzie świadomy, w czym bierze udział.

Zatem mamy dwie pary. Wiadoma dwójka i ja – dwa razy starszy od reszty towarzystwa, zaobrączkowany pierdziel oraz moja „towarzyszka wieczoru”, której ani metryka, ani – mówiąc Marcinem Dańcem – złoty „wykrywacz kłamstw” na palcu w niczym nie przeszkadzał. Jeszcze raz przeprosiłem za zachowanie rodaków z poprzedniego lokalu, ale moi nowi znajomi, chyba po to, aby sprawić mi przyjemność, powiedzieli, że to nic takiego, że nie czują się urażeni. Ja im jednak nie wierzyłem.

Na stół szybko wjechały butelki z winem dla moich gości, piwo dla mnie oraz to, co zamówiliśmy z karty. I tu znów plus dla Gruzji. Nieraz zdarzało mi się stawiać maturzystkom i zawsze wychodziły one z założenia, że skoro stary przyk płaci, to trzeba zamawiać wszystko, co w karcie najdroższe. Tu było inaczej – zarówno chłopak, jak i dziewczyny wyraźnie nie chcieli narażać mnie na koszty. Musiałem im powiedzieć wprost, aby nie przejmowali się rubryką „cena”, bo to żaden problem. Wtedy trochę zesli z oszczędnego kursu, ale nie do końca. Pękła butelka, potem następna, potem jeszcze jedna i wtedy moje towarzystwo zaproponowało, że zaśpiewa dla mnie pieśń ludową. Ot tak, po prostu, przy stole.

W sumie w tym momencie moja wizyta w Gruzji mogłaby się zakończyć, bo trudno o coś piękniejszego niż śpiewająca trójka młodych ludzi z podziałem na głosy. Śpiewali tak, że proste włosy na głowie zamieniały się w fil-fil, paznokcie bez bólu schodziły z palców u rąk i nóg, a szpik wypływał z kości. Kolejna scena mało prawdopodobna w naszej pszenno-buraczanej ojczyźnie. Czy wyobrażacie sobie Państwo popularny lokal w Bydgoszczy i podobną scenę – trójkę młodych ludzi śpiewających gościowi z Wrocławia kujawskie pieśni? Za miękkiego dzyndzla – nie da się tego wyobrazić! A w Gruzji owszem i, co ciekawe, moje towarzystwo wcale nie należało do żadnego zespołu pieśni i tańca! Oni po prostu doskonale znają i lubią swoją tradycyjną muzykę, mimo że, tak jak nasze małolaty, oglądają kolejnych światowych idoli na YouTube. Czapki z głów! W całym lokalu nikt z miejscowych nie okazał zdziwienia, że coś takiego ma miejsce, mimo że koncert przeciągnął się do pół godziny. Jedynie turyści z Polski włączali kamery w przeświadczeniu, że oto mają kontakt z czymś wyjątkowym. A przecież to powinno być zupełnie naturalne, że jak człowiek zje i wypije, to tańczy lub śpiewa, albo jedno i drugie. W takich



momentach dociera do mnie, jak mocno zabiliśmy w sobie spontaniczne odruchy.

Po występie zostałem zaskoczony po raz kolejny i tym razem nie wiem, czy pozytywnie, czy negatywnie. Otóż sympatyczny młodzian ni stąd ni zowąd oświadczył, że jego siostra jest dziewicą, a ona skwapliwie to potwierdziła. Nie bardzo wiedziałem, jak mam zareagować na tego typu oświadczenie, więc jedynie uzupełniłem kieliszki i wzniosłem toast. Proszę pamiętać, że miałem już dobrze w czubie i do głowy przychodziły mi najróżniejsze, niekoniecznie mądre myśli. Pierwsza – moi nowi znajomi są muzułmanami i akceptują wielożeństwo, więc może to jest oferta matrymonialna? Z tego, co słyszałem, gruzińscy muzułmanie nie unikają szczególnie alkoholu, więc może coś jest na rzeczy? Mam ją zabrać do Polski? A może nie ja mam być tym, który dziewczynie zbije szybkę, tylko chodzi o to, aby za moim pośrednictwem znaleźć kogoś, kogo zainteresuje panna z wiankiem? Przecież powszechnie wiadomo, że niezbita szybka to na zachodzie towar deficytowy! A może chodziło po prostu o pochwalenie się, że Gruzinki nie są takie rozwiązłe jak Europejki...? Tak już jest, że to, co dla jednych będzie „nową moralnością”, oznaką wolności i naturalności, dla innych pozostanie starą niemoralnością. A może to oferta na jeden wieczór? Gruzja jest bastionem konserwatyzmu obyczajowego, ale może trafił mi się jeden przypadek na milion? A może źle zrozumiałem słowo „siostra” i chodzi o to, że ten chłopak to początkujący alfons, który chce opchnąć extra towar, czyli dziewicę? Trudno się dziwić temu zamieszaniu w głowie, ale, jak już zaznaczyłem, miałem nieco w czubie, a nagłe mówienie przy stole, ni stąd ni zowąd, o dziewictwie, nie jest sytuacją codzienną.

W końcu do mojej podchmielonej głowy zaczęło docierać, że w krajach byłego Związku Radzieckiego dwudziestokilkuletnia dziewczyna to w zasadzie stara panna, która powinna się spieszyć i nie wybrzydzać. Zjawisko chajtających się po krótkiej znajomości dzieciaków, które rozwodzą się tak samo szybko, jak się pobrali, lub żyją razem tylko dlatego, że nie wypada się rozchodzić, jest tutaj niezwykle często spotykane. Dlatego znów polałem, żeby nie skończyć tego dnia na zbyt poważnych i smutnych rozważaniach. Podziałało. Temat dziewictwa zdechł, a ja zastosowałem starą, przeciwiczoną na wschodzie sztuczkę, a mianowicie pytanie: „Gdzie powinienem jechać, mając na zwiedzanie waszego kraju tylko tydzień?”.

Jak zwykle zadziałało, moi goście zaczęli licytować się na argumenty, miejsca, miasta i krajobrazy, a ja spokojnie dogorywałem nad kolejnym, dość słabym gruzińskim piwem. Potem zamówiłem „rozchodniaczka” i zapłaciłem rachunek, co nie było łatwe, bo z młodzieńca wyszedł po pijaku prawdziwy Gruzin. Ładnych parę minut kłóciliśmy się o to, kto płaci, ale gdy powiedziałem, że się obrażę, jak nie pozwoli mi pokryć kosztów kolacji, w końcu odpuścił. Nie wiadomo jednak, jakby się nasza wymiana zdań skończyła, gdyby dziewczyny nie naciskały na chłopaka, aby ustąpił.

Nie trzeba mega spostrzegawczości, żeby pojąć, że skromnie ubrany młodzian nie jest krezusem, ale honor nie pozwala mu, aby gość stawiał i nawet się zapożyczy, żeby zapłacić rachunek. Znałem takie zachowania z mniej narwanej niż Gruzja Białorusi czy nawet z mojej ulubionej Polski wschodniego pogranicza. Wiedziałem, że choćby skały srały, to powinienem być gospodarzem wieczoru. Jeśli ja – wtedy kierownik regionalny w dziale handlowym dużego koncernu farmaceutycznego – oceniłem rachunek jako średni, to jak jego wielkość mógł ocenić dwudziestolatek, pochodzący z kraju, w którym pensje nijak się mają do naszych? Odpowiedź jest chyba oczywista.

Dlatego nóż się otwiera w kieszeni, gdy słyszy się o Polakach, którzy bezmyślnie korzystają z gruzińskiej gościnności, nie wysilając ani przez chwilę umysłu, aby zrozumieć okoliczności, realia i kulturowy kontekst. Ale to, że korzystają, to jeszcze małe piwo. Czasami w miejsce, gdzie ktoś ich ugościł, przysyłają swoich koleżków, dla których załapanie się na krzywy ryj to powód do satysfakcji. Jest w tym coś obrzydliwego – ten sam Jan Kowalski nie mrugnie okiem na kosmicznie słony rachunek w byle jakiej pizzerii w Chorwacji, a w Gruzji będzie dziadował o parę żelków w tę lub w tamtą stronę. Za chuja tego nie kumam. Takie zachowania chciwych Polaków na Kaukazie mogą stać się źródłem dramatu.

Podobną sytuację świetnie opisał Wojciech Górecki w książce *Abchazja*. Jedna z zachodnich organizacji humanitarnych kręciła się po okolicach Gudauty. Wybrali się do jednej z tamtejszych wiosek, aby na miejscu zorientować się, czy potrzebuje ona pomocy. Jak pisze Górecki:

*Ludzie z tej wioski zdążyli się przygotować, uprzedził ich tłumacz. Zapożyczyli się (podkreślenie moje – A.Z.), zarznąli wołu i parę baranów, nakupowali alkoholi i słodyczy – nie narobią Abchazji*

*wstydu! Tamci nie byli wcześniej na Kaukazie. Nie rozumieli, co to znaczy podejmować gości z zagranicy. Nie przyszło im do głowy, że gospodarze będą spłacać długi miesiącami. Powiedzieli, że pomocy nie przyślą, bo przecież wszystko jest. Pojechali pomagać Afryce.*

Dobrze, powie ktoś, ale skąd wiedzieć o gruzińskiej gościnności, jeżeli ktoś nie czyta? Po pierwsze, niech zaczną czytać. Czego jak czego, ale książek o Kaukazie w Polsce nie brakuje. A nawet jeśli nie potrafi czytać, to wystarczy się rozejrzeć, aby zrozumieć, że wschodnia gościnność jest często ponad stan. Tu muszę dodać parę słów o dziadowaniu. Celowo podkreśliłem, że rachunek wziąłem na siebie, aby uczulić rodaków, że nic tak nie przynosi wstydu jak dziadowanie w ich wykonaniu. Oczywiście, jeżeli gdzieś poczęstują nas symboliczną szklaneczką wina, to nie ma o co kopii kruszyć, ale jeżeli bogato zastawią dla nas stół, to jednak warto się odwdziaczyć. W Gruzji zasadę „zastaw się, a postaw się” realizuje się dosłownie. Zatem gdy zostanie się szczerze ugoszczonym, wypada, mimo że nikt tego nie oczekuje, jakoś dołożyć się do kosztów. Do ręki nikt kasy nie weźmie, może się nawet obrazić za chęć partycypacji w kosztach uczy, ale mieszkający w Gruzji Polacy podpowiadają, że można położyć kasę na stół i powiedzieć, że to na słodycze dla dzieci. Wtedy wszyscy wyjdą z twarzą. Jak ktoś chce i ma odrobinę oleju w głowie, to znajdzie sposób, aby załatwić sprawę taktownie. Przecież to widać jak na dłoni, czy goszczą nas ci, którzy mają nadmiar, przeciętniacy, czy też tacy, którym niekoniecznie się przelewa. Jeżeli to ci ostatni zaprosili nas na noc i obficie nakarmili, to może jednak warto machnąć się do najbliższego sklepu i przywieźć trochę produktów na wspólną kolację.

Nie wiem, skąd się to wzięło, ale ostatnio pojawiła się moda na podróżowanie bez kosztów. Powstają nawet książki, w których autorzy z dumą opisują, jak to nocowali albo jechali, albo jedli za darmo. I tak przez wiele tygodni. Bez cienia zażenowania robią z dziadostwa swój sztandar i znajdują naśladowców. Kiedyś poszedłem nawet na spotkanie z takimi jednymi na targach turystycznych i zrozumiałem, że mitem jest maksyma „podróże kształcą”. Niekoniecznie. Raczej utwierdzają debili w debilizmie. Zapytałem wprost, czy amatorzy podróży bez kosztów mają świadomość, że w niektórych miejscach podejmowanie gości nadwyręza mocno budżet domu lub upłynnia pieniądze odłożone na przykład na lekarza. Odpowiedziano mi, że przecież szczerzy gospodarze są dorośli i wiedzą,

co robią. Jakby nie mogli, to by nie zapraszali. W życiu nie słyszałem nic głupszego. Kultura gościnności, kształtowana przez setki lat, w czasach, kiedy podróż była mordęgą, a nie przyjemnością, wykształciła przecież odruchy, które przetrwały do czasów, gdy ludzie podróżują dla kaprysu, nie z musu. Jeżeli zatem nie mamy jak się odwdzięczyć za gościnę, lepiej w porę się wycofać, niż narażać ubogich fundatorów na nadmierne koszty. Tyle. Już słyszę krzyk protestu ubogiego turysty, ale mam to w dupie. Sam nieraz podróżowałem z małą kasą i z mielonkami w plecaku, ale nigdy na sępa.

W każdym razie po rozchodniaczkę rozeszliśmy się w doskonałych nastrojach. Trochę wstyd, ale nawet nie pamiętam już imion młodych Gruzinów... Zataczając się, zmierzałem w stronę hotelu. Próbowałem jakoś utrzymać się w pionie, ale szło mi średnio, bo mimo starań szedłem popularnym krokiem na trzy, czyli dwa do przodu, a jeden w pamięci. Rozmyślałem przy tym, że czego tu w Gruzji nie dotknąć, z miejsca pojawia się godne głębszej refleksji zagadnienie, a potem następne i następne, z których lekką ręką można by napisać magisterkę albo i doktorat. Z jakiegokolwiek dziedziny – historii, archeologii, socjologii, psychologii i Bóg wie jeszcze z czego.

## PORANNY KAC I ROZWAŻANIA O ALKOHOLU

Ranek był ciężki. Słynny mit mówi, że kaca uniknie się, nie mieszając różnych alkoholi. Tere-fere-kuku. Jedyłą metodą jest umiarkowanie lub wstrzeżliwość, o której dzień wcześniej nie mogło być mowy. Trudno, pisząc o Gruzji, pominąć temat alkoholu, skoro na każdym kroku ktoś częstuje czaczą. Czaczą, którą można kupić za grosze na każdym kroku, bez akcyzy, koncesji i innych urzędniczych przymusów, które mamy w Eurokołchozie. Znów plus dla Gruzji. Gruzja jednak to przede wszystkim wino, co nie jest dobrą wiadomością dla piwoszy, bo tutejsze browary nie zachwycają swoją produkcją.

Jednak najpierw o winie. Tradycyjny gruziński sposób produkcji wina w wielkich glinianych amforach zakopanych w ziemi (zwanych tu kwewri lub czuri) jest najstarszą na świecie, lecz wciąż praktykowaną metodą, mimo że pracochłonna i kosztowna. Można wręcz mówić o całej kulturze produkcyjnej, która obejmuje nie tylko hodowlę, zbiory, sam proces fermentacji i dojrzewania, ale też unikatową technologię produkcji w wielkich amforach – zamykania, uszczelniania, mycia, konserwacji, wykorzystania moszczu i tak dalej. Nie jestem specjalistą, więc ograniczę się do podstawowych informacji. Oczywiście produkuje się tu też wino metodami „europejskimi”, ale fakt pozostaje faktem – Gruzja jest najstarszym regionem winnym na świecie i to stąd poszła w świat kultura wina, a nie na odwrót. Nic zatem dziwnego, że Gruzini szcycą się faktem, że to oni dali światu wino, bo to duma mająca mocne podstawy. Tak przy okazji, jeżeli ten temat kogoś szczególnie interesuje, to w mojej skromnej ocenie najlepiej na ten temat pisze pan Wojciech Bosak, dziennikarz i specjalista od wina. W erze Internetu nie ma żadnych problemów ze znalezieniem jego tekstów. Gorąco polecam.

Sam do zrozumienia pozycji wina w Gruzji doszedłem inną drogą, niż tą przez bukiet, aromat, smak czy kolor. Inną również niż zdobywanie wiedzy merytorycznej o produkcji tego trunku. Już wyjaśniam. Pomógł mi w tym gruziński film, nakręcony jeszcze w czasach Związku Radzieckiego, którego polski tytuł to *Cierpkie wino* (reż. Otar Iosseliani, 1966 rok). Cała akcja toczy się wokół wina, chociaż film ma kilka innych, równie

ciekawych i subtelnie utkanych wątków, które szczęśliwie przepuściła radziecka cenzura. Oto młody, świeżo zatrudniony pracownik jako jedyny na naradzie z szefem stawia sprawę wprost – pewna partia wina, dokładnie z beczki numer czterdzieści dziewięć, jeszcze nie nadaje się do butelkowania. Przełożony jednak pod presją planów każe wino butelkować, mimo świadomości, że produkt jest do niczego. Wiedzą to również pozostali uczestnicy narady, ale, jak to w komunie (w korpo też, niestety...), nikt się nie stawia, żeby nie podpaść szefowi, co do którego się domyślamy, że należy do Partii.

Nie chcę nikomu odbierać przyjemności z seansu, więc nie opowiem całej, arcyciekawej treści *Cierpkiego wina*. Powiem tylko, że najbardziej interesująco robi się, gdy ekipa z zakładu produkcji wina trafia do knajpy i pyta kelnera, czy kuchnia jest tu dobra. Ten zachwala lokal – nie ma, co prawda, baraniny, ale kurczaka poleca śmiało. Potem bohaterowie pytają o wino i dowiadują się, że restauracja serwuje właśnie ich nieudany trunek, który kelner oczywiście zachwala. Wtedy jak jeden mąż wychodzą z knajpy czy raczej spierdzielają jak ze strefy skażonej, bo skoro serwuje się tu nędzne wino, to i na dobre jedzenie nie ma co liczyć! Łzy lecą ze śmiechu podczas tej sceny. Polecam.

Jest też inna zabawna scena (pośród kilkunastu), gdy jeden z kierowników, przyjmując młodego chłopaka do pracy, pyta, czy ten pije. To jakby pytać żywego, czy oddycha. Komuś, kto nie zna się na winie, ten film może lepiej niż setki opracowań uzmysłwić, jakie miejsce w życiu Gruzinów ono zajmuje i jakie może budzić namiętności. Ponadto film zawiera sceny pokazujące samą produkcję wina tradycyjną metodą czy też scenę mycia gigantycznych stągwi, co nie jest łatwe, skoro są one wkopane w ziemię. *Cierpkie wino* od czasu do czasu powtarza TVP Kultura.

Oprócz wina mamy obowiązkową czaczę w stu milionach wersji oraz piwo. Parę gatunków, czyli: Argo, Natakhtari Karva czy Kazbegi Tbilisi Beer cieszy się wśród Gruzinów popularnością i uznaniem, ale pokazuje to, że Gruzini znają się na winie, a nie na piwie, bo moim zdaniem są to napoje nie najwyższych lotów. Na tle gruzińskiej produkcji wyróżnia się jeden browar – Zedazeni Golden Eagle, ale to nadal średnia półka. Do czeskich piw, nawet tych najmniej udanych, gruzińskim piwom daaaaaaleko. Szczęśliwie bracia Czesi eksportują do Gruzji, dzięki czemu można trafić nie tylko na czeskie butelkowe w sklepach, ale również na lane w restauracjach. Popularne są też duńskie, holenderskie czy belgijskie

przemysłowe sikacze, ale jak ktoś ma jakiegokolwiek rozeznanie, to wie, co omijać, a co wlewać w korpus. W każdym razie Gruzja nie jest rajem dla piwosza.

Nie musi. Miałem okazję rozmawiać z Polakami, którzy gustują w winie i byli zachwyceni miejscową produkcją. Mówili coś o gatunkach i smakach niespotykanych gdzie indziej, i to było piękne, bo takich emocji nie da się udawać. Stwierdzenie, że Gruzja równa się świetne wino jest truizmem. Gdy dołoży się absolutnie rewelacyjną kuchnię, nawet kiepski browarek można przeboleć. Zresztą, po piętnastym kuflu to nie ma żadnego znaczenia.

Zapomniałbym – spotkałem raz ekipę z Czech, której smakowało miejscowe, gruzińskie piwo, a kuchnia nie. Twierdzili, że czeska jest lepsza, a polska to już cud miód. Trzeba mieć kubki smakowe popalone utopencem („utopenec” – dosłownie topielec, popularna, obrzydliwa, czeska zakąska, czyli kiełbasa w marynacie), żeby czeską kuchnię stawiać wyżej niż gruzińską, ale bywa i tak, że w podróży spotka się ludzi z upośledzeniem sensorycznym.

Teraz kilka słów o cenach za kufelek. Od 2014 roku poszły one w górę i w wielu lokalach, szczególnie w dużych miastach czy popularnych miejscowościach turystycznych, bywa, że piwo kosztuje nawet dziewięć złotych (sześć żelków), co jak na Gruzję jest ceną znaczną. Normą (nawet w stolicy) jest jednak cena od trzech do sześciu złotych za kufel. Można też trafić na kufel za półtora żelka, czyli 2,25 złotego. To są dane z 2018 roku. Zatem dalej tanio. Panuje zasada, że im lokal bardziej wystylizowany na zachodni styl, tym drożej za kufelek. No i, co oczywiste, deptak jest zawsze droższy od bocznej uliczki. Co do sklepów, to ceny kształtują się w granicach 2,25–3,5 złotego za półlitrową butelkę. Zatem nawet największy sknera i sęp może bez stresu odpuścić zakupy w sklepie i pozwolić sobie na bar, nie martwiąc się, że przepłaca.

Miałem jeszcze napisać Państwu, za jak małe pieniądze można kupić czaczę na ulicy, ale mi nie uwierzycie. U nas też mogłoby tak być, gdyby nie wszelkie podatki, vaty, sraty, akcyzy, sanepidy i tak dalej. W każdym razie czaczę można kupić wszędzie – w warzywniaku, od pani, która ze wsi przywiozła mleko do miasta, w kwaciarni i na straganie z dewocjonaliami. Nikt tu nikogo nie karmi pierdołami o funduszach na przeciwdziałanie alkoholizmowi czy wymaganiami odnośnie do odległości od sklepu do szkoły lub kościoła. Pełna wolność.

Ceny wina też są przystępne (czytaj – niższe niż w Polsce), zarówno w sklepach, jak i w restauracjach. Co prawda, widziałem kilka eleganckich i bardzo drogich salonów z winami, ale to były miejsca dla wybitnych koneserów lub dla snobów. Nie zgłębiłem tematu z powodu obojętności w temacie wina. Obojętności oraz ignorancji. Zresztą, w temacie wina, piwa i innych trunków nie ma co się rozpisywać – lepiej je pić.

Pozostaje jeszcze gruziński koniak. Gruzini nie przejmują się dyrektywami zabraniającymi nazywania koniakami alkoholi spoza gminy Cognac we Francji. Między innymi dlatego, że ten typ alkoholu wynaleźli Ormianie i dopiero później trafił on do Francji. Poza tym Gruzja i Armenia nie należą do Unii i tego typu dyrektywy mają gdzieś. Istnieją w Polsce dwie szkoły opinii o koniakach. Jedna twierdzi, że lepszy jest gruziński, inna, że ormiański. Obie są za to zgodne, że są to produkty lepsze niż francuskie.

Gruzin będzie zachwalał swoje koniaki, Ormianin swoje, ale na półkach sklepowych w Kutaisi są jedne i drugie. W ostatecznym rozrachunku czasami wygląda to tak, jak na moim osiedlu we Wrocławiu. Kowalski idzie po wódkę X, a wraca do domu z tą, na którą była w danym dniu promocja. Wygrywa kalkulacja. Specjalnie na okoliczność tego tekstu zadzwoniłem do Janusza Szejbla, smakosza koniaków i brandy, a ten mi powiedział, że chociaż tego nie pojmę, bo do tego niezbędne są lata wyrabiania smaku, to gruziński koniak zawdzięcza swój wyjątkowy smak endemicznym gatunkom winorośli, które wyczuje jedynie prawdziwy koneser. Następnie Janusz wyraził współczucie z powodu ubogiego świata moich doznań sensorycznych, gdy potwierdziłem, że cały czas jestem wierny piwu, a zwłaszcza czeskim browarom.



## DROGA DO BATUMI

Wstałem w końcu z łóżka, wypilem chyba pół wiadra kranówki i poszedłem na śniadanie. Właściciel hotelu, widząc mój załosny stan, zaproponował klina, ale odmówiłem, licząc na to, że z czasem jakoś dojdę do siebie. W planach miałem wycieczkę do Batumi.

Czy Batumi jest warte wizyty? Jeśli ma się niewiele czasu i brak perspektyw na kolejną wizytę w Gruzji, to można sobie odpuścić to miasto, bo jest tak reprezentatywne dla tego kraju jak Sopot dla Polski. Mnie pociągnęło to, co większość rodaków – powszechny w Polsce, szczególnie w moim i w jeszcze starszym pokoleniu, mit najsłynniejszego w demoludach, opiewanego w piosenkach kurortu. Poza tym byłem pewien, że niebawem do Gruzji wrócę, a wtedy udam się w inne miejsca.

Do Batumi jedzie się busem (marszrutką) z przystanku koło bazaru leżącego blisko wylotu z miasta. Do tego miejsca natomiast dojeżdża się z centrum Kutaisi autobusem miejskim lub marszrutką numer 1. Można też minąć bazar, skręcić w lewo, przejść przez wiadukt i spróbować złapać autostop. Istnieje jednak ryzyko, że Gruzin, który nas weźmie do swojego samochodu, weźmie też nas do swojego domu, do knajpy czy do znajomych i nie dotrzemy tam, gdzie planowaliśmy. Trzeba naprawdę wielkiej asertywności, żeby odmówić. Zatem marszrutka to lepsze rozwiązanie i właśnie ją wybrałem. Poprzedni wieczór jednak nie dał o sobie zapomnieć i po niecałej godzinie jazdy wysiadłem w niewielkim mieście na trasie do Batumi, aby nie nabrudzić w i tak już średnio świeżym autobusiku.

W centrum miasteczka znalazłem wolną ławkę i położyłem się na niej z plecakiem pod głową. Miejscowi natychmiast się mną zainteresowali i zaoferowali pomoc. Pierwszy raz tego dnia z własnej woli poprosiłem o łyk czegoś z promilami. Oczywiście sympatyczni Gruzini mieli butelkę za pazuchą. Bardzo ich ta sytuacja śmieszyła, bo według gruzińskich norm Polacy mają słabe głowy, a narodowym sportem miejscowych jest upijanie przyjezdnych w trupa. Widocznie zazdrościli tym, którzy mnie sponiewierali poprzedniego dnia, a ja nie czułem potrzeby wyjaśniania, że do tego stanu doprowadziłem się sam, jakąś nieludzką ilością kufli. Wziąłem jedynie mały łyżeczek czaczy, tyle żeby zaklinować, bo, jak już zaznaczyłem, nie przepadam za mocnymi trunkami, a ta czacza miała chyba

z sześćdziesiąt procent. Później znalazłem aptekę, napchałem się tabletkami od bólu głowy i znów wsiadłem w marszrutkę jadącą do Batumi.

Po mniej więcej godzinie jazdy konieczny okazał się kolejny postój. Klin zadziałał jedynie na chwilę. Myślę, że mój stan pogorszył się też przez fakt, że droga z Kutaisi do Batumi nie należy do najrówniejszych, co w połączeniu z gruzińskim, rajdowo-samobójczym stylem prowadzenia pojazdu, z duchotą i ścisaniem we wnętrzu marszrutki (oni w te samochody montują więcej siedzeń niż w busie standardowym, najczęściej o jeden rząd, co zmniejsza przestrzeń na nogi do minimum) sprawiło, że nie tyle treść chciała się wydostać z żołądka, ile sam żołądek pragnął opuścić ciało jak najszybciej i bez negocjacji wstępnych. Zatem wysiadłem ponownie i wypuściłem gwałtownego pawia z ambicjami. Szczęśliwie udało mi się schować za drzewem i chyba nikt tego wyczynu nie widział.

Prosta droga z Kutaisi do Batumi zaczęła się komplikować, a to przecież zaledwie niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów! Wypuszczając kolejnego pawia na wolność, zacząłem powoli godzić się z faktem, że zostanę w tym mieście, którego nazwy nawet nie znałem. Szczęśliwie drugi paw okazał się ostatnim. Wszedłem do pierwszej z brzegu knajpy, umyłem zęby nad umywalką i postanowiłem coś zjeść. Zdecydowałem się na kurczaka w sosie z orzechami i zapewniam, że nie mogłem lepiej trafić. Sos był zaprawiony śmietaną, ale dość rzadki, przypominający zupę, o smaku złamanym startymi orzechami i aromatyczną mieszanką ziół. Mięso kurczaka pasowało do niego idealnie, bo wchłaniało go niemal jak gąbka, zarazem oddając mu swój delikatny, rosołowy smak, co w rezultacie dało połącznie nieobecne w polskiej kuchni. Później trafiałem na różne wersje tej potrawy, z gęstszym sosem, mniej lub bardziej orzechowym, z większą lub mniejszą ilością ziół, z baranią czy innym mięsem, ale zestawienie z kurczakiem daje najlepszy efekt.

Pokrzepiony wyśmienitym daniem i dwoma kufelkami poszedłem na spacer, już bez objawów syndromu dnia poprzedniego. Do łapania marszrutki jeszcze się jednak nie paliłem z obawy, że akcja wypuszczania pawia na wolność może się powtórzyć. Poszedłem nad morze, nad którym przeżyłem prawdziwe *déjà vu*. Nagle znalazłem się w Polsce z początku lat dziewięćdziesiątych, w miejscu będącym skrzyżowaniem ówczesnego Mielna, Dziwnowa, Darłówka i Okuninki nad jeziorem Białym. Tandetne kwatery wakacyjne z napisami w kilku językach, nieczynne (formalnie trwała zima) budy, metalowe, złożone szczęki, najprawdopodobniej pod

wezwaniami Mariana Paździocha, pospinałe łańcuchami metalowe krzesła i odrapane stoły zabezpieczone folią lub starymi plandekami, czekające na otwarcie sezonu. Znowu dygresja – w takiej scenerii kręcono świetny gruziński film *Randki w ciemno*, który rozprawia się z mitem kaukaskiego macho. Dostępny na VOD. Koniec dygresji. Całości dopełniała zaśmiecona, kamienista plaża. Byłem w kurorcie. Kurorcie, którego atutem mogła być jedynie gwarancja pogody w sezonie i niezawodna, gruzińska kuchnia. Dopiero potem, gdy już wyjeżdżałem marszrutką, dowiedziałem się, że byłem w Kobuleti, popularnej nie tylko wśród Gruzinów miejscowości wypoczynkowej, do której nie wybrałbym się po raz drugi z własnej woli. No chyba, że w całej Gruzji zabrakłoby kurczaka w sosie orzechowym. Na to się jednak nie zanosi.

## JAK ODZYSKAŁEM WIARĘ W RODAKÓW

Po spacerze wyszedłem na ulicę prowadzącą na południe i machnąłem ręką na pierwszy przejeżdżający busik z białą tabliczką za szybą. Do Batumi zostało mi około trzydziestu kilometrów. W marszrutce uderzył mnie odór alkoholu wiszący w powietrzu i znajomy zapach. Kielbasa? Kabanosy? Zgadza się – połowę pasażerów marszrutki stanowiła jakaś pozytywnie porąbana ekipa z Łodzi, pijana w 3D. Rodacy mieli gitarę, niespożyte siły i wiele miłości do świata. Częstowali Gruzinów polskimi kabanosami oraz gruzińskim serem, winem, chlebem i czaczą, alkohol polewając do plastikowych kubków. Śpiewali szanty i piosenki Czerwonych Gitar, a kierowca ewidentnie jechał wolniej, żeby, o ile się da, przedłużyć imprezę.

Gruzini posłusznie jedli i pili, totalnie zepchnięci do defensywy, ale było widać, że są zadowoleni z tego, co ich spotkało, śmiali się, klaskali do rytmu, komentowali sytuację między sobą. Co ciekawe, nikt z polskiej grupy nie kumał po rosyjsku, a pasażerowie gruzińscy nie kumali polskiego i angielskiego, co nie przeszkadzało w dynamicznym rozwoju imprezy. Byłem zachwycony.

Niestety wszystko, co dobre, kiedyś się kończy, zatem i my dojechaliśmy do celu. Wodzirej wyszedł pierwszy z marszrutki i trzymając jako taki pion jedynie siłą woli, każdemu wychodzącemu polewał na rozchodniaczka, według życzenia, czaczę lub wino. Nie przepuścił nawet starszej pani, którą elegancko, po staropolsku pocałował na pożegnanie w rękę, na co dama odpowiedziała serdecznym uściskaniem młodego zawadiaki. Potem ktoś rzucił hasło, że trzeba się zrzucić na napiwek dla kierowcy, który pozwolił balować w busie przez całą trasę. Łodzianie ledwo stali na nogach, ale szybko zorganizowali zrzutkę. Gdy wygrzebywałem z plecaka pieniądze, żeby dorzucić się do napiwku, wodzirej podszedł do mnie i, bełkocąc, dał mi banknot dziesięciozłkowy.

– A to za co? – spytałem zdziwiony.

– A za to – odpowiedział wodzirej – że ty Rosjanin, a tak dobrze mówisz po polsku!

## PIERWSZY WIECZÓR W BATUMI

Pół godziny jazdy w marszrutce z pozytywnymi wariacjami poprawiło moje samopoczucie. Ciało po kubku wina (piwa nie mieli) odżyło, nie mówiąc już o psyche, bo to jest jednak wielka radość, widzieć, jak nasi potrafią się dobrze bawić i przy tym wszystkim mieć gest, co przecież nie jest u nas normą. Szkoda, że później ich już nie spotkałem. Nawet nie wiem, kim byli, czym się zajmowali. Tyle tylko, ile sam zobaczyłem – ekipa przed trzydziestką, płci obojga. Po profesjonalnej odzieży, porządnych plecakach i butach można było wnioskować, że właściciele nie tylko piją i śpiewają przy gitarze, ale też co najmniej wędrują. Jeśli jakimś cudem ktoś z Państwa zna opowieść o podróży marszrutką z Kutaisi do Batumi od znajomych łodzian, bardzo proszę, niech da mi znać przez Wydawnictwo. Chciałbym tych ludzi poznać na trzeźwo.

Marszrutka po wjeździe do Batumi zatrzymuje się bardzo blisko dolnej stacji nowoczesnej kolejki linowej „Argo”, której wagony śmigają ponad miastem. Pasażerowie kolejki jak na dłoni widzą wszystko – ruchliwe ulice, stare kamienice, rozsypujące się pawilony handlowe rodem z ZSRR, futurystyczne budowle położone wzdłuż wybrzeża i na koniec stację na wzgórzu z cerkwią. Przedsmak miasta, w którym jest nowoczesność i tradycja, oszałamiające bogactwo, sporo pstrokatej nędzy, nieokiełznana nowoczesna architektura i sypiące się bloki z radzieckich czasów. Kwintesencja Wschodu.

Przy okazji wspomnień z „Argo” nie sposób pominąć tematu wzrostu cen w Gruzji. W 2014 roku przejazd w dwie strony kosztował trzy lari (po ówczesnym kursie to było sześć złotych), a w 2018 roku cena biletu w dwie strony to już piętnaście lari, czyli dwadzieścia dwa złote. I tak niestety będzie ze wszystkim, co ma jakikolwiek związek z turystyką. Do Gruzji zaczynają przylatywać Szwajcarzy, Włosi, Amerykanie, Niemcy, Anglicy i inni zachodni Europejczycy, którym jest wszystko jedno, czy kufel kosztuje trzy, sześć, dziewięć czy dwanaście złotych. Dlatego warto się spieszyć z wizytą, bo za parę lat będzie to cenowa Chorwacja Bis.

Kolejka linowa wydaje się w takim miejscu sprawą oczywistą. Teren do podobnych wynalazków jest w Gruzji wprost wymarzony. Kolejkę ma również Kutaisi. Starą, rozklekotaną, ze starymi wagonikami, w których jedzie się na stojąco w towarzystwie starszego pana mającego dbać

o bezpieczeństwo, co sprowadza się do tego, że zamyka on drzwi i zabezpiecza je czymś w rodzaju metalowego skobla, znanego u nas ze sławojek. Mało tego! Po wjechaniu na górę w Kutaisi można się przesiąść na diabelski młyn (nigdy nie rozumiałem tej nazwy – co jest diabelskiego w powoli poruszającym się kole z kabinami?) i popatrzeć na miasto z jeszcze większej wysokości. Kolejkę ma także stolica.

W Batumi jednak kolejka linowa „Argo” to nie jedyne miejsce, z którego można popatrzeć z góry na świat. Tuż nad morzem mamy diabelski młyn oraz Wieżę Alfabetu – ponad stumetrową konstrukcję z obowiązkową windą i punktem widokowym. Kilka kroków dalej stoi nowoczesny budynek Uniwersytetu Technologicznego, prawie dwustumetrowy (dokładnie sto osiemdziesiąt osiem metrów), z ośmiogondolowym diabelskim młynem na dachu. Serio. A gdyby komuś było mało, podobno na wieży hotelu Sheraton (sto dziesięć metrów) też jest dostępny punkt widokowy. Myślę, że kurort Batumi mógłby wyspecjalizować się w szokowej terapii leczenia lęku wysokości. Nasz kraj natomiast mógłby sprzedać mu własny przepis na łamanie lęku wysokości, obowiązujący w polskim budownictwie: „No to po szklanie i na rusztowanie!”.

Po przejażdżce koleją linową poszedłem poszukać położonej w centrum kwatery, gdzie przywitały mnie portrety państwa Kaczyńskich na recepcji. Zostawiłem plecak i poszedłem się szwendać. W międzyczasie zrobiło się ciemno, a wtedy Batumi pokazało swoją najlepszą wersję – podświetloną, barwną, żywą. Szwendałem się na oślep, szukając lokalu, z którego dobywałaby się żywa muzyka, bo po spontanicznym koncercie trójki młodych ludzi w Kutaisi miałem ochotę na więcej, ale miejscowej muzyki niestety nie znalazłem.

Trafiłem za to do baru w piwnicy, gdzie czterech młodych ludzi (dwie gitary, bas i perkusja) grało rockowe standardy. Gości było niewielu i zdawali się bardziej zajęci sobą i jedzeniem niż muzyką, co wydało się niewiarygodne, bo panowie grali wyśmienicie. Miałem wrażenie, że oryginalni twórcy w wielu wypadkach chcieliby tak grać na żywo, jak ta ekipa. Zamówiłem cienkie gruzińskie piwo oraz kolację. Proszę Państwa, to był bar czy pub, zwał jak zwał, w wystroju rockowym (plakaty, zdjęcia gwiazd rocka etc.), gdzie z założenia człowiek nie oczekuje nie wiadomo czego od kuchni, ale proszę mi uwierzyć, że Gruzja i pod tym względem pozytywnie mnie zaskoczyła. Na porcję składały się dwie połówki sporego bakłazana, nadziane mięsem z przetartymi warzywami, a wszystko polano

delikatnie pomidorowym, ostrawym sosem, w którym pływały drobne kawałki podpieczonej lub podsmażonej papryki. Po pierwszym kęsie przeżyłem kulinarny orgazm, a potem powtarzało się to co kęs. Rzeczywiście można nie zwracać uwagi na muzykę, kiedy ma się takie cuda na talerzu.

Chociaż bakłazan mnie nasycił, postanowiłem zamówić coś jeszcze, z czystego łakomstwa. Na ślepo pokazałem palcem w karcie i dostałem kawałki świńskiego mięsa przesmażone razem z ziemniakami, cebulą oraz odrobiną innych warzyw, podane na gorącej, żeliwnej patelni. Trudno o coś prostszego, ale schab czy szynkę trzeba umieć tak smażyć, szczególnie schab niepanierowany, żeby mięso nie wyschło, w środku było miękkie, a na zewnątrz chrupiące. Z ziemniakami też trzeba kumać, co i jak, żeby nie przegiąć w żadną stronę i proporcje dobrać w taki sposób, aby czuć było i czosnek, i przyprawy, i aby swoisty smak ziemniaka nie zginął w dodatkach. Jako dodatek do dania dostałem porcję sosu przyrządzonego na bazie śliwek i odjechałem po raz kolejny. Chłopcy coś tam grali w tle, a ja napychałem swój i tak gruby bebecz świetnym jedzeniem, popijałem piwem i czułem euforię. Później dowiedziałem się, że danie, które zjadłem, nazywa się odzachuri i występuje w różnych wersjach, czyli z różnymi mięsami, od baraniny po kurczaka. Sosy niektóre knajpy podają w standardzie, w innych trzeba domówić.

W przerwie między potrawami podszedłem do zespołu i zapytałem, czy gra coś z repertuaru Dire Straits. Kilka minut później usłyszałem taką wersję *Sultans of swing*, że gdyby to wykonanie redaktor Kaczkowski usłyszał przed 1995 rokiem, to osobiście poleciałby do Anglii, aby usilnie namawiać Knopflera do rozwiązania zespołu i przejścia na emeryturę. Po tym kawałku posłuchałem jeszcze trochę, a skończywszy posiłek, odwdzięczyłem się, kupując w barze butelkę wina dla zespołu. Zapłaciłem rachunek i natychmiast uciekłem z knajpy, bojąc się, że Gruzini nie pozostaną dłużni i też postawią, a ja później im, później oni znowu mnie... Po poprzednim wieczorze nie miałem już na to sił. Sił, podkreślam, bo ochota była.

## WYKŁAD

Rano cud. Po wczorajszym kacu ani śladu. Łyk czaczy od ratujących mnie Gruzinów, kubek wina od zwariowanej ekipy z marszrutki plus parę piw nie mogły uczynić mi krzywdy. Poza tym spałem pełne dwanaście godzin, szczelnie przykryty kołdrą, bo w pokoju było zimno jak sto diabłów, z powodu awarii ogrzewania. Marzyłem o gorącym prysznicu, ale przecucie mnie nie myliło – z kranu leciała tylko zimna woda. Zapytany o ciepłą, młody Gruzin z recepcji rozłożył ręce i nie potrafił odpowiedzieć, czy będzie i kiedy. Umyłem jedynie zęby – ta szczątkowa toaleta musiała wystarczyć.

Ruszyłem w miasto w poszukiwaniu śniadania. Gruzińska koncepcja śniadania nie pokrywa się z naszą, ale herbata plus buła typu czeburek z mięsem jest dostępna na każdym rogu. Do mojego stolika dosiadł się starszy pan i zapytał, skąd jestem. Pan był w Polsce kilka razy, w zakładzie naprawiającym wagony kolejowe i znał trochę język, z obowiązkowym „kurwa mać” na czele. Powiedział to właśnie, zaśmiał się z dowcipu, a potem spoważniał i przemówił mniej więcej tak:

– Ja tu teraz z żoną przy córce, ale wcześniej myśmy w Tbilisi mieszkali. Emerytury słabe, zdrowia nie ma. Ale ten wasz prezydent to bohater. Wiesz, Ruscy byli już blisko Tbilisi. Gdyby nie on, to oni by weszli. I popatrz, chłopcze, na mapę. No, nie masz mapy, ale powinienesz wiedzieć, że tu w Batumi to już jest Adżaria, Gruzini przerobieni przez Turków na muzułmanów. Turcja uważa te tereny za swoje i Turcy by nie czekali, tylko też by weszli, żeby przed Ruskimi zdążyć i to, co uważają za swoje, zając. A może i trochę więcej. To mały kraj, a tu w Adżarii nikt by się tym nie martwił, bo w Turcji to jednak mają lepsze życie, niż tu. I tak by Gruzja przestała istnieć, rozdzielona przez Ruskich i Turków. A dzięki waszemu prezydentowi i pozostałym nie weszli jednak Ruscy. Bo się bali. I tylko szkoda, że taki człowiek w katastrofie zginął... To straszne... Szanuj, chłopcze, waszych prezydentów, bo nam to się ani jeden nie udał... Żal... Żal i wstyd. No, pójdę już. Do widzenia, szczęśliwości!

Wstał, podał mi rękę i odszedł gdzieś na zaplecze baru, który najprawdopodobniej należał do jego córki lub zięcia. Ile mógł mieć lat? Nazywał mnie „parniem” i „malczikiem” (rosyjskie парень, мальчик), więc musiał być sporo starszy. Pewnie liczył z dziewięćdziesiąt lat. Nawet



nie zdążyłem odpowiedzieć mu cokolwiek. Wygłosił wykład i natychmiast odszedł.

## OGRÓD BOTANICZNY W BATUMI

Za kilka godzin miała do mnie dojechać ekipa Darka Kazimierskiego i połączyć ze mną po mieście, zatem zostało mi niewiele czasu, aby odwiedzić ogród botaniczny, który leży nieco za miastem. Chociaż dojazd jest stosunkowo łatwy (jak cały transport w Gruzji), to wziąłem taksówkę, wcześniej ustalając cenę za przejazd. Tutaj uwaga – róbcie tak w Gruzji, a unikniecie drobnych nieporozumień. Nie ma tu w prawdzie znanego w Polsce zwyczaju bezczelnego dymania pasażerów, ale i tak warto z góry ustalić zasady.

Ogród botaniczny w Batumi jest ogromny, zajmuje 110 hektarów, czyli jest cztery razy większy od ogrodu w Lublinie, jedenaście razy od ogrodu w Krakowie, pięć razy od ogrodu w Poznaniu i czternaście razy od ogrodu we Wrocławiu. Celowo podaję te porównania z różnymi ogrodami, w nadziei, że w którymś z nich Państwo byliście. Łatwiej wtedy wyobrazić sobie to miejsce i zaplanować czas zwiedzania. Proszę jeszcze do tego dodać widok na morze i mamy odpowiedź, czy miejsce warte jest zobaczenia.

W czasie mojej wizyty zieleń nie wybuchła jeszcze z całą siłą, ale i tak było co oglądać, czyli roślinność z kilku kontynentów. Miejsce wymaga znacznie dłuższego czasu zwiedzania, niż miałem do dyspozycji, ale trudno, lepiej tyle niż nic, bo Batumski Ogród Botaniczny to piękny kontrast dla pstrokatego i hałaśliwego miasta. Przy wejściu czeka na turystów niespodzianka rodem ze Związku Radzieckiego. Goście zagraniczni płacą za bilet więcej niż obywatele Gruzji. Znów nie pamiętam cen z 2014 roku, ale w 2018 roku bilet dla zagranicznej osoby dorosłej kosztował dwadzieścia dwa złote.

Trzy godziny później byłem z powrotem w mojej bazie noclegowej, nazwanej dla zmyłki hotelem i z udawaną naiwnością wypisaną na twarzy zapytałem o sytuację z wodą. Recepcjonista w międzyczasie się zmienił. Ten nowy nawet nie wiedział, że ciepłej brak. Albo udawał, że nie wie. Wszedł nawet ze mną do łazienki, odkręcił kran, sprawdził ręką temperaturę, pokręcił głową i rozłożył ręce w dokładnie takim samym geście, jak jego poprzednik. Kilka lat później jedna z Polek mieszkających na stałe w Tbilisi powiedziała, że ten powtarzający się gest nazywa „gruzińską foczką”. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się więcej, ale

zapytałem o wodę dla sportu, bo dwie noce da się przeżyć bez kąpieli. Może to nawet zdrowe?

Chwilę potem dojechała ekipa Darka i poszliśmy w miasto. I co by tu napisać? Że było ładnie? No, ładnie. Ciekawie? Ciekawie. Do tego oryginalnie, kontrastowo i blablabla. Niezwykły ruchomy pomnik-instalacja, futurystyczne budynki projektowane albo po czaczy, albo po trawie, nowoczesne place imitujące klasykę, długi nadmorski bulwar, cerkwie i meczety, knajpy, apartamentowce, hotele, park z delfinarium (było nieczynne), masa szwendających się turystów z dużą reprezentacją Polan – czyli wszystko, o czym nie muszę pisać, bo od tego są przewodniki.

Łaziliśmy, łaziliśmy, łaziliśmy, aż rozboleły nas nogi, więc usiedliśmy w końcu w klimatycznej piwniczce. W ramach testu spróbowałem chinkali z innym nadzieniem niż mięsne i przestrzegam, że nie warto. Proszę pozostać przy wersji klasycznej. Wersje niemięsne mogą się schować przy polskich pierogach. Później miałem okazję rozmawiać z Polakami, którzy podróżowali po Gruzji regularnie i wszyscy zgodnie powtarzali, że bezmięsne wersje chinkali to bezwartościowa fanaberia, niewarta miejsca w żołądku. Ujmę to tak – gdybym umiał, to metodą bulimików pozbyłbym się tych pierożków z żołądka i zrobił miejsce na coś innego. Walnąłem parę piwek dla lepszego trawienia i było po imprezie. To znaczy ja byłem po imprezie, bo ekipa Darka jeszcze poszła trochę pozwiedzać.

Powolnym krokiem wróciłem do budynku o złudnej nazwie hotel. Z czystej przekory zapytałem o gorącą wodę, po czym poszedłem spać. Śniły mi się słowackie baseny termalne i kłęby gorącej pary. Po jakiejś godzinie obudziło mnie pukanie do drzwi. Nie kumałem systemu zmian na recepcji, ale widocznie o dwudziestej drugiej pojawił się kolejny recepcjonista, a z wyglądu raczej nocny stróż, który miał już swoje lata. Przepraszał, że mnie obudził, ale dowiedział się, że jest problem z wodą oraz z ogrzewaniem i chciał mnie pocieszyć, że ciepła woda będzie rano, a także poczęstować koniakiem (szczęśliwie nie czaczą, której bym już nie zdzierzył), który mnie rozgrzeje. I co miałem robić? Pogniewać się na starszego pana za to, że chciał mi jakoś osłodzić gorycz chłodu? No, to flaszka pękła, potem ja, mający już podkład z paru piwek, skoczyłem do sklepu i przyniosłem kolejną. Powtórka z rozrywki.

## DRUGI PORANEK W BATUMI

Opisywana w poprzednim rozdziale akcja odbyła się w hotelu (taaa, hotelu...) Verona, który mieści się przy ulicy Noe Shordania 17. Wybrałem to miejsce ze względu na świetne położenie, nie planując oczywiście nic z tego, co się tam wydarzyło. Podaję namiary, bo niektórzy z Państwa będą chcieli uniknąć oferowanego tam poziomu usług, a inni wręcz przeciwnie, wybiorą tam nocleg, aby poznać nocnego stróża, miłego pana w granicach siedemdziesiątki. Proszę go pozdrowić i przekazać, że następnego dnia miałem ochotę obciąć sobie bolącą głowę szczoteczką do zębów lub strzelić sobie w plecy z łuku. Oczywiście, proszę też podziękować za troskę.

Wstałem koło dziewiątej. Obudził mnie wspomniany wyżej ból głowy, którego wcześniej nie znałem. Nieraz miewałem kaca piwnego, ale mieszanka piwa i koniaku oraz, co oczywiste, nadmiar tychże, zrobiły swoje. Przyrzekłem sobie, że przechodzę na abstynencję.

Ciepłej wody znowu nie było. Była za to „gruzińska foczka” w wykonaniu pana, który mnie meldował pierwszego dnia. Nie zważając na zimno, wszedłem pod prysznic, żeby chociaż trochę dojść do siebie. Zęby myłem kilkakrotnie, połknąłem kilka tabletek z paracetamolem, wytarłem się w prześcieradło (dopiero po kąpieli zauważyłem, że na wyposażeniu nie ma ręcznika) i wyczołgałem się na miasto. Musiałem coś zjeść, żeby stanąć na nogi.

Po paru minutach siedziałem już przy stoliku w jakimś lokalu. Pani kelnerka zapytała, czy popiłem wczoraj. zaproponowała gruzińską specjalność na kaca, czyli chaszi, miejscowe flaki. Pomyślałem, że to może być lepszy pomysł niż nasz żurek i zamówiłem. Gdy jednak okazało się, że ichnie flaki są grubo krojone w kwadraty i prostokąty, a nie, jak u nas, w drobne paski, które pomagają zapomnieć, że to jednak flaki, czyli fragmenty układu pokarmowego zwierza, przeraziłem się i prawie oddałem na stół wczorajsze wegetariańskie chinkali. Tym bardziej że nasze flaki pływają w przejrzystym bulionie z ziołami, a to coś, co pani podała, miało barwę rozrzedzonego wodą mleka. Za chińskiego boga nie dałbym rady tego przełknąć. Odstawiłem miseczkę na bok, deklarując, że zjem później i zamówiłem chaczapuri w kształcie wrzeciona (adżarskie) z jajkiem. To był strzał w dziesiątkę. Polecam na kaca. Biało, wapń i węglowodany. Magnez i potas można dopełnić jakimś suplementem. O klinowaniu nie

było mowy, nie wziąłbym alkoholu do ust. Zjadłem chaczapuri, wypilem colę i mega słodką gruzińską lemoniadę z dużą ilością lodu, po czym poszedłem jeszcze raz zobaczyć cerkiew świętego Mikołaja (ulica Parnavaz Mepe), która wczorajszego wieczoru zrobiła na mnie spore wrażenie.

Miałem czas. Wiedziałem, że muszę trochę odczekać, zanim wsiądę w powrotną marszrutkę do Kutaisi. Cerkiew za dnia okazała się równie ciekawa, co wieczorem, podświetlona, ale wewnątrz było zaskakująco ubogie. Gdy ma się dookoła kłujące w oczy Las Vegas, wszystko, co jest z innego, spokojniejszego świata, urasta do wyższej rangi. I to jest piękne, bo każde Batumi (Makao, Reno, Międzyzdroje...) ma swoje ciche uliczki, w których znajdzie się coś naprawdę godnego uwagi.

Po wizycie w cerkwi poszedłem w miasto na oślep i trafiłem na pozostałość po Związku Radzieckim – budynek stacjonarnego cyrku, który, jak się okazało, ogłaszał na plakacie bieżący program. No proszę! W Związku Radzieckim sztukę cyrkową ceniono na równi z muzyką symfoniczną i tendencja ta przetrwała do dziś. W Batumi, w Mińsku na Białorusi i w Czarnej Dupie Niegdyś Radzieckiej nadal działają stacjonarne cyrki. Nam też próbowano zaszcześcić ten klimat. W Warszawie zbudowano ongiś, według bułgarskiego projektu, stacjonarny cyrk, który nigdy nie zafunkcjonował, bo miał taką ilość wad konstrukcyjnych grożących katastrofą, że Straż Pożarna, nawet pod presją ścięcia głowy Komendantowi Głównemu, nie dała zgody na użytkowanie obiektu. Uroczyste otwarcie się jednak odbyło, a jakże. Cyrk stał pusty latami, a do historii przeszedł dzięki temu, że załapał się jako plener kilku scen z filmu *Miś*, a mianowicie tych z meliny-kotłowni, w której leci tekst: „Czy ja palę? Pani kierowniczo! Ja palę cały czas! Na okrągło!”. Takie to myśli śmigają mi po skacowanej głowie, gdy siedziałem sobie na krawężniku naprzeciw budynku batumskiego cyrku.

## BLOKI I BALKONY

Gdy już napatrzyłem się na budynek cyrku i przetrawiłem w głowie wszelkie skojarzenia, łącznie z tymi oczywistymi (że ZSRR upadł, ale Rosjanie dalej królują w sztuce cyrkowej, że są najlepsi na wielkich scenach cyrkowych, takich jak Monte Carlo, a przeciętniacy w tej dziedzinie jeżdżą z chałturami po hotelach w basenie Morza Śródziemnego, ścigani w swojej klasie jedynie przez Chińczyków), nabrałem sił, aby wstać i przejść do przystanku marszrutek. Nie zdecydowałem się jednak na jazdę do Kutaisi. Bałem się powtórki z jazdy na raty. Miałem dosyć promili i nawet widok win na wystawach sklepów budził we mnie odruch obrzydzenia. Nigdzie mi się nie spieszyło, miałem w planie jedynie samolot kolejnego dnia, więc godzina zjawienia się w Kutaisi nie miała znaczenia.

Ruszyłem zatem z przystanku marszrutek wprost pod górę, mijając dwie uliczki ze sklepami, z których towar wylewał się wprost na chodnik (u nas sklepikarz w takiej sytuacji musiałby zapłacić miastu za powierzchnię handlową, a tu pełen luz – znów plus dla Gruzji), dwa warsztaty samochodowe i w końcu trafiłem na ślepą ulicę, którą zamykał blok. Zwyczajny mieszkalny blok, jakich i u nas nie brakuje. U nas i w innych ex-demoludach. Usiadłem dosłownie, bo na chodniku naprzeciw, i jednocześnie w przenośni, bo z wrażenia.

Lubię gapić się na bloki, a dokładnie na balkony. Na balkony starych bloków z wielkiej płyty, bo na tych nowych niewiele się dzieje. Nowe, zadbane, opłacone comiesięczną czapką pełną pieniędzy dla banku, który dał kredyt, mogą ciekawić jedynie zboczeńców z lornetkami i różnej maści fetyszystów, obserwujących, jak stringi suszą się na balkonowym sznurze. Ja wolę stare bloki z wielkiej płyty, które wbrew obiegu opinii różnią się od siebie.

Weźmy Poznań i poznaniaków, za którymi nie przepadam, bo to skąpcy pierwszej wody, ale szanuję ich za porządek. Weźmy ich bloki na dowolnym, starym osiedlu z wielkiej płyty. Wszędzie wokół sprzątnięte, ogarnięte, pomalowane, a na balkonach pusto, porządnie, sporadycznie rower lub jakieś „przydasie”, ale nie dużo tych „przydasiów”. Niewielka część balkonów zabudowana, ale tak, aby latem dało się to zdemontować, rozsunąć, dać mieszkaniu powietrze i światło.

We Wrocławiu w wielkiej płycie jest inaczej. Brudno, ludzie karmią gołębie, które odwdzięczają się sranie gdzie popadnie, a balkon to nie tyle miejsce wypoczynku, ile dodatkowa spiżarnia czy składzik-graciarnia. To specjalność tych, którzy przenieśli się ze wsi do miasta. Pozostali trzymają na balkonach rowery, coraz częściej pojawiają się też stoliki i ogrodowe krzesła. Tak mają mieszcuchy z prawdziwego zdarzenia. Widać też sporo patentów zasłaniających widok do wysokości barierek. Niewiele można zza nich zobaczyć, poza gołębim gównem wokół bloków. I psim, bo jeden na dziesięciu wrocławianin sprząta po swoim pupilu. Sporadycznie pojawiają się kwiaty w skrzynkach. Montują je ci, którzy chcą uratować honor osiedla.

Zostawmy Polskę i przenieśmy się na Białoruś. Tam większość starych bloków ma balkony przerobione na dodatkową powierzchnię przylegającego doń pokoju. Szyby, ramy, ocieplenie, montaż na stałe, bo komu potrzebny jest zbytek? Z wnętrza mieszkania nawet nie widać, że był tu kiedyś balkon – szkoda miejsca na niego. Nawet, jeśli mieszkanie jest spore. To pozostałość mentalna z czasów „komunałek”, czyli wspólnych mieszkań dla dwóch czy trzech rodzin. Na rodzinę przypadał jeden pokój, a korytarz, łazienka i kuchnia były wspólne. Wtedy liczył się każdy metr powierzchni.

Teraz Rosja z lat dziewięćdziesiątych. Petersburg, czasy kryzysu. W wieżowcu, w mieszkaniu niedoszłej narzeczonej kolegi Grzegorza Zińczuka z pozoru nic się nie dzieje. W końcu to blok elity – nauczyciele, artyści, urzędnicy. Niedoszli teściowie Grzeška byli kimś. Nie pamiętam szczegółów, ale wykładali w konserwatorium, śpiew lub grę na jakimś instrumencie. Na balkonie hodowali rzodkiewkę i ogórki. Mało odważnie – sąsiedzi z piętra trzymali w klatkach perliczki, część dla siebie, część na handel wymienny. Sąsiedzi z dołu natomiast hodowali w klatkach króliki. Między pręty barierek wszyscy coś tam wciskali, a to kolorowe pasy z PCV, a to jakąś plecionkę ze sznurków, żeby z zewnątrz nie było widać, że inteligenci trudnią się hodowlą.

Blok w Kazachstanie, a dokładnie „wtaraj mikrorajon” w Ałma-Acie. Mieszkanie Tatiany Stupko, co to dziś jest jakąś fiszą. Kraty na balkonach od parteru po czwarte piętro. Powód prosty – kradzieże i włamania do mieszkań.

W końcu Gruzja, Batumi. Nieotynkowana wielka płyta. Cztery piętra, pięć klatek schodowych położonych nietypowo, z tej samej strony, co

balkony, ale co nietypowe, może okazać się logiczne, bo blok jest przyklejony do wzgórze. Każdy balkon inny. Pierwszy – pordzewiałe barierki, sam balkon zmurszały, pewnie za jakiś czas się urwie, ale to chyba puste mieszkanie. Kolejny balkon zabudowany finezyjnym, pomalowanym na czerwono drewnem, wykończenie nie tak piękne, jak w starych, gruzińskich domach z werandami i podcieniami, ale coś na ten wzór, pewnie to najbogatszy mieszkaniec bloku, który się nie wyniósł do własnego domu, bo lokalizacja świetna... Kolejny balkon i okna mieszkania – dykta zamiast szyb, dykta na balkonie, ale jednocześnie tłok, grubas w białej koszulce pali, młódka trzyma niemowlaka na rękach, niska jejmość, pewnie żona grubasa, rozwiesza pranie. Na sąsiednim balkonie grillują. Boki balkonu zasłonięte przed wiatrem pordzewiałą blachą, widać jakieś graty, totalny pierdolnik. Pozostałe balkony każdy inny, każdy połatany czym się da, na połowie wisi pranie, na połowie są jacyś ludzie, którzy albo zawzięcie dyskutują, albo wpatrują się w panoramę miasta, mimo wczesnej godziny. Gapią się na ludzi i na ulice, po których jeżdżą zdychające moskwicze, graty z Japonii, z Niemiec i tylko gruziński, autokefaliczny, prawosławny Bóg wie, skąd jeszcze! Auta, którym miejscowi spece od mechaniki dali kolejne życie, oraz szpanerskie nówki sztuki – merole, beemy, audice, a nawet hammary prosto z salonu. Jest na co się gapić...

Te balkony to festiwal blachy, drutu, dykty, plastiku, sznurka, rozmaitych patentów. Część pomalowana na szaro, część na kolorowo – każdy według uznania właściciela. Życie wre. Żałuję, że nie mam lornetki. Ani rozumu, aby to wszystko ogarnąć. Socjolog miałby łatwiej. Albo trudniej, bo jemu mógłby uciec ten spontaniczny zachwyty, który był moim udziałem.

Bieda? Sporo jej, niestety, ale ona jakaś taka kolorowa, wesola, energiczna i pstrokata. Pewnie lepsza od naszej biedy – szarej, ponurej, leniwej i agresywnej, w której standardem nawiązywania kontaktu z obcym są słowa: „Co się, kurwa, gapisz?”. Siedzę więc i patrzę na te balkony, pewny, że gdybym wstał i wszedł do dowolnego mieszkania w obserwowanym bloku, to nie dostanę po gębie, tylko zostanę poczęstowany herbatą, kawałkiem chleba i czymś do niego. Z tą pewnością w głowie wstałem i niespieszny krokiem poszedłem na przystanek, by wsiąść do pierwszej wolnej marszrutki jadącej do Kutaisi.



## JAZZ

W marszrutce do Kutaisi panował spokój. Spokój, ale nie cisza. Kierowca puszczał na cały głos rosyjski, tandetny pop, który nikomu nie przeszkadzał. Rosjan nienawidzą, ale pop im się podoba. Schizofrenia? Niekoniecznie. Niemców u nas też się nie kocha, szczególnie emerytowanych kolejarzy, ale volkswagen zawsze wygrywał z polonezem. Tyle że tu trochę inaczej, bo, jakby nie patrzeć, swojej muzyki mają Gruzini w bród, łącznie z popem. Coś zatem jest w tej tandecie, że im się podoba. Muszę o to zapytać, ale nie teraz. Teraz spokojnie jadę, nie odzywam się i cieszę, że żołądek siedzi spokojnie na miejscu i daje żyć.

W pewnym momencie dojeżdżamy do przejazdu kolejowego. Nie wiem, czy to specjalne rozwiązanie chroniące szalonych kierowców, czy przypadek, ale oprócz „leżącego policjanta” tempo jazdy zmniejsza podwójny ostry zakręt przed torami. Najpierw w prawo, za chwilę „leżący policjant”, następnie ostro w lewo i dopiero potem wjazd na tory. Nie ma bata, kierowca musi zwolnić i zredukować bieg. To samo jest po drugiej stronie przejazdu. Drogowe esy-floresy w służbie narodu. Niezłe. U nas też by się coś takiego przydało. Przed urnami wyborczymi.

Chwilę później normalny w Gruzji widok. Niczym nie zrażone krowy niemrawo reagują na klakson i powoli schodzą na pobocze. Powoli, bez żadnych nerwowych ruchów, przyzwyczajone do dzielenia się drogą z samochodami. Zupełnie inaczej niż u nas, gdzie zabłąkana na drodze krowa, przestraszona klaksonem, odskakuje gwałtownie, czasami w stronę pastwiska, czasami wprost na auto. Zatem nie tylko ludzie tu inni niż u nas, bo bydło również. Mniej spięte. Ktoś, kto podróżuje po Gruzji, zobaczy ten obrazek nieraz i po którymś z kolei przepychaniu się samochodu ze stadem przestanie w końcu robić zdjęcia. Od czasu do czasu pojawi się na trasie również samotny lub prowadzony na uwięzi kłapouch. Gdy prowadzą go dzieci bądź kobieta, trudno uciec przed skojarzeniem z filmem *Osiółek Magdany* z 1955 roku, w reżyserii debiutującego wtedy Tengiza Abuładze oraz Rewaza Czcheidze.

Film jest zrealizowany w duchu podobnym do włoskiego neorealizmu i usatysfakcjonuje również tych widzów, których Gruzja jako taka nie interesuje, a kino owszem. *Osiółek Magdany* jest krótki, trwa niewiele ponad godzinę. Jest to dzieło na wskroś gruzińskie. Akcja toczy się

w czasach carskich, a rola osła jest znacząca. Biedna wdowa, mieszkająca z dziećmi na oddalonej od miasta wsi, zarabia na życie, sprzedając w mieście jogurt własnej produkcji. Zarabia niewiele, ale liczy się każdy grosz. Do miasta jest daleko, worki z jogurtem ciężkie, a Magdana nie ma konia ani nawet osła, który mógłby wozić towar do miasta. Przemęczenie Magdany pokazuje reżyser przez zbliżenia twarzy z teatralną dosłownością, tak, że widz zaczyna szczerze współczuć. I tu zdarza się cud – bogaty kupiec Mitu (z wyglądu obleśny, spasiony i wredny typ) porzuca przy drodze umierającego osła, którego znajdują dzieci wdowy. Pod ich opieką osioł wraca do życia i zaczyna pomagać Magdanie w pracy. Żyć nie umierać, bo co innego dźwigać samemu, a co innego iść sobie bez obciążenia ze zwierzęciem, który może wziąć na siebie o wiele więcej niż człowiek. Szczęście jednak nie trwa długo, bo przypadkowo spotkany Mitu poznaje swojego osła i żąda zwrotu. Sprawa trafia do sądu, który wydaje (nie napiszę, jaki) wyrok. Ważne jest to, że na rozprawie o osła stawia się cała wieś, od starców po boscie dzieci, dając świadectwo solidarności. Jeżeli ktoś potrzebuje usystematyzować sobie świat, to scena w sądzie powinna stać się częścią składową skomplikowanej definicji „gruzińskości”.

Wreszcie Kutaisi. Jeszcze spacer po bazarze, szaszłyk na obiad i autobus numer 1 do centrum. Do hotelu pięć minut pieszo. Klucz, wyrko, kołdra. Sen.

Obudziłem się po osiemnastej. W łazience ciepła woda. Raj. Z książką pod pachą wyszedłem na miasto. Z restauracji, której nazwy nie pamiętam (dziś jest tam lokal dla kibiców z transmisjami piłki nożnej z całego świata) dochodziły dźwięki próby zespołu. Jazz? Jazz! Sympatyczny kelner wyjaśnia mi, że koncert zaczyna się za godzinę, wejście jest płatne – dwadzieścia lari, ale to nie jest bilet, tylko kwota obowiązkowej opłaty za konsumpcję. Można skorzystać lub nie. Świetne rozwiązanie na wyeliminowanie tych, którzy by przyszli tylko posłuchać, nie zamawiając nic. Szkoda stolików, bo miejsce musi zarabiać, zespół też nie gra za darmo, tylko za procent od obrotu. Miałem więc dwadzieścia żelków kredytu w barze, co było sporą kwotą, bo wtedy herbata kosztowała jeden żelek, krem z fasoli trzy i pół, szaszłyk pięć, piwo półtora (informacja z moich notatek), a spożycia alkoholu tego wieczoru nie planowałem. Szczęścia dopełniał fakt, że część stolików pod oknami i wzdłuż ścian oddzielona została parawanami, więc mogłem przy najmniejszym z nich dyskretnie usiąść z boku i czekać na występ, czytając książkę.

Ruch zrobił się przed samym koncertem, ale na mnie, skulonego w kącie nad kolejną herbatą, nikt na szczęście nie zwracał uwagi. Zespół zaczął grać i po raz kolejny omal nie spadłem z krzesła. Gruzini mają jakiś naturalny dryg do muzyki – jazz, rock, folk czy przyśpiewki biesiadne o dupie Maryny, wszystko w najlepszym gatunku. Muzyka i jedzenie to może być pomysł na poznawanie Gruzji dla tych, których nie kręcą krajobrazy, historia czy zabytki. Spanie do późnego popołudnia, potem uczta dla uszu i brzucha. I tańce do białego rana, bo w Gruzji nie trzeba szukać dancingu czy dyskoteki, aby potańczyć w lokalu. Jak jest muzyka, choćby taka z płyty czy z radia, to ludzie, jak chcą, to tańczą i nikt się temu nie dziwi. Zsuną stoły, zrobią miejsce, a jak się nie da, to i na stołach.

Po którejś z kolei herbacie musiałem udać się do toalety. I to mnie zgubiło. Sikający do sąsiedniego pisuaru Gruzin popatrzył na moją bladą gębę, włosy barwy świński blond oraz jasne oczy i nie omieszkał zapytać, skąd jestem. Odpowiedziałem i w myślach postanowiłem uciekać, bo wiedziałem, czym grozi w Gruzji świeżo zawarta znajomość. Niestety, nie zdążyłem nawet zabrać książki ze stolika i kurtki z oparcia krzesła, kiedy kumpel od pisuaru dosiadł się razem z kolesiem. Przynieśli po kielonku. No i szlachetny zamiar abstynencji poszedł się czochrać. Skoro oni postawili, to ja też nie chciałem być dziadem, w końcu to rodzaj reprezentowania ojczyzny na obczyźnie. Zamówiłem. Nie tłumaczyłem nawet, że ja tylko piwo, bo było mi już wszystko jedno. Potem oni zamówili. Potem znów ja. Potem skończył się koncert, ale nie nasze spotkanie.

Obudziłem się nad ranem z trampkiem w gębie. Rozebrany, ułożony we własnym łóżku hotelowym. Ciuchy leżały elegancko poskładane na krześle. Saszetka z kasą i dokumentami na stole. Obok saszetki kartka z numerem telefonu.

Wstałem, umyłem zęby i położyłem się z powrotem do łóżka, ale nie mogłem zasnąć. Wstałem zatem po raz drugi, wykąpałem się i zszedłem na śniadanie. Poprosiłem pana z recepcji, aby na numer z kartki wysłał informację, że jestem cały, zdrowy i że dziękuję. Zaznaczyłem jednak, żeby nie pisał od razu, tylko dopiero, gdy wyjdę z hotelu, bo samolot miałem około jedenastej, a było kilka minut po ósmej. Ryzyko, że wczorajsi kompani pojawią się, aby mnie pożegnać, było zbyt duże. Tego pożegnania mógłbym nie przeżyć.

Na lotnisko pojechałem razem z ekipą Darka. Wsiadłem w samolot, w którym nie działo się nic szczególnego, i po trzech godzinach z minutami

wylądowałem w cholernie nudnej, w porównaniu z Gruzją, ojczyźnie.

# **GRUZJA SŁODKO-GORZKA**

## PARĘ SŁÓW NA POCZĄTEK I TROCHĘ NA SERIO

W 2018 roku pojawiły się bezpośrednie loty z Wrocławia do Kutaisi. Rok wcześniej, na festiwalu podróżniczym w Opolu, poznałem Marcina, który mieszka w Tbilisi i prowadzi firmę turystyczną. To spotkanie dało mi impuls, aby wrócić do zawieszzonego książkowego projektu pod roboczym tytułem *Gruzińskie peregrynacje szurniętego Zyźka*. Poza tym temat „Polak w Gruzji” wydawał się ciekawy sam w sobie, bo to intrygujące, jak nasi tam sobie radzą. Miałem notatki i zdjęcia z pierwszej wizyty w Sakartwelo, i przeczytałem wszystko, co o Gruzji i Kaukazie dostępne jest we wrocławskich bibliotekach. Byłem mentalnie gotowy na pisanie, tym bardziej że pozytywne recenzje mojej nowowydanej książki *Białoruś – imperium kontrastów* dodawały mi zapału do pracy. Wystarczyło zapakować zadek w samolot i lecieć po materiał.

Plan był precyzyjny w jednym aspekcie – nie chciałem jako kolejny autor pisać o tematach wielokroć powielanych w książkach, artykułach prasowych i blogach – jak się je chinkali, czym jest supra, kim jest tamada i tak dalej. Wolałem uchwycić te wrażenia, których może się spodziewać nowicjusz na tym terenie. Zaplanowałem kolejne dwie wizyty, ze świadomością, że jak będzie trzeba, to liczbę wyjazdów się zwiększy, maksymalnie do trzech lub czterech, ale nie więcej. Nie planowałem bowiem ani szczegółowego przewodnika, ani pracy naukowej, tylko książkę, pisaną być może z błędami, ale bliską w sposobie patrzenia przeciętnie wnikliwemu obserwatorowi, jakim jest każdy, kto po raz pierwszy, drugi lub trzeci trafia do nowego kraju. Po lekturze całej masy publikacji bałem się też, że jak zacznę się zagłębiać w kolejne tematy, to z prostej książki, której celem jest pomoc czytelnikom w decyzji, czy warto odwiedzić Gruzję, czy lepiej wybrać „all inclusive” na Majorce, zrodzi się jakiś pokręcony wywód mądrali, któremu zdaje się, że coś zrozumiał. Obawiałem się również tego, że skomplikowana materia, jaką bez wątpienia jest Gruzja, wciągnie mnie w niekończące się studium i zamiast pisać ze świadomością swoich ograniczeń i niedostatków, poświęcę się przełamywaniu tychże braków, nadrabianiu wiedzy i tak dalej, a to zajmie lata. Jak już podkreślałem wcześniej, nie takie było założenie.

W swoim planie utwierdziłem się po rozmowie z profesor Marią Filiną, która powiedziała, że o Gruzji najłatwiej pisze się tym, którzy temat zaledwie „liznęli”, tacy mają powierzchowne, ale świeże i czasami ciekawe spojrzenie. Zaś ci, którzy w Gruzji mieszkają kilka lat, są przekonani, że w pełni pojęli tutejszą rzeczywistość i mają w głowach za mało informacji na encyklopedię, a zarazem za dużo na zwykłą książkę. Pewnie dlatego tak niewiele piszą. Najtrudniej mają ci, którzy osiedlili się tu przed kilkudziesięciu laty i zapuścili już korzenie – po tak długim czasie dochodzą do wniosku, że Kaukazu nie rozumieją nic a nic.

Może to oczywistość, ale przed wizytą w Gruzji warto czytać nie tylko przewodniki, nawet gdyby się planowało krótką wizytę. Również mniej udana czy mocno subiektywna książka wzbogaci turystę o dodatkowe pokłady wrażliwości, a to zaowocuje głębszymi doznaniem i większą przyjemnością z podróżowania. Książka pomoże też lepiej odnaleźć się w miejscowych realiach, co zapewne już w jakimś stopniu uzasadniłem w pierwszej części niniejszej publikacji. Poza książkami, w czasach Internetu, mnogości blogów i forów, istnieje cała masa artykułów i wypowiedzi, które pomogą wniknąć w tematykę. Wizyta w Gruzji bez wcześniejszej lektury jest jak oglądanie irańskiego filmu bez napisów. No chyba, że to jest irański film dla dorosłych, ale nie o tym tu mowa.

## BEZ BRAW DLA PILOTÓW

Czasami miewam to szczęście, że podczas podróży w samolocie dzieje się coś ciekawego lub że poznaję kogoś interesującego. Lecąc do stolicy Białorusi, miałem okazję porozmawiać z prawdziwym zwolennikiem prezydenta Łukaszenki, podczas pierwszego lotu do Gruzji poznałem Polkę, która wybierała się do rodziny gruzińskiego narzeczonego, a w samolocie do Nowego Jorku z Warszawy byłem świadkiem pięknej sceny, jak rolnik spod Łomży prostym uderzeniem w szczękę uspokaja pijanego i awanturującego się rodaka, którego nie potrafiły przywołać do porządku prośby i groźby stewardes. Po laniu warchoł siedział już grzecznie do samego końca podróży.

Teraz w samolocie z Wrocławia do Kutaisi niewiele się działo. Oj tam, niewiele – nic się nie działo! Większość pasażerów leciała po raz pierwszy, skuszona niską ceną lotu i coraz większą popularnością Gruzji. Ktoś celował w Batumi, ktoś w stolicę, ktoś inny w Interior. Było sporo Czechów, którzy planowali wspinaczkę. Wszystko znormalniało. Po wylądowaniu jakaś niemłoda już pani, która chyba dawno nie leciała samolotem, próbowała zainicjować brawa dla pilotów, ale nikt, poza mną, nie podjął współpracy. Zdziwiona, a może nawet zawstydzona, odpuściła. Jakiś mądrała skomentował głośno, że taki głupi obyczaj to chyba tylko Polacy i Rosjanie mają i że to wstyd. Nie chciało mi się z nim polemizować, bo chociażby taki Gay Sorman w pierwszym rozdziale książki *Made in USA* napisał o latach sześćdziesiątych:

*W tamtych czasach słowo „czarter” było zaproszeniem do świata marzeń; nie oznaczało jeszcze trudów podróży uzależnionej od przypadku. Czarter sprawił, że dla całej generacji studentów podróże stały się możliwe (...). Podróżowano wtedy niewiele, samolot był drogi, a na dodatek czuliśmy strach (...). W tamtych czasach pasażerowie oklaskiwali kapitana, który dowiózł ich do portu.*

Podobnych tekstów nie brakuje w literaturze, ale aby je znać, jednak trzeba oglądać te irańskie filmy z napisami, a nie jedynie niemieckie pornole bez tłumaczenia. Lata temu rozmawiałem na ten temat ze



stewardesą LOT-u, która powiedziała, że wielu pilotów, i to nie koniecznie ze starszego pokolenia, żałuje, że obyczaj klaskania zamiera.

Na lotnisku w Kutaisi sporo zmian, i to na plus. Przede wszystkim był czynny kantor i, co najważniejsze, z kursem takim jak wszędzie, a nie tak jak u nas, gdzie na lotniskach doi się frajerów, czyli skupuje walutę po cenie zaniżonej, a sprzedaje po zawyżonej do tego stopnia, że nawet pijany Angol zorientuje się, że jest dymany bez pardonu. Plus dla Gruzinów.

Zaraz obok kantoru znajdowało się stanowisko z kartami do telefonów. Tam wszystko zostało dokładnie rozpisane, co i jak, czyli ile kosztuje Internet, ile połączenia. Dwie sprytne dziewczyny obsługiwały podróżnych w tempie expressowym, a jak coś nie działało, to brały od delikwenta telefon i grzebały w ustawieniach. Znały każdy model telefonu, stary lub nowy, bez względu na firmę. Coś absolutnie fenomenalnego, bo co chwila pojawiała się przy ladzie pierdoła taka jak ja, która nawet nie wiedziała, gdzie w jego telefonie jest miejsce na kartę sim. Tempo godne podziwu i wszystko z uśmiechem na twarzy, szczególnie gdy obsługiwały Polaków, którzy byli święcie przekonani, że jak dodadzą quasi rosyjskie końcówki do polskich słów, to znaczy, że mówią po rosyjsku. Ale to nie problem, bo ten „język” obsługa też znała i wszystko szło sprawnie. Za dwadzieścia złotych wystarczyło bajtów czy czegoś tam, w czym się liczy Internet, na ponad tydzień rozmów, smsów i surfowania w sieci. Znów plus dla Gruzinów.

Kolejną nowością były porządniejsze od marszrutek małe autobusy linii „Georgian Bus”, które zabierały podróżnych z lotniska do centrum miasta, do Batumi i do stolicy. Rozkład został skorelowany z godzinami przylotów i gdy opóźnia się lot, to autobus też poczeka. Nie liczę już plusów dla Gruzinów, ale to kolejny. Można zarezerwować przejazd w Internecie lub bilet kupić na miejscu. Trasa z Kutaisi do Tbilisi to wydatek rzędu trzydziestu złotych. Autobus jechał cztery godziny, bo to w sumie około 260 kilometrów, bez typowego dla marszrutek ścisku. W dodatku podróżowało się w wygodnych fotelach i z klimatyzacją, co ma znaczenie po ponad trzygodzinnym locie. Był wybór – można tak, można marszrutką, można na stopa.

Przy okazji warto wspomnieć o trzech rzeczach, które warto zabrać z Polski. Po pierwsze – porządne buty. Nie muszę o tym przypominać osobom, które jadą w góry, ale nawet poza górami warto mieć coś konkretnego na nogach. Zwykle sportowe, adidasopodobne to absolutne minimum. Po drugie, sporo jest miejsc mijanych przez Gruzinów

z obojętnością, na które my, Polanie, zwrócimy uwagę – a to jakieś nieopisane ruiny, a to ledwo widoczna ścieżka w las, jakieś zejście do rzeki i tak dalej. Wszędzie dość nierówno, kamienie, gruz i błoto. Na szpilkach lub w klapkach się nie da.

Drugą rzeczą wartą zabrania jest poduszka-rogal zakładana na szyję. Dostępne są jej formy nadmuchiwane, co jest wariantem luksusowym, bo nie traci się miejsca w plecaku, gdy jest już niepotrzebna i gdy można wypuścić z niej powietrze. Dzięki tej poduszce głowa nie opada podczas zasypiania w samolocie, można też położyć poduszkę na stoliku i przekimać „na gwoźdźcu”. Rogal przyda się również w marszrutce – dzięki niemu głowa nie obija się o szybę. W pociągu również lepiej się jedzie z takim rogalem. Wygląda to oczywiście bardzo niegłobtrotersko, ale ja osobiście mam to gdzieś i wisi mi miękkim dzyndzlem, czy wyglądam na Tony’ego Halika, czy na safandulę z Ciechocinka. Ma być wygodnie i już.

Trzecia rzecz warta zabrania to wilgotne chusteczki, dedykowane niemowlęcym zadkom. Publiczne toalety w Gruzji potrafią być – no, jakby to ująć – lekko niezobowiązujące. Czasami lepiej iść za przysłowiową stodołę, w krzaki, czyli generalnie w plener. W krajach byłego Związku Radzieckiego słynny wierszyk (autor nieznany) nabiera prawdziwego sensu:

*Jak przyjemnie w letniej porze  
Walnąć klocka gdzieś na dworze,  
letni wietrzyk w pupę dmucha,  
a nad kupką brzęczy mucha.*

Już bardziej dosłownie nie potrafię tego wyjaśnić. W sumie u nas też przez lata nie było różowo, ale ZSRR i jego dziedzictwo w dziedzinie toalet to klasa sama w sobie, mogąca śmiało konkurować z niektórymi miejscami w Azji lub w Afryce.

Pozostałe rzeczy zabieramy według woli, pogody, planów, możliwości, fantazji i miejsca w plecaku.

Do Tbilisi jechałem linią „Georgian Bus”. W drodze zaobserwowałem wiele ciekawych zjawisk. Warsztaty samochodowe – jeden przyklejony do drugiego – przerabiają stare samochody, malują, spawają, wzmacniają podwozia i zawieszania, coś montują dodatkowo lub na odwrót, wymontowują zbędne elementy. W ten sposób skazane na niebyt auta zza

granicy zaczynają w Gruzji nowe, radosne życie. Nie ma rzeczy niemożliwych – dostawcze przerabia się na pasażerskie, pasażerskim zwiększa się pojemność masy ludzkiej, dokłada się schowki czy bagażniki na dachach, na których czasami przewozi się ładunek większy niż same auto – prawdziwie wolna, radosna twórczość. Stosowane przez miejscowych patenty nawet nie śniły się konstruktorom pierwotnych wersji tych aut. To niesamowite, jakie parametry można otrzymać, gdy ma się mały warsztat, trochę części i masę fantazji. Oto prawdziwe wykorzystanie surowców wtórnych, bez specjalnych dyrektyw brukselskiej gówniażerii z gilami w nosie. To, co w Japonii wylądowałoby na złomie, tu się przyda i zostanie wykorzystane z pożytkiem.

Kanapowi turyści, zafascynowani południowoamerykańską sferą wolności, którą pan Wojciech Cejrowski pokazuje w swoich (ja też je lubię) filmach, będą zachwyceni Gruzją. To jest nawet nie najgorszy pomysł – zanim ktoś na własną rękę ruszy w Amerykę Południową czy inną dzicz, powinien w Gruzji odbyć ćwiczenia próbne. Taniej, bliżej, bezpieczniej i trochę mniej hardcorowo, ale zawsze w klimacie swobody, jakiej u nas już dawno nie ma, co stwierdzam z żalem. Bo jeżeli mam ochotę jechać hybrydą samochodu i starej pralki, to chyba moja sprawa?

Tu od razu pojawia się temat gruzińskiego stylu jazdy. Pozornie jest bałagan, co widać szczególnie w miastach, ale gdy się temu lepiej przyjrzeć, to w tym szaleństwie jest metoda. Jeżeli droga ma dwa pasy, ale na tyle szerokie, aby zmieściły się trzy rzędy aut, to jadą trzy rzędy, a czasami i cztery. Jazda na zakładkę jest normą, tak jak wciskanie się, kombinowanie czy jazda zderzak w zderzak. Dzięki temu wszyscy poruszają się szybciej, sprawniej i, co najważniejsze, nie widać powszechnej u nas drogowej agresji. Jest ciasno, aut jest nadmiar, ale jakoś to wszystko w ścisku funkcjonuje. Osobiście, jako drogowa pierdoła i szczerze niecierpiący motoryzacji kierowca z musu (prawie milion przejechanych kilometrów na koncie), za nic nie chciałbym tu prowadzić samochodu, ale jako pasażer nawet przez chwilę nie czułem się niepewnie ani w marszrutkach, ani w taksówkach czy prywatnych autach. Polacy, którzy osiedlili się w Gruzji, szybko adaptują się do tego stylu jazdy i niektórzy nawet go chwala. Ja jednak, mimo wszystko, pozwole sobie pozostać lekko sceptyczny. Bo wolność ma także konsekwencje. Nie ma bata – jeżeli dochodzi do zderzenia dwóch poprzerabianych aut, których poziom bezpieczeństwa jest niski, to o nieszczęście łatwo i mimo braku

poczucia zagrożenia na drodze, nie opuszczała mnie świadomość, że dopiero konkretna policyjna statystyka mogłaby dać mi pełny obraz zjawiska.

Po jakiejś godzinie jazdy kierowca stwierdził, że ma ochotę na kawę, więc po prostu zatrzymał się przy jednym z przydrożnych barów. Wypił, coś tam zjadł, pasażerowie rozprostowali kości i pojechaliśmy dalej.

Marcin z ekipą, jadący z Kazbegi, chciał przechwycić mnie po drodze. W tym celu, aby ustalić szczegóły, podałem swój telefon kierowcy, który dogadał z pracownicą Marcina, na której stacji paliw ma mnie wysadzić. I już. W Polsce, w oficjalnych liniach autobusowych takie uprzejmości dla podróżnych są niewykonalne – przepisy ich zabraniają. A tu wolność. Kierowca wysadził mnie na trasie, kilkanaście minut później podjechał Marcin, odwieźliśmy jego pracownicę do domu i pojechaliśmy na północ.

## MITSUBISHI DELICA

Nie jest możliwe, aby po kilku dniach pobytu w Gruzji, szczególnie tam, gdzie kręci się sporo turystów, nie zauważyć nadreprezentacji jednej marki samochodu. Tym autem jest Mitsubishi Delica, auto masowo ściągane z Japonii. Oczywiście z kierownicą po niesłusznej, czyli brytyjsko-japońsko-cypryjsko-indyjsko-maltańskiej stronie. Znaczący się po prawej. Gruzińskie przepisy nie zabraniają w kraju z ruchem prawostronnym jeździć takimi pojazdami i ze względu na stosunkowo tanie, używane modele tego typu w Japonii, właśnie stamtąd ściągają się je masowo. Masowość tego zjawiska sprawia, że Gruzini nauczyli się jeździć w duetach – siedzący po lewej stronie pasażer podpowiada, czy droga jest wolna i dalej! Do tego lusterka ustawia się pod odpowiednim kątem i jakoś to idzie, nawet gdy kierowca nie ma towarzysza na lewym siedzeniu. Jak ktoś się boi, może nie wsiadać i już. Delicę ściągają się do Gruzji ze względu na jej cechy praktyczne, przydatne w obsłudze turystów. Oprócz kierowcy w środku mieści się sześciu pasażerów, do tego dochodzi proporcjonalnie niewielkie zużycie paliwa i sprawa staje się oczywista. Dość wysoko zawieszony busik nadaje się na gruzińskie dziurawe drogi jak mało które auto. Istnieją też modele z napędem na cztery koła. Oczywiście lepszy byłby typowy samochód terenowy, ale taki na starcie kosztuje kilka czapek pieniędzy więcej, części są droższe, a do środka nie da się wsadzić, mimo gruzińskiej fantazji w tej dziedzinie, zbyt wielu ludzi. Niektórzy miejscowi kierowcy zaraz po zakupieniu Delici oddają ją w ręce speców od przeróżnych patentów, którzy dodatkowo zabezpieczają podwozie i zawieszenie przed skutkami jeżdżenia po Sakartwelo. Wadą tego samochodu jest jego tylna kanapa. Pasażer powyżej metra osiemdziesięciu będzie cierpiał. W dodatku środkowe miejsce jest twarde i niewygodne. Turyści radzą sobie z tym problemem, zamieniając się co jakiś czas miejscami. Drugim lekarstwem na tę niedogodność jest spożywanie miejscowych trunków, co pasażerowie czynią z ochotą, szczególnie ci, którzy trafiają tu po raz pierwszy i nie mają za sobą podobnych doświadczeń. Alkohol znieczula na wszelkie niewygody.

Taką właśnie delicą zabrał mnie Marcin. Delicą w bogatszej wersji, dobrze wyposażoną i w pełni sprawną, co w przypadku aut w gruzińskich rękach nie jest rzeczą oczywistą. Gruzini mają większą cierpliwość do

różnego rodzaju tajemniczych dźwięków, które wydaje auto. To, co zaniepokoi z miejsca Polaka, który zaraz zacznie sprawdzać, jaka jest przyczyna, mniej poruszy miejscowego kierowcę. Skoro coś dzwoni, stuka i puka, ale mimo tego samochód jedzie, to znaczy, że można poczekać z wizytą w warsztacie. Polak nie będzie czekał. Nie, żebyśmy byli aż tak racjonalni w tych sprawach jak Niemcy, ale mimo wszystko jesteśmy bardziej od Gruzinów odpowiedzialni. I tu pojawia się temat na kolejny rozdział-dygresję, po którym wrócę do zasadniczej treści. Rozdział „Jak podróżować po Gruzji” okazał się najtrudniejszym wyzwaniem w całej książce. Żeby przedstawić różne poglądy, nasiedziałem się w necie, a potem przy telefonie. Zebranie odpowiedniej ilości opinii w środku lata, kiedy ludziom nie chce się korespondować z kimkolwiek, a tym bardziej z jakimś tam Zygmuntem, było trudne, ale wykonalne. Wszystkim respondentom dziękuję, ze szczególnym uwzględnieniem Agaty i Piotra Barszczewskich, z którymi już jestem na „ty” i po kufelkach we wrocławskim zagłębieniu piwnym „Pod nasypem”.

## JAK PODRÓŻOWAĆ PO GRUZJI?

Wszystko zależy od tego, jaki jest plan, cel, budżet i nastawienie. Jeżeli ktoś przylatuje po to, aby spędzić czas na wędrówkach po górach, to najlepiej dojechać publicznym transportem do bazy wypadowej i z głowy. Podobnie w przypadku wyjazdów czysto imprezowych, np. do Batumi, czy do stolicy – marszrutką taniej i mniej wygodnie, lepszymi liniami typu „Georgian Bus” niewiele drożej, a bardziej komfortowo. Dojechać, zakwaterować się i na balety!!!

Można jechać autostopem, ale wiadomo – im większa grupa, tym trudniej. Solista, duet czy trójkę (znów świńskie skojarzenia) jakoś sobie poradzi, z większą grupą może być trudniej. Jazda autostopem ma swoje wady. Można utknąć gdzieś w trasie, bo Gruzini postanowi zabrać was do domu, a im ciężko się odmawia. Poza tym kierowca, który was zabierze, może i jedzie do tego samego punktu co wy, ale w drodze może mieć sto spraw do załatwienia – odebranie części do auta od wuja Dodo, podwiezienie lekarstw dla ciotki Sopho, która stwierdzi, że no, moi drodzy, przynajmniej na herbatę to musicie wejść i tak dalej, i tak dalej. Trasa stukilometrowa wydłuży się niemiłosiernie, bo tutaj ludzie mają inne poczucie czasu i nikt się nie przejmuje, że macie tylko tydzień na zwiedzanie. Na zwiedzanie, a nie siedzenie w samochodzie. Trzeba być tego świadomym. No chyba, że przylatuje się tu właśnie po to, aby poznać ludzi, to wtedy autostop ma sens. Przygoda gwarantowana w stu procentach.

Złapanie okazji w Gruzji to sprawa naprawdę łatwa. W tym punkcie nasze teoretycznie zakumplowane nacje dzieli przepaść. W Gruzji czeka się na kierowcę chętnego do podwózki kilka minut, w Polsce zdarza się nawet parę godzin i zabierze nas najczęściej ten, kto sam kiedyś bujał się stopem. Stara gwardia pamięta nawet czasy specjalnych książeczek autostopowicza. Popytajcie ludzi w wieku torfu, to opowiedzą, jak się jechało na pace ciężarówki i nikt, nawet milicja się nie czepiała, że przepisy i tak dalej. Później się coś zrypało. Ludzie wymyślali różne powody, żeby nie zabierać pasażerów. Najpopularniejszą wymówką była opowieść o tym, jak to „znajomy wziął parę młodych ludzi na stopa, a ci pocięli mu tylne siedzenie żyłkami”. Gdyby brać to na serio, to wyszłoby na to, że po Polsce grasują

jakieś bandy z żyłkami, mające układ z samochodowymi tapicerami, którym zapewniają popyt na naprawy siedzeń. W Gruzji jest inaczej.

Mylą się ci, którzy dowodzą, że ta chęć pomocy wynika z kompleksu niedostatku i że jak się Gruzini wzbogacą, to też przestaną zabierać. Mnie ostatnio wiózł Gruzin autem o prezencji walizki z pieniędzmi, wyglądający na bardzo nadzianego. Podobne doświadczenia mają również inni, którzy kręcą się po Gruzji stopem.

Ostatnio spóźniłem się na PKS w Sycowie i machałem dokładnie pięćdziesiąt pięć minut. I kto mnie zabrał? Człowiek, który za młodu sam jeździł po Polsce stopem, pan Wiesław Frąszczak, wrocławski przedsiębiorca. Dwadzieścia pięć lat temu łapałem przy gierkówce stopa wspólnie z Norweżką Hildą Larsen. Wtedy na auto czekało się krócej i Hilda była Polką zachwycona, bo według jej opowieści w Norwegii nieufnie patrzy się na kogoś (przynajmniej wtedy tak było, nie wiem, jak jest teraz), kto szuka okazji przy drodze. Skoro samochód to dobro łatwo dostępne, to ktoś, kto go nie ma, wzbudzał podejrzenia. Co kraj to obyczaj.

Sam podwoziłem często ludzi, żeby się po drodze nie nudzić. Najfajniej zabierało się na tak zwaną okazję babule z zakupami. One zawsze miały przygotowaną kwotę, będącą mniej więcej równowartością ceny biletu autobusowego i po podwiezieniu chciały płacić. Honorowo. A jak były wdzięczne, gdy dowiadywały się, że nic się nie należy! Kiedyś jedna babula się uparła, że zapłaci, ja jej na to, że nie ma potrzeby, bo i tak jadę tą trasą, w dodatku służbowym samochodem, więc nie ma tematu. Zdziwiona kobiecina wyszła z auta, po czym, zanim zatrzasnęła drzwi, wrzuciła na fotel pięć złotych i uciekła, żebym czasem jej tych pieniędzy nie oddał. No to wieczorem za te pięć złotych kupiłem co trzeba i wypłem za jej zdrowie.

Innym razem wiozłem spod Wyszkowa parkę do Białegostoku. Chłopak usiadł z przodu, dziewczyna z tyłu. Mówię im, że zabieram ludzi po to, aby mieć z kim pogadać w trasie. Dziewczyna niemal zsunęła się na podłogę, a chłopak tak się zaczął jakoś dziwnie kurczyć i zapadać w sobie, jakby rozmowa była gigantycznym wyzwaniem. Zapytałem, o co chodzi, a ten mi na to, że nie wie, o czym miałby mówić. Rozbawiony sytuacją, specjalnie wyciszyłem radio i odpowiedziałem, że na pewno jakiś temat się znajdzie. Młodzian zaczął intensywnie się zastanawiać, a minę miał jak Pomysłowy Dobromir z bajki. Po kilku minutach jego oblicze niemal eksplodowało ze szczęścia, chłopak odwrócił uśmiechniętą fizys w moją stronę i obwieścił triumfalnie:



– Mam temat! Jak pan sądzi, czy są już grzyby?

W życiu się tak nie śmiałem, bo jechaliśmy odcinkiem Wyszaków-Ostrów Mazowiecka, trasą, wzdłuż której tubylcy z ogromną ilością grzybów w koszach sprzedawali je przejeżdżającym. Był środek sezonu.

W Gruzji funkcjonuje też kolej, ale sieć nie jest rozbudowana, więc objazdówka po kraju pociągiem jest praktycznie niewykonalna. Są, co prawda, wygodne połączenia, jak trasa Tbilisi-Batumi, pociągiem szybkim i nowoczesnym, ale to kropla w morzu potrzeb. Dla przykładu – pociąg z Tbilisi do Kutaisi jedzie sześć godzin, czyli ponad dwie godziny dłużej niż marszrutka.

Można również wynająć samochód. Jest to wersja przystępna cenowo, zwłaszcza przy czterech osobach. Jeżeli ktoś czuje się dobrym kierowcą, poza tym lubi emocje w czasie drogi, niekończące się omijanie dziur i wjeżdżanie w te, których ominąć się nie da, to można skorzystać z tej możliwości. To może być nawet fascynujące dla fanów motoryzacji.

Oczywiście jest inaczej, gdy chcemy jechać gdzieś w prawdziwy Interior, a inaczej, gdy podróżujemy między dużymi miastami i po utartych szlakach. W Interior przyda się wózek z napędem na cztery koła. Ważne jest dokładne sprawdzenie umowy, warunków ubezpieczenia i wszelkich dokumentów. Auto trzeba przejrzeć, sprawdzić, czy hamulce są sprawne, opony nie zdarte, a niektórzy radzą nawet porobić zdjęcia w obecności wypożyczającego. W jakiejś małej wypożyczalni można dostać samochód niemal „na gębę”, gorzej, gdy coś się przytrafi po drodze, bo wtedy ten sympatyczny kraj może pokazać całkiem inne oblicze.

Miałem okazję poznać w barze w Kutaisi przesympatyczną trójkę młodziaków z Krakowa, którzy cieszyli się, że dostali auto od gościa, którego nie widzieli na oczy, klucze czekały w umówionym punkcie u przysłowiowej dziuni i nikt nie chciał żadnych podpisów, wystarczyło zamówienie wypełnione przez Internet i zostawiona gotówka. Może jestem starym piernikiem, ale uważam, że to mało rozsądne. Szczęśliwie młodziacy nie mieli złych przygód i problemów z ustaleniem, kto płaci za szkody.

Ponieważ wypożyczanie samochodów to biznes jak każdy inny, to zajmują się nim również Polanie mieszkający w Gruzji. Można zatem wybierać między światową siecią, renomowaną firmą gruzińską, firmą polską oraz panem Zenkiem z przypadku.

Kolejny wariant to przemieszczanie się marszrutką plus autostopem. Jest to dobre rozwiązanie dla tych, którzy chcą zjechać z utartych szlaków albo połączyć dwie trasy w jedną. Może przykład z życia. Kwaterujemy w stolicy i chcemy odwiedzić Gori, a potem Mcchetę, ale marszrutki bezpośrednio z Gori do Mcchety nie ma. Teoretycznie powinno wrócić się do Tbilisi, a stamtąd jechać do Mcchety, ale można też inaczej – kierowca jadący do Tbilisi z Gori wysadzi nas przy zjeździe z autostrady, nawet kawałek podrzuci, a dalej można już łapać stopa. Z Mcchety do Tbilisi jest już marszrutka bezpośrednia. Do tego można dołożyć taksówkę, jako opcję awaryjną. Taksówki są tanie, ale warto ustalić cenę przed podróżą.

Można również wynająć na kilka dni samochód z kierowcą. Udało mi się rozmawiać z dwiema grupami, które obwozili po Gruzji właściciele ich kwater. Obie grupy były zadowolone. Jednak wzięcie przypadkowego, niezawodowego kierowcy z ulicy to jedno z najgorszych rozwiązań – na jedną zadowoloną grupę przypadnie pięć zawiedzionych. Zastrzegam – może okazać się to dobrą opcją, ale warto pamiętać o ryzyku.

Wyjaśniając, na co narażamy się w takiej sytuacji, pozostanę obojętny na zarzuty o kryptoreklamę i pochwałę firmy turystyczne prowadzone w Gruzji przez Polaków lub Gruzinów, którzy żyją z wożenia ludzi. Przede wszystkim należy zdawać sobie sprawę, że zarówno stan dróg gruzińskich, spory ruch, jak też i ich specyfika (np. górskie serpentyny) sprawiają, że należy tu inaczej czytać odległości. Sto kilometrów w Gruzji to o wiele więcej niż sto kilometrów w Polsce. Dlatego, mimo że jest to państwo wielkości podwojonego województwa mazowieckiego, nie da się być w ciągu tygodnia wszędzie, na północy i południu, na wschodzie i zachodzie. To znaczy da się, ale wtedy spędzi się czas w aucie, a na zwiedzanie go zabraknie. I tu punkt dla polskich firm, bo Polak mieszkający w Gruzji z miejsca oceni wasz plan podróży i powie to wprost, jeśli w określonym czasie będzie on niemożliwy do zrealizowania. Autochton (kierowca okazjonalny, taki co nie żyje z transportu) wzięty z ulicy, dla którego tygodniowe zlecenie to okazja (mówimy o kraju z poważnymi kłopotami gospodarczymi) nie powie, że się nie da. Pojedzie, ale w drodze plan może się wysypać.

Oto przykład. Marcin opowiadał o jakiejś ekipie z Polski, która była w Gruzji na służbowej imprezie integracyjnej. Załamała się pogoda, droga do zaplanowanego miejsca w górach okazała się nieprzejezdna. Marcin zdecydował – za duże ryzyko, nie jedziemy. Szef tej grupy chciał jednak

pokazać, jaki z niego kozak, globtroter i kolejne wcielenie Jacka Pałkiewicza. Poszedł na miasto, znalazł bez problemu chętnego do jazdy Gruzina. Zapłacił z góry. W połowie trasy okazało się, że wszystkie auta stoją, jest niebezpiecznie i trzeba wracać. Strata pieniędzy, czasu, nerwów. Plus niepotrzebne ryzyko.

Czy ta sytuacja oznacza, że Gruzini są oszustami? Zdecydowanie nie. To jest głębszy temat różnic kulturowych, ale żeby nie zanudzać, wyjaśnię go w skrócie. Na Kaukazie żaden facet nie przyzna się do tego, że coś jest niewykonalne, że nie wie czegoś, że się nie orientuje. To sprawa honorowa. Będzie próbował dokonać niemożliwego, bo ambicja bierze górę nad rozsądkiem. Druga sprawa – samochód z ulicy to jednak większe ryzyko awarii. A awarie mają to do siebie, że trafiają się częściej na bezludziu, a nie przed warsztatem samochodowym. Należy też pamiętać, że w Gruzji nie ma instytucji przeglądu technicznego, nie ma obowiązkowego ubezpieczenia aut, a nawet OC i to może okazać się źródłem problemów.

Kolejna sprawa – z polskim przewodnikiem możecie z góry ustalić budżet na noclegi, jedzenie etc. Zaproponuje on wam coś rozsądnego albo powie wprost – w tej cenie się nie da. Gdy wysypie się jakiś plan, będzie miał gotowy wariant zastępczy lub poinformuje szczerze, że zostaje do wyboru albo knajpa, albo (jak mawiali kaowcy w ośrodkach Funduszu Wczasów Pracowniczych) zajęcia w podgrupach. I tyle.

Idźmy dalej. Kierowca z ulicy może słabo znać lub wcale nie znać angielskiego, prędzej będzie znał rosyjski. Jeżeli wy nie mówicie w tym języku lub tylko trochę, a coś wyjdzie nie tak, on wykręci się tym, że nie rozumiał albo że wyście nie zrozumieli. Może też rzeczywiście się nie dogadacie. Miało być dwie godziny jazdy, a wyszło trzy i pół? On przecież mówił, że trzy i pół. Nie zrozumieliście, nie jego wina – „gruzińska foczka” i już. No przecież nie przyzna się, że się zagadał i pomylił drogę! Bez złośliwości czy chęci oszustwa. Przyznawanie się do błędu jest tu po prostu niehonorowe.

Kolejna sprawa – polski organizator pobytu pełni dwie funkcje na raz, jest kierowcą, ale i przewodnikiem. Ma sporą wiedzę, wie z doświadczenia, co Polakom się podoba, a co nie. Zaserwuje turystom masę opowieści i proszę się nie dziwić, że często będzie znał Gruzję lepiej niż miejscowy. Kierowca z ulicy raczej nie będzie miał wiedzy przewodnika.

Chciałbym też podkreślić, że jeżeli wariant wzięcia kierowcy z ulicy motywowany jest oszczędnością, to w rezultacie koszty końcowe mogą

okazać się większe, niż zaplanujecie. Oczywiście co innego, gdy traktujecie wyjazd jak przygodę – bierzecie kierowcę z ulicy, bo taka Wasza fantazja i niech się dzieje, co chce! Wtedy jest to bardzo dobry sposób na przeżycie czegoś, czego nigdy nie zapomnicie – w sensie pozytywnym lub negatywnym. Jednak, jak mawiał sołtys Wąchocka, sikając na ogrodzenie pod prądem: jest ryzyko, jest zabawa.

Polski przewodnik nie wywróci waszego planu do góry nogami. Gruzini też nie zawsze, ale może się tak zdarzyć. Jeżeli godzinę drogi dalej, niż planowaliście nocleg, będzie miał kumpla z agroturystyką, to na bank was tam zawiezie, zapewniając że jest to miejsce lepsze, wygodniejsze i poręczniejsze jako baza wypadowa na kolejny dzień. Jeśli przypomni sobie, że mógłby po drodze załatwić sprawę w mieście X, a jedziecie do Y, będzie was przekonywał, że Y jest guzik warte, za to w X same meczyje. Zmiękczeni czaczą dacie się nabrać, a on nie będzie miał wyrzutów sumienia, bo przecież nie zmuszał, a jedynie namawiał. Zdolność do sugestywnego przekonywania Gruzini mają we krwi.

Może się też okazać, że wasz kierowca musi nagle zakończyć podróż, bo jego sprawny samochód okazał się sprawnym inaczej i rozkraczył się na środku drogi. Albo może się okazać, że babcia nagle zachorowała, przyleciał kuzyn Irakli z Niemiec, pojawiła się możliwość stałej pracy za godziwe pieniądze i tak dalej. I znów – nie chodzi o oszustwo. Proszę pamiętać, że tutaj relacje z bliskimi są o wiele ważniejsze niż wasz plan podróży, który przecież można skorygować. Oczywiście w takiej sytuacji otrzymacie propozycję wspólnej podróży do domu waszego kierowcy. Jak trzeba, to Gruzini ugoszczą, nakarmią i napoją, ale plan wyprawy nagle zniknie, jak słynny inwestor z Kataru i depozyty w Amber Gold. No chyba, że taki właśnie macie pomysł na wizytę w Gruzji, żeby przypadek układał scenariusz, to wtedy hulaj dusza, piekła nie ma.

Oczywiście opcja z polskim (lub innym oficjalnym) organizatorem jest droższa od przypadkowego kierowcy z ulicy, ale to wiadomo na starcie, bo wycenę otrzymuje się przed wizytą w Gruzji i można na coś się zdecydować lub nie. Ja osobiście wolę transport publiczny, raz w życiu byłem na wycieczce z dużą grupą zorganizowaną i żałowałem, ale w małej grupie znajomych to zupełnie inna sprawa. We dwie lub trzy osoby kręciłbym się po Gruzji transportem publicznym i trochę stopem, ale przy sześciu ludkach rozważyłbym wynajęcie auta z kumatym kierowcą.

Po Gruzji można też polatać i to za niewielkie pieniądze. Niedaleko Tbilisi, w miejscowości Natachtari ma swoją bazę linia Vanila Sky. Mały przykład – za sto czterdzieści złotych można polecieć z Tbilisi do Mestii, a z Kutaisi do Mestii tą samą linią zapłacimy siedemdziesiąt pięć złotych. Leci się małym, kilkunastomiejscowym samolotem produkcji naszych południowych sąsiadów i taki przelot to już przygoda sama w sobie. Emocje gwarantowane. Piękne widoki też. Linia rozszerza ofertę i trzeba obserwować na bieżąco, co nowego proponuje.

Rower? Owszem, widuje się tu sympatycznych sakwiarzy. W Kutaisi spotkałem Czechów lekko zszokowanych realiami, co nie dziwi, jeżeli się wie, jakie warunki mają rowerzyści w Czechach. Spotkałem zaprawionych w jeździe Irańczyków, którzy przyjechali ze swojej stolicy, czyli ponad 1500 kilometrów, oraz lekko skacowanych Polaków, którzy umiejętnie łączyli rower z innym transportem. Jak potrzebowali przerzucić się gdzieś szybko lub ominąć jakiś mega ruchliwy odcinek, to ładowali rowery na marszrutkę i tyle. Oczywiście nie każda marszrutka ma jak zabrać rowery, ale część z nich jest wyposażona w różnego rodzaju bagażniki-patenty własnego pomysłu i sprytny kierowca jakoś to załaduje, bo tu się ludzi nie zostawia z problemem.

Mój wydawca Stanisław Pisarek jechał rowerem z Tbilisi do Kazbegi Gruzjińską Drogą Wojenną i nie narzekał na samochody, a jest to w mojej ocenie trasa ze sporym ruchem. Ja bym nie miał przyjemności z dzielenia drogi z samochodami, a jeżdżę sporo. W Gruzji natomiast absolutnie bym tego nie chciał, nawet za dopłatą. Zatem to kwestia indywidualna, ale na pewno Gruzja nie jest krajem dla niedzielnych rowerzystów, dla których przejażdżka holenderką w weekend to wyczyn godny upamiętnienia na Facebooku. Ważne, żeby nie zapomnieć o zestawie narzędzi, zapasowych dętkach i tak dalej, ale co ja się tu wymądrzam – rowerzyści wiedzą, co i jak.

A co z motocyklami? Przemek Trzynadlowski (o naszych przygodach w Mińsku możecie poczytać w książce *Białoruś – imperium kontrastów*) był na motocyklu w Gruzji trzy razy, narzekał nieco na kulturę jazdy miejscowych, ale zapytany na potrzeby tego tekstu, jaki środek transportu by wybrał, gdyby pojechał po raz czwarty do Gruzji, bez wahania odpowiedział, że motocykl.

Są jeszcze konie. Nie mam na myśli (choć, kto wie...?) pokonywania trasy Kutaisi-Batumi w siodle, ale w Gruzji jest sporo miejsc, gdzie się

jeździ na tym dziwnym stworzeniu. Miłośnicy twierdzą, że konie urodzone wysoko w górach są nie do zarznięcia (pewnie górale wożący bryczkami turystów do Morskiego Oka byłiby innego zdania...) i doskonale sprawdzają się w trudnym terenie. Jak powiedziała jedna z polskich przewodniczek – w jednej ręce butelka, w drugiej kielich do wina, a koń sam pilnuje drogi i radzi sobie na każdym podłożu. Dodała jeszcze, że konie to jeden z największych, coraz częściej odkrywanych przez turystów gruzińskich skarbów. Coś jest zapewne na rzeczy, skoro urządza się tu kilkudniowe wyprawy w siodle. W dodatku nie trzeba mieć do tego końskiego zdrowia. Moja rekomendacja jest z drugiej ręki, bo jedyny koń, którego lubię, a właściwie kobyła, to ta z filmu *Miś*, która nie chciała ciągnąć wozu z węglem, dopóki nie dostała swojej porcji czyściochy.

Najważniejsza rzecz, bez względu na sposób poruszania się po Gruzji – zawsze warto mieć ubezpieczenie. W tej chwili to wydatek rządu trzydziestu złotych za tydzień, w sumie tyle co nic. W sieci są porównywarki ofert, można sobie coś znaleźć, bo jak mawiają przezorni (płacący ZUS na czas) i wierzący w Opatrzność fryzjerzy: „Strzyżonego Pan Bóg strzyże”.

Na koniec pragnę wyjaśnić określenie „kierowca z ulicy”. Nie mam na myśli osób posiadających busa, czy vana, stojących na postoju i oczekujących na zlecenia przewozu. Takim ludziom można zaufać i skorzystać bez większych obaw. Bo to zawodowcy żyjący z wożenia ludzi. Pisząc „kierowca z ulicy” mam na myśli kogoś, kto ma jakieś auto, sporo czasu i chęci, a jednocześnie nie pracuje zawodowo i chętnie zarobi czapkę żelków na wożeniu kilku turystów. W polskich warunkach takich atrakcji brak, ale w Gruzji wszystko jest możliwe i ktoś dopiero co poznany w barze, czy pod kantorem, może propozycję swoich usług złożyć. Można skorzystać, lub odmówić – pełna wolność. Mi się osobiście podoba, gdy jest wybór. Jak mawia kat do skazanego – ma pan wybór: topór, albo miecz!

## DROGA DO KAZBEGI

Zatem dosiadłem się do ekipy Marcina i ruszyliśmy w drogę. Do Kazbegi (obecna nazwa – Stepancminda) jedzie się drogą, po której śmigali starożytni Rzymianie i Persowie, a później najbardziej pokojowo usposobieni mieszkańcy kuli ziemskiej, czyli Rosjanie, którzy kręcili się po Kaukazie, nawiązując liczne przyjaźnie z miejscową ludnością, które przetrwały carat, Związek Radziecki i dalej trwają. Jak wiadomo, Rosjanie to naród gościnny – jak przyjadą gdzieś w gości, to zostają na lata.

Przejazd historyczną drogą stanowi atrakcję samą w sobie, bo jest ona niezwykle widowiskowa – w najwyższym momencie wjeżdża się na wysokość ponad dwóch tysięcy metrów. Wykuta w skale, dosłownie wyrwana górom, wije się i pnie wzwyż. Z jednej strony skała, z drugiej wąwóz, na samym dole rwąca rzeka, a skały raz pokryte zielenią, a w innym miejscu znowu gołe, kolorowe, majestatyczne i groźne. Nie sposób się nudzić. Przy okazji można się poczuć jak Kargul i Pawlak podczas jazdy z lotniska przez Chicago, kiedy dumny Polak wyjaśnia, że Sears Tower pomagał budować niejaki Antoni Michalski. Polski przewodnik prawdopodobnie połechce też waszą narodową dumę, podkreślając, że przebudowę Gruzińskiej Drogi Wojennej nadzorował pochodzący z Pińska, polski inżynier w carskiej służbie, Bolesław Statkowski.

Gości Marcina stanowiła polska, męska grupa z jednym Serbem na dokładkę. Panowie byli w doskonałych humorach, dowcip gonił dowcip, jeden chciał przegadać drugiego, nie było wyraźnego lidera, bo każdy z nich był nim po trosze. Dla mnie sytuacja idealna, bo po latach zabawiania towarzystwa w końcu mnie ktoś zabawiał. Z płyty leciała gruzińska muzyka z łatwym do powtórzenia refrenem, więc towarzystwo się rozśpiewało. Proszę do tego dołożyć trunki, których panowie nie żalowali i obraz jest pełny. Albo inaczej. Proszę znaleźć na You Tube utwór *Kavakasiuri Ballada* w wykonaniu Jgufi Bani i wyobrazić sobie śpiewających w ciasnym wnętrzu samochodu na pełne gardła zadowolonych z życia facetów. Oto klimat tego przejazdu. Między dowcipy co chwila wdzierało się „och i ach” z zachwytu nad widokami, a czasami jakaś refleksja czy spostrzeżenie, chociażby na temat, że to, co oko widzi, można interpretować skrajnie różnorodnie.

Gruzińskie domy i obejścia wymagają napraw i odnowy, widać to gołym okiem. Ktoś dostrzeże tu wielkie możliwości biznesu remontowo-budowlanego, ktoś inny wręcz odwrotnie, stwierdzi, że nie da się tu zarobić, bo nikt nic nie remontuje. Psycholodzy też mieliby tu materiał do sporu, bo jedni mogliby twierdzić, że to kraj szczęśliwych ludzi, którzy nie przejmują się tym, co nieistotne, jak porządek w obejściu, lecz koncentrują na tym, co ważniejsze, czyli na dobrze zaopatrzonej piwnicy i spotkaniach z bliskimi. Jednak psycholog innej szkoły powie, że mamy tu do czynienia ze zbiorową, ukrytą depresją, bo człowiek szczęśliwy to człowiek zmotywowany do działania, dbający o estetykę otoczenia, podwórko, dom...

Komentując gruziński styl jazdy, też można mieć skrajne opinie – ktoś powie, że miejscowi to wariaci i samobójcy, ktoś inny, że geniusze czterech kółek, bo proporcjonalnie do stylu, jaki tu obowiązuje, złego wiele się nie dzieje. Jak jest w istocie? Przecież to bez znaczenia, ważne, że dzięki rozmowie czas mija przyjemnie i każdy może mieć rację. Pięknie!

Skoro pojawił się temat Rosjan, to i ja opowiedziałem dowcip. W przerwie konferencji Putin, Chirac i Schroeder wyszli zapalić. Pierwszy poczęstował Chirac. Papierosy podał w pięknie rzeźbionej, srebrnej papierošnicy. Putin ze Schroederem zapytali, skąd ją ma. Ten pokazał dedykację – „Jacques’owi koledzy z Partii”. Później częstował Schroeder, z papierošnicy złotej. Też pochwalił się dedykacją – „Kanclerzowi Schroederowi Naród”. Putin się nieco mitygował, ale w końcu on też wyciągnął papierošnicę i poczęstował wszystkich. Papierošnica była ogromna, platynowa, z elementami złota, wysadzana kamieniami szlachetnymi. Dedykacja brzmiała – „Michaiłowi Chodorkowskiemu wspólnicy z Jukosu”.

Po drodze minęliśmy co najmniej dwa miejsca godne uwagi, w których mieliśmy pojawić się w drodze powrotnej, mianowicie punkt widokowy przy Pomniku Przyjaźni Radziecko-Gruzińskiej oraz twierdzę Ananuri, położoną więcej niż widowiskowo.

Nie dało się jednak przy tych punktach zatrzymać. Na poboczach i w każdym dostępnym, w miarę płaskim miejscu stało sporo aut, a ludzi rozsianych po okolicy można było liczyć w setkach. Jedni szli w stronę kościoła Lomisa, a pozostali rozstawiali stoły, montowali prowizoryczne dachy z folii i zarzynali zwierzynę. Okazało się, że przez czysty przypadek trafiliśmy na święto Lomisoba, na które, oprócz części stricte modlitewnej,



składa się też całonocna uczta w plenerze, połączona z rytualnym zabijaniem głównie owiec, ale też baranów i kóz. Ponoć tę część imprezy, czyli składanie ofiar ze zwierząt, jako pochodzącą z pogaństwa, cerkiew potępia. Jeżeli tak, to raczej mało skutecznie, bo krwawa jatka trwała w najlepsze. Co kilkanaście metrów ktoś podrzynał zwierzęciu gardło, a ktoś inny rozpalał ognisko i stawiał na nim kocioł z wodą. Kobiety nakrywały stoły, kroїły chleb, robiły sałatki, jakby nigdy nic. Krew spływała w ziemię, jakiś dzieciak z zazdrością patrzył na starszego brata, któremu dumny ojciec pozwolił podciąć owcy gardło. Inny dzieciak, widząc, że robimy zdjęcia, z dumą podniósł z ziemi świeżo obcięty barani łeb i w tryumfalnym geście, jak puchar, uniósł go nad głowę. Potem rzucił łeb na ziemię i pobiegł do obficie zastawionego stołu. Orgia krwi, ognia i prawdziwie odjechanej atmosfery, wartej polecenia wegetarianom i obrońcom praw zwierząt, a także mięsożernym mieszczuchom, kupującym poporcjowane kawałki mięsa w wielkim sklepie i święcie przekonany, że kotlety rosną na drzewach...

Trudno o coś bardziej pierwotnego, dzikiego i naturalnego jednocześnie, a poza tym zwyczajnie ludzkiego – świętować znaczy dobrze jeść. Dobrze i w dużej ilości. A wcześniej zabić, wypatroszyć, zdjąć skórę, poporcjować, unurzać ręce we krwi, poczuć upiorną przyjemność uczestnictwa w tym, czym zajmuje się ludzkość od zarania – w zabijaniu i zjedaniu tego, co się zabiło. Zbiorowa kaźń i wyczuwalna w powietrzu adrenalina wymieszana z testosteronem i oparami alkoholu robiła wrażenie i na mnie, człowieku mało wrażliwym, wychowanym na wsi, dla którego ubój w gospodarstwie nie był czymś nadzwyczajnym. Tu było jednak inaczej, bo czymś innym jest dyskretne zaszlachtowanie jednej sztuki za stodołą, a czymś innym zbiorowe, radosne i świąteczne podrzynanie gardeł wielu przerażonym zwierzętom. Prawdziwy taniec życia i śmierci, festiwal przerażenia ofiar i radości świętujących oprawców, umierania jednych, aby dać pokarm drugim. Patrząc na to wszystko, uśmiechnąłem się w duchu do siebie, na wspomnienie wypowiedzi byłej gubernator Alaski Sary Palin, która powiedziała kiedyś, że „gdyby Bóg chciał, aby ludzie nie jedli zwierząt, to nie stworzyłby ich z mięsa”. Mogłoby to być motto tej imprezy.

Oczywiście Gruzini z miejsca zaprosili nas do stołu i poczęstowali czaczą. W dowód szacunku (tak myślałem – oni mogli mnie wziąć w tej sytuacji za ignoranta lub dzikusa) wszedłem na ławkę i wzniosłem toast wierszem Andrzeja Poniedziałkiego Dom. I tak nie rozumieli, ale

z wypiciem poczekali, aż dokończę. Wyrecytowałam wiersz, dodałam na koniec „Zdrowie Gruzinów” i „hajla bajla” – poszło bez popijania. Gruzini powtórzyli „hajla bajla”! Punkt dla mnie, Później przysiadłem do stołu na moment i autentycznie zdumionym gospodarzom pokazałem egzemplarz przetłumaczonej na polski gruzińskiej epopei narodowej *Witeź w tygrysiej skórze* Szoty Rustawelego. Szczęki opadły im do samej ziemi. Państwu też by opadły, gdyby przypadkowo spotkany Eskimos wyciągnął z za pazuchy egzemplarz *Pana Tadeusza* w tłumaczeniu na yupik. Szkoda, że musieliśmy szybko jechać dalej. Do dziś żałuję – mógłbym zostać i następnego dnia dogonić ekipę.

Do Kazbegi było nie dalej niż godzina drogi. Później dowiedziałem się, że są i tacy, którzy po odkryciu radosnej i upiornej Lomisoby specjalnie na tę okazję przylatują tu z Polski. A jeśli już mowa o tradycjach pochodzących z pogaństwa, to godną uwagi jest *berikaoba* (w starszych opracowaniach spotyka się termin *berikoba*), misterium płodności w formie teatru-maskarady, impreza bez zbiorowego zarzynania zwierząt, za to kolorowa, z fantazyjnymi strojami występujących „aktorów” i oczywiście kończąca się ucztą. Gdyby ktoś chciał popatrzeć na jatkę, a nie pasuje mu termin Lomisoby, to 28 sierpnia obchodzona jest Mariamoba, która odbywa się w wielu miejscach, bo to święto związane nie tyle z miejscem, co z postacią. W nazwie święta znajduje się klucz do zagadki, o jaką postać chodzi.

# RYCERZ W TYGRYSIEJ SKÓRZE I HAJLA BAJLA

Toast „hajla bajla” wymyślili Rafał Sierecki i Adam Fidot z Grupy Wyprawowej Horyzont z Głogówka. Panowie bujają się po Europie Wschodniej i Azji łądą Niva, a kiedyś wpadli na pomysł, żeby dla ułatwienia wymyślić krótki toast, który byłby łatwy do zapamiętania i jednocześnie prosty w wymowie dla każdej nacji, od Serbołużyczanina po Yugura. Hasło poszło w świat i jeśli kiedyś natkniecie się na ten zwrot podczas podróży, to proszę pamiętać o autorach. W Gruzji może się nie przyjąć, ale próbowałem wiele razy, beczelnie kłamiąc, że w Polsce nie ma toastu „na zdrowie” tylko jest „hajla bajla”. Czas pokaże, czy przeszczep się przyjmie.

*Rycerz w tygryskiej skórze* to dzieło Szoty Rustawelego, które powstało na przełomie XII i XIII wieku i ma w Gruzji status epepei narodowej. Rustaweli był skarbnikiem królowej Tamary oraz jej cichym wielbicielem, co prawdopodobnie i wtedy oznaczało, że wszyscy o tym wiedzieli. Czy Szota przetrzepał królowej jej średniowieczne futerko, tego historia nie podaje, w każdym razie istnieje wielkie podobieństwo, że dokonał żywota jako mnich w Jerozolimie. Stworzenie *Rycerza w tygryskiej skórze* mogło być próbą zaimponowania królowej, bo przecież nikt nie planuje pisać narodowej epepei. Myśmy na swoją musieli czekać 627 lat dłużej niż Gruzini, czyli do czasu, gdy Adaś postawił ostatnią kropkę w *Panu Tadeuszu*, po której skoczył na miasto walnąć lufę.

Na nieszczęście pierwszy kontakt z dziełem Rustawelego miałem dzięki tłumaczeniu Igora Sikiryckiego, które jest koszmarne – wywołuje na przemian torsje i senność. Lepszy zdecydowanie jest przekład Jerzego Zagórskiego, bo na tyle, ile to było możliwe, oddaje również styl tekstu. Czyta się z przyjemnością. Skoro w tłumaczeniu tekst może się podobać, to w oryginale musi być świetny. Te dwa tłumaczenia łatwo odróżnić, przekład Sikiryckiego nosi tytuł *Witeź w tygryskiej skórze*, a Jerzy Zagórski używa słowa „rycerz” w tytule. Dzieło jest dostępne za grosze. Nie umiem powiedzieć o nim nic fachowego, dlatego oddaję głos specjalście. U Dawida Marshalla Langa w książce *Dawna Gruzja* czytamy:

Rzadko się zdarza, by wizja poetycka była tak potężna, rozległa i nieposkromiona, że wszechświat zdaje się pogrążyć w pierwotnym chaosie, dopóki twórcze tchnienie poety nie narzuci temu chaosowi surowej harmonii. Utwór jest nastrojony na wzniosły od pierwszych linijek, w którym wieszcz zwraca się z inwokacją do jednego, najwyższego Bóstwa. (...) Warto zauważyć, że Bóg Rustawelego to siła kosmiczna i że nie ma tu nigdzie wzmianki o poszczególnych osobach Trójcy ani śladu konwencjonalnego chrześcijańskiego symbolizmu religijnego. Po omówieniu zalet rozmaitych rodzajów poezji minstrelskiej i określeniu różnic między ideałem a przyziemną miłością, Rustaweli woła: „Mówię o najwyższej miłości – boskiej w swym rodzaju. Trudno o niej rozprawiać, nie sposób wypowiedzieć ją językiem. Jest to miłość niebiańska, która uskrzydla duszę”. Słowem nie pospolitą, śmiertelną miłość opiewa Rustaweli, lecz wszechogarniający idealny kult, o którym rozprawiali platończycy, w imię którego dawni rycerze kruszyli kopię o ukochaną i o której melancholijnie śpiewali trubadurzy i inni piewcy dworskiej miłości. (...) Rustaweli – czy to pisze o prawach systemu feudalnego, o kodeksie rycerskiej miłości, wierności i honoru, o transakcjach zawieranych przez kupców, ich skąpstwie i chciwości, czy też o subtelnym konfliktach wewnętrznych duszy ludzkiej – zawsze robi to z tym samym poletem, barwną obrazowością i głęboko ludzką wyrozumiałością. Jeszcze dzisiaj wielu gruzińskich chłopów zna na pamięć całe pieśni poematu i recytuje je tak samo, jak perscy wieśniacy deklamują wiersze Hafiza lub Sa'diego.

Inna niż w Polsce jest też pozycja gruzińskiej epepei w społeczeństwie. Gruzini znają więcej cytatów z *Rycerza* i szacunek do dzieła jest powszechny, a u nas, jak wiadomo, jest to lektura obowiązkowa, Inwokacja na pamięć i szlus. Chyba że ktoś jest miłośnikiem *Pana Tadeusza*. Mnie osobiście opada cały czas kopara, gdy słyszę, jak się „sprzedaje” ten tekst małolatom i myślę, że podstawówka to zdecydowanie za wcześnie na naszą epepeję, a w liceach też czasami nie ma gruntu na ten tekst. Zresztą, gdyby do tego dodać świetne opracowania Pigionia i Kota, to może młodzież licealna załapałaby, w czym tkwi cały miód. W końcu nie po to się to czyta, żeby dowiedzieć się, że kiedyś Tadeusz hajtnie się z Zosią i pozbawi ją wianka, bo to wiadomo na starcie, tylko dla tej niepowtarzalnej, narkotycznej atmosfery, którą daje forma i rytm trzynastozgłoskowca, słowna żonglerka

i fajerwerki zdań. Znowu poszedłem w dygresję... W każdym razie znajomością *Rycerza w tygryziej skórze* można Gruzinom zaimponować jak niczym innym.

## POCZTÓWKOWY WIDOK I GRILL ARCZIEGO

Siedząc w centrum maleńkiego Kazbegi, spożywałem z przyjemnością czeskie piwo z browaru Krušovice i cieszyłem oko najpopularniejszym widokiem na gruzińskich pocztówkach. Nieco w dole miałem kościół Cminda Sameba, a nad nim, dzięki nienajgorszej pogodzie, widoczny był Kazbek.

Przy stoliku obok czwórka Polaków jadła obiad, a ja bezczelnie ich podsłuchiwałem. Okazało się, że przyjechali ze stolicy właśnie ze względu na ten widok i dla krótkiej wędrówki z miasteczka do kościoła na górze. Byli już po wycieczce do Cminda Sameba i zaraz po obiedzie mieli wracać do Tbilisi. Zadowoleni, a nawet zachwyceni tym, co zobaczyli. Ten przypadek pokazuje, jak imponujący jest tu krajobraz i jakie robi na ludziach wrażenie. Jeśli ktoś nie wybiera się na sam szczyt Kazbeku, to można zrobić i tak – wstać rano, trzy godziny w jedną stronę z Tbilisi, trzy godziny na miejscu i trzy godziny na powrót. Jednak tą metodą traci się to, co pozwala zrozumieć japońską tradycję wstawania w nocy, aby obejrzeć wschód słońca. Bo widok na Kazbek wyłaniający się z mroku przy czystym niebie to widowisko najwyższych lotów – trudno o silniejsze doznania estetyczne.

Sam nawet nie nastawiałem budzika, aby tego doświadczyć. Wiedziałem, że po ogromnym, wieczornym spożyciu obudzi mnie pragnienie i się nie myliłem. Taras domu, w którym mieszkaliśmy, wychodził właśnie na Kazbek, zatem można było usiąść ze szklanką wody i po prostu się na niego gapić. Jednak wtedy, gdy podsłuchiwałem zadowolonych Polan, jeszcze tego nie wiedziałem, bo dopiero miał nastąpić wieczór, kolejny dzień, potem znów wieczór, zakrapiana pod szaszłyk noc i ten niezapomniany świt.

Ale po kolei. W Kazbegi nocowaliśmy w gospodarstwie agroturystycznym u sympatycznego Arczego, który spożywał z nami symbolicznie, bo już swoje wypił w życiu i nadciśnienie aż malowało się na jego twarzy. Do kolacji podano również czaczę, którą Arczi przynosił w szklanych dzbankach, w jakich podaje się oliwę. Pomysłowo. Ja zapobiegawczo kupiłem sobie w sklepie piwo, żeby nie wyjść na

abstynenta, ale uniknąć czaczy. Nie dało się. W poszukiwaniu szklanki trafiłem do kuchni, gdzie siedziała rodzina Arczego plus jacyś goście i spożywali. W malutki róg (wcześniej słyszałem, że w rogach pije się jedynie wino, ale tu było inaczej) nalano mi czacę i nie miałem wyjścia. Obrzydliwe. A potem na drugą nóżkę. Uciekłem do jadalni i już do kuchni nie wchodziłem, żeby uniknąć gościnności.

Usiadłem przy stole i skupiłem się na jedzeniu, słuchając jednocześnie, jak chłopaki rozważają temat gruzińskiego stylu bycia i funkcjonowania wszystkiego wokół versus aspiracje wstąpienia do Unii Europejskiej. Szczególnie ubawiła mnie wizja przekonywania Arczego do idei gender.

Chwilę potem myśli odbiegły w nieco inną stronę. Otóż pokoje w gospodarstwie Arczego były bardzo porządne. Czysto, wygodnie, świeża pościel i łazienka przy każdej sypialni. Europa pełną gębą. Kłopotów z obłożeniem, a co za tym idzie z pieniędzmi, nie było widać. Jednak już w kuchni zaczynał się inny świat. Szafki pamiętające co najmniej Breżniewa, kuchenka gazowa też wysłużona, wszystko zaniedbane. Na środku stół i stare krzesła. Ściany z widocznymi efektami, jakie dają kuchenne opary. Nawet trudno było ocenić, czy jest czysto, czy nie. Naczynia, w których gotowano i podawano nam posiłki, były czyste, wymyte, tu nie ma wątpliwości, ale fronty szafek wymagały jednak ścierki lub gąbki. W sumie mało fajnie. A przecież w kuchni Gruzini spędzają najwięcej czasu. Widocznie im ten lekki pierdolnik nie przeszkadza. Ich strefa, ich sprawa, ale skoro pozwalają gościom chodzić po całej chacie i korzystać na przykład z lodówki, to będą też oceniani za wygląd tej strefy.

Druga sprawa to teren przed domem. Tam, gdzie wjeżdżały samochody, trudno się spodziewać jakichś kreatywnych pomysłów, bo parking to parking, ale zaraz obok znajdował się kawałek podwórka-graciarni, które bez większych nakładów finansowych można by zagospodarować – postawić stół, jakieś zadaszenie i w ten sposób zafundować gościom dodatkową radochę. Dom miał co prawda taras, i to z widokiem na Kazbek, ale był on długi i wąski, nie nadawał się do biesiadowania. Do tego przy miejscowych przepisach, a właściwie przy ich braku, Polak z miejsca i dla obopólnej korzyści wstawiłby lodówkę z napojami, aby zarobić parę groszy na ich sprzedaży, a gościom zaoszczędzić biegania do sklepu czy smutnej konstatacji o trzeciej nad ranem:

– Jasna dupa, browar się skończył...

Na podwórku stał grill. Przytulony do ściany kolejnego, właśnie stawianego budynku. Pod grillem, wzdłuż ściany, ciągnęła się rura z tworzywa sztucznego, doprowadzająca gaz do domu. Proszę teraz wyobrazić sobie scenę, gdy ktoś niechcący potrąca ruszt, z którego węgle wysypują się na tę rurę. Z miejsca wszyscy biesiadujący rzucają się, aby gołymi rękami zgarnąć węgle, bo lepiej się poparzyć, niż wylecieć w powietrze. Czy scena taka miała kiedyś miejsce? Pytanie jest niewłaściwie postawione, bo powinno brzmieć raczej „ile razy?”. To się fajnie opowiada, śmiechu co niemiara, jak się coś takiego ogląda na bani, ale na trzeźwo widzi się już sprawę inaczej. Przecież wystarczyłoby tę rurę zasłonić albo zasypać piachem i problem z głowy. Tutaj jednak nikt takich rzeczy nie robi. Nie byłoby w sumie o czym pisać, gdyby chodziło o zjawisko jednostkowe, ale proszę mi uwierzyć, podwórko Arcziego to i tak germański porządek przy tym, co w Gruzji jest powszechne – pierdolnik potrzebujący nie tyle kasy, co woli, aby coś z nim zrobić. To też jest część tego, co z naszego punktu widzenia składa się na skomplikowaną definicję gruzińskości.



## DOLINA TRUSO

Rano, po długim, relaksującym śniadaniu wsiedliśmy do Delici, aby pojechać do Doliny Truso. Tym razem prowadził Arczi. Do Doliny Truso wielu turystów udaje się pieszo, ale wtedy traci się wrażenia z jazdy drogą, która gwarantuje silne emocje, bo czasami jest tak wąska, że samochód jedzie kilkadziesiąt centymetrów od urwiska, z którego w razie wypadku raczej nie wychodzi się cało. Przed wyjazdem z Kazbegi Marcin kupił butelkę wzmacniacza tolerancji na wszelkie okoliczności przyrody, a zapytany, po co butelka z rana, odpowiedział, że zrozumie, jak zobacze drogę. Rzeczywiście, przez część trasy było niezwykle emocjonująco, tym bardziej, że Arczi prowadził i jednocześnie albo wysyłał smsy, albo dzwonił. Panowie turystyczni popijali koniaczek i śpiewali, było wesoło. Ja długo się opierałem, chcąc przeżyć trasę w pełnej świadomości i bez znieczulenia. Gdy już zjechaliśmy z najciekawszego odcinka i zatrzymaliśmy się przy źródle, aby napić się wody mineralnej, zgodziłem się na małego łyka czegoś mocniejszego. Za zdrowie i refleks Arcziego.

Miejscowe źródła, nasycone minerałami, tworzą tu charakterystyczne, niewielkie, wapienne tarasy. Na jednej z gór niedaleko źródła widać wystającą skałę, przypominającą ludzką postać. Miejscowi nabierają turystów, że to pomnik Lenina. Ja też w pierwszej sekundzie uwierzyłem.

Dolinę Truso niedawno odkryto na nowo – wcześniej była zamieszкана przez Osetyjczyków, a po ich wysiedleniu na chwilę popadła w zapomnienie. Dziś jest to jedno z najpopularniejszych miejsc w okolicach Stepancmindy. Kilkunastu kierowców samochodów marki Mitsubishi Delica, parkujących w samym centrum miasta, proponuje turystom przejazd do niego. Dojechać lub dojść można aż do ruin twierdzy Zakgori, jak zwykle w Gruzji, malowniczo położonej. Dalej droga jest otwarta jedynie dla osób ze specjalnymi przepustkami, a przejścia pilnuje kilku żołnierzy, których nie wolno fotografować. Turyści i tak fotografują, ale z góry, po wejściu na mury twierdzy. Trudno powiedzieć dlaczego, z przekory czy z głupoty, bo to, co dla wielu będzie jedynie ciekawostką i kolejnym punktem w opowieści z Gruzji, dla miejscowych jest widocznym świadectwem rozdartego państwa. Nie ma zbyt wielu zjawisk tak bardzo poważnych i przykrych, jak realny wojskowy posterunek graniczny, położony z dala od granicy teoretycznej, lecz nie realnej. Lepiej więc sobie

darować zdjęcia albo robić je maksymalnie dyskretnie, bo materia jest delikatna. Żołnierze zabijają czas podciąganiem się na drążku, paleniem papierosów, gadaniem i dzwonieniem z komórek pod daszkami z blachy, które wyglądają na jakiś patent wzmacniający sygnał (może tam było wyjście na dodatkową antenę, sam nie wiem...). Nie przyglądałem się im dokładnie, nie chcąc przeszkadzać. W końcu to wojskowy posterunek, a nie niedźwiedź na Krupówkach.

Sama twierdza Zakagori zasługuje na uwagę jako jedno z tych miejsc w Gruzji, które pokazują gigantyczną różnicę między naszymi krajami, jeżeli chodzi o zabytki i stosunek do nich. Ruinami tymi nikt się nie opiekuje, nie ma przy nich żadnej tablicy informacyjnej, nie ma też oczywiście biletów wstępu. Turyści łążą jak po swoim. U nas wokół takiego Zakagori coś by się działo, bo miejsce to jest ciekawe samo w sobie. Tutaj natomiast, o ile nie zasięgnemy języka u miejscowych, to nawet nie będziemy wiedzieć, co to dokładnie za obiekt, ile ma lat, czy jest zabytkowy, czy w miarę współczesny, ale stylizowany na stary, kiedy i w jakich okolicznościach został zniszczony i tak dalej. Internet też nie pomoże, jeżeli nie poświęcimy dużej ilości czasu na szukanie informacji. Oto efekt nadmiaru.

Polscy rowerzyści pokazywali mi kiedyś zdjęcia zrobione gdzieś w Gruzji podczas postoju. Jeden z nich poszedł w tak zwane krzaki i tam znalazł resztki po kamiennych, rzeźbionych elementach starych budowli, porozsypywane na terenie wielkości boiska do koszykówki. Wyglądało to na opuszczone stanowisko archeologiczne. Pewnie co ważniejsze eksponaty zabrano do muzeów, a resztę zostawiono własnemu losowi. Tak czy inaczej, na tego rodzaju nieopisane, zabytkowe miejsca można natknąć się przez czysty przypadek i to jest jednym z atutów Gruzji – często trafia się na coś, co nie jest opisane w przewodniku i czego się nie spodziewamy.

W drodze do twierdzy mija się niewielki klasztor żeński z trzema rezydującymi tu zakonnicami i z trzema antenami satelitarnymi. Ciekawe, co siostrzyczki oglądają? Oprócz w miarę nowego budynku mieszkalnego na terenie klasztoru stoi tradycyjna, kamienna wieża i stara kaplica z zapuszczonym cmentarzem. W oddali widać kolejne budynki, w których rezydują dla odmiany zakonnicy mężczyźni, oraz jakieś zabudowania gospodarcze. Takie umiejscowienie siedzib zakonników, w dolinie otoczonej górami, praktycznie na bezludziu i tuż obok terenów okupowanych, tworzy niespotykaną u nas atmosferę niepewności

i zagrożenia. Na szczycie kamiennej wieży powiewa gruzińska flaga, wielkie świadectwo tego, że tam, gdzie nie ma siły, pozostają tylko symbole.

Drugim punktem mijanym w drodze jest zrujnowana i opuszczona wieś, w której mieszka jedynie dwóch ludzi. Hodują owce i parę świń, produkują ser i czaczę sprzedawaną turystom. Ponieważ przemokły mi buty, a z komina jednego z domów dobywał się dym, poprosiłem właściciela o pozwolenie na ogrzanie się. Część mieszkalną stanowiła izba z dwoma dokładnie zaścielonymi łózkami, stół, dwa krzesła i piec typu „koza”. Pozostałe pomieszczenia przeznaczone były na produkcję i magazynowanie sera. Pełno było tam różnych misek, cedzaków i narzędzi. Mimo siermiężnych warunków, wszystko czyste i uporządkowane. Co prawda, w przeciwieństwie do zabłoconego obejścia, ale dla czystości produkcji owczego sera to nie miało znaczenia.

Na zewnątrz było zimno i mokro, ekipa Marcina poszła gdzieś w góry, w gospodarstwie zaczęli pojawiać się coraz liczniejsi turyści kupujący ser, a ja siedziałem sobie w ciepłku, suszyłem buty i skarpety, z przyjemnością obserwując przez małe okno, jak moi gospodarze pomnażają obrót. Obrót bez Vatu, koncesji, sanepidu i innych bzdur. Zainteresowanie zakupami było spore. Nie zapytałem, jaka część z gigantycznej ilości owiec widocznych na wzgórzach należy do nich, ale to miało mniejsze znaczenie. Jakąś tam ilość zwierzaków mieli i dobrze na tym wychodzili, bo jak powiedział kiedyś baca Józef Bachleda, zapinając rozporek, „kto ma owce, ten ma, co chce”.

Opuszczona wieś, z ruinami zabudowań, z mostem zmontowanym z rur, z pordzewiałą ciężarówką, dla której już nie ma ratunku oraz z błotnistą drogą, wspaniale nadaje się na filmowy plener. Nic nie trzeba robić, aby uzyskać ponurą, przygnębiającą atmosferę. Zrujnowane, kamienne zabudowania prezentują się inaczej niż rozsypujące się budynki z cegły czy z drewna. Przypominają romantyczne pozostałości po zamku. Gdy wjeżdżaliśmy, Arczi powiedział, że kręcono tu film z Clintem Eastwoodem *Dobry, zły i brzydki*, ale czy to prawda, czy kolejna ściema, jak ta z pomnikiem Lenina, to już zagadnienie do samodzielnego sprawdzenia, moi drodzy czytelnicy.

Wysuszyłem się, a tymczasem goście Marcina wrócili z przechadzki w góry. Wsiedliśmy do auta. Gdy się patrzy na te góry, na wąwóz i dolinę, to trudno się dziwić, że Gruzinów odwiedzających Polskę bawi, gdy się ich

pyta, czy byli w Tatrach. Mało który Gruzin odwiedzający Polskę traci czas na góry, bo jest z Gruzji. Popularne videoblogerki, prowadzące kanał Gruziński po polsku, czyli Maja Warszanidze i Nini Karosanidze potwierdzają to w jednym z nagrań. Nie ma się co dziwić, bo tu jest wyjątkowo pięknie. Pisze to ktoś, kto takich słów używa ostrożnie, ale Dolina Truso naprawdę jest niezwykła. Żałowałem, że wracamy.

## BAKŁAŻAN NA MIEŚCIE I SZASZŁYK ARCZIEGO

W poprzednim rozdziale celowo wspomniałem o Mai i Nini. Prowadzą one bardzo fajny kanał i chyba tylko kwestią czasu jest, kiedy dostaną propozycję od jakiejś telewizji, aby zrobić serial o Gruzji, bo kamera wyraźnie je lubi. Oprócz ich kanału, z rzeczy dostępnych w sieci polecam portal [www.kaukaz.net](http://www.kaukaz.net) i blog Krzysztofa Nodara Ciemnołońskiego, który, oprócz spraw oczywistych, ze swadą pisze również o sprawach niebanalnych. Adres bloga: [www.polakogruzin.pl](http://www.polakogruzin.pl). To moja osobista wielka trójka internetowych źródeł inspirujących informacji o Gruzji. Poza tym Polacy mieszkający w Gruzji chętnie udzielają się na FB i trzeba przyznać, że ci, którzy piszą rozbudowane komentarze, robią to w bardzo przyjemnym stylu. Proszę na przykład poczytać wpisy pani Marty Kaczmarzyk. Nic dodać, nic ująć. Jest treść i jest forma!

Wróćmy do opowieści. Po powrocie do Kazbegi poszedłem w miasto, a pozostali ruszyli w górę do słynnego kościoła na górze. Ja wolałem usiąść w ogródku jednej z miejscowych knajp i patrzeć z odległości na słynny, pocztówkowy widok. Przestało padać, wiatr rozwiął chmury i nie mogło być lepiej. Po godzinie ruszyłem do miejscowego muzeum, ale było zamknięte z powodu remontu. Trudno. Idę jeść.

W jednym z barów, który wybrałem na chybił-trafił, zamówiłem to, o czym już mi opowiadano, czyli bakłażana na zimno z pastą orzechową i granatem. Po pierwszej porcji zamówiłem drugą, a potem trzecią. To powinno wystarczyć za recenzję. O pozostałych, serwowanych w tej knajpie daniach nie mogę nic powiedzieć, bo musiałem zostawić trochę miejsca na zapowiadany przez Arczego szaszłyk, ale łatwo się domyślić, że gdyby podali tu nawet pterodaktyla w sosie walizkowym, to na pewno byłby wyśmienity. Lokal łatwo znaleźć, położony jest w samym centrum, tam, gdzie stoją auta czekające na turystów. Ma sufit wyklejony banknotami za całego świata, a bar przyozdobiono flagami i proporczykami z różnych państw, z polską flagą na czele. Nazwa miejsca – „Shorena’s Bar Cafe”. Polecam.

Na kwaterze czekała kolacja z szaszłykiem w roli głównej. Ciekawa jest etymologia samego słowa „szaszłyk”, ale zostawiam to chętnym do

samodzielnego zbadania. W Gruzji gotują i podają kobiety, ale szaszłyk jest popisowym daniem każdego Pana Domu. Mężczyzna przygotowuje i przyprawia mięso, następnie nabija je na szpady i są to o wiele większe kawałki niż w polskiej wersji potrawy. Takie rozwiązanie lepiej się sprawdza, bo dzięki niemu mięso się nie wysusza i jest smaczniejsze. Nigdy nie zawiodłem się na tym rozwiązaniu, bez względu na to, gdzie jadłem – w Mińsku, w Ałma Acie, czy w Archipo-Asipowce. Poza tym nikt tu nie zawraca sobie głowy pakowaniem na szpadę słoniny, papryki i innych zbędnych dodatków, tylko zbija mięso bardzo ciasno, co ma też wpływ na smak. Szaszłyk podaje się na stół już bez szpad czy patyków, luzem.

Szaszłyk Arczego, przygotowany na słynnym ruszcie tuż nad plastikową rurą z gazem, spełniał najwyższe standardy. Zszedłem na dół, do kuchni, aby zrobić zdjęcie, a wtedy pomagający Arcziemu facet z miejsca napoił mnie czaczą. Okropne. Po jednej porcji uciekłem na piętro do jadalni i szybko przyniosłem z lodówki kupione wcześniej piwo, aby zabezpieczyć się przed kolejną porcją. To też niewiele dało, bo Arczi, skądinąd bardzo sympatyczny człowiek, którego lubi się od pierwszego kontaktu, jak przystało na autora głównego dania, przyłączył się do kolacji, aby zobaczyć, jak smakuje gościom jego popisowe danie. Wznieśliśmy toast lub dwa, a potem już wiecie – bania u cygana, sen, pobudka z trampkiem w gębie i piękny widok na wyłaniający się z mroku nocy Kazbek.

## SWIETŁANA ZE SWIERDŁOWSKA

Nie będę opisywać toastów czy ich miejsca w gruzińskiej kulturze ani nawet toastu, który wzniósł Arczi. Muszę jednak wspomnieć o sile, jaką miały dawniej, bo obyczaj ten, oczywiście w zmienionej formie, ale jednak ten sam, rozlał się po całym Związku Radzieckim. Nawet tam, gdzie popijano bez toastów, wspomniano o tym, że Gruzini mają taki ciekawy obyczaj. Niektórzy mieszkańcy Radzieckiego Imperium Szczęśliwości i Sukcesu, biorąc przykład z Gruzinów, z różnym skutkiem wymyślali rozbudowane toasty. Raz udane, raz nie. Celem takiego toastu było zmęczenie pijących trzymaniem szklanek nad stołem, bez możliwości oparcia łokcia na stole, oraz wymyślenie zabawnej puenty. Pamiętam jeden taki toast i uważam, że jest niezły. Zatem kielichy w dłonie! Zaczynam:

*Radzieccy archeolodzy, pod światłym kierownictwem niezwyklej urody magister Swietłany ze Swierdłowska, prowadzili w Egipcie prace wykopaliskowe. Już drugiego dnia odnieśli sukces, prześcigając ekipy z innych państw, które też prowadziły wykopaliska. Nie rozważajmy jednak rzeczy oczywistych, czyli przewagi radzieckiej archeologii nad archeologią kapitalistyczną. Sukces polegał na odkryciu wejścia do zasypanego piaskiem grobowca. W środku, na kamiennym stole leżał piękny sarkofag. Magister Swietłana ze Swierdłowska wydała polecenie otwarcia sarkofagu. Wewnątrz leżała dobrze zachowana mumia. Niezwyklej urody magister Swietłana ze Swierdłowska poleciła rozwinąć bandaż. Po rozwinięciu bandażu mumia, rodzaju męskiego, ożyła! Mężczyzna usiadł, popatrzył na archeologów i odezwał się w języku staroegipskim, dobrze znanym świetnie wykształconym radzieckim archeologom:*

*– Jestem egipskim księciem i mam moc spełniania życzeń. Dokładnie siedmiu życzeń, ale z wzajemnością. Życzenie za życzenie. Siedem za siedem. Ale – tu mumia zawiesiła głos – gdy patrzę na panią magister, to mam jedno życzenie. Za to siedem razy pod rząd.*

*Piękna magister Swietłana ze Swierdłowska po konsultacji naukowej z zespołem zgodziła się na siedem razy pod rząd. Pozostali archeolodzy wyszli z grobowca, a piękna Swietłana dla dobra sprawy rozebrała się do rosołu, po czym usiadła na leżącym księciu i oddała się*

*internacjonalistycznej miłości cielesnej. Po siódmym razie egipski książę zmarł ponownie z wycieńczenia... Wypijmy za radziecką bohaterkę, która uratowała świat przed powrotem egipskiego imperializmu!*



## W DRODZE POWROTNEJ DO STOLICY

Po śniadaniu pożegnaliśmy się z Arczim i wsiedliśmy do delici. Przed powrotem na główną trasę do Tbilisi podjechaliśmy na chwilę w stronę widowiskowego, głębokiego na kilometr Wąwozu Darialskiego, do miejsca, z którego przeszliśmy pieszo pod dwa wodospady – Mały i Wielki Gveleti. Od głównej drogi to niewielki odcinek, z początku łagodnej, a pod koniec mocno stromej, ale krótkiej trasy. Coś w sam raz dla niedzielnych turystów lub tych, co mają chwilę, aby po drodze do innego miejsca zatrzymać się na malutkie zwiedzanie. Czas wejścia i zejścia zajmuje raptem godzinę, a przy końcówce szlaku stoi facet z kasą fiskalną i pobiera symboliczną opłatę za bilety, tak małą, że nawet nie pamiętam, czy to było trzy złote, czy dwa pięćdziesiąt. Za to widoki palce lizać. Strzeliste, ostre, tworzące kanion skały oraz zielone, wiosenne zbocza, pośród których nagle pojawia się rozbijająca się z hukiem o kamienie woda, rozpryskująca się na kilkanaście metrów. Nie lubię zwrotu „musicie to zobaczyć”, ale inaczej się tego nie wyrazi. Na mnie te wodospady zrobiły większe wrażenie niż widok na klasztor Cminda Sameba. Być w Kazbegi i nie przyjechać tutaj, byłoby błędem, bo to zaledwie kilka kilometrów od miasteczka.

Wróciliśmy na główną drogę i pojechaliśmy w stronę Tbilisi. W drodze zatrzymaliśmy się przy punkcie widokowym położonym obok (sic!) Pomnika Przyjaźni Radziecko-Gruzińskiej, który ze względu na walory artystyczne został niedawno odnowiony. Aktualnie na ukończeniu jest remont okazałego parkingu wokół niego. Jako punkt widokowy miejsce jest wyjątkowe. W dole mruga błękitem niewielki zbiornik wodny. Przełącz położona jest wysoko, co przekłada się na doskonałe warunki dla paralotni, motolotni i innych „lotni”, które dają możliwość zarobienia na turystach o mocnych nerwach, czyli takich, którzy nie boją się dać podczepić szelkami do pilota takiego ustrojstwa. O mocnych nerwach i zasobnych portfelach, bo to bodajże najdroższa, w przeliczeniu na minuty, rozrywka w Gruzji. Droższe jest (było raczej, a kiedyś pewnie znów będzie) strzelanie do Ruskich z własnej broni i własnej amunicji. Obok parkingu pojawiły się stragany z pamiątkami, a pod starą platformą widokową funkcjonuje toaleta, a raczej ohydny posowiecki sracz.

Sama platforma widokowa zasługuje na oddzielny opis, bo to twór stary jak świat, ze zmurszałego betonu, z metalowymi, ruszającymi się

barierkami, pomiędzy które wpleciono okorowane gałęzie i już. Jak ktoś się o to oprze, to spadnie. U nas takie miejsce zamknięto by jako niebezpieczne, a tu nie – wchodzisz na własne ryzyko, bo przecież widać gołym okiem, co to za cudo. Tutaj znów plus dla Gruzji, która w przeciwieństwie do Eurosojuza nie traktuje ludzi jak idiotów, którym wszystko trzeba rozpisać na zakazy, nakazy, wskazówki i pozwolenia. Mimo to jakoś nikt nie spada, bo ludzie mają rozum i nie opierają się o te niby barierki.

Sracz pod platformą widokową... Pomijając sprawy polityczne i gospodarcze, jedną z najtrwalszych pozostałości po Sowietach na obszarze byłych państw radzieckich są ohydne, śmierdzące publiczne wychodki, które bywają doskonałym środkiem na biegunkę, lepszym niż wszelkie lekarstwa. Ktoś, kto złapie taką dolegliwość i wejdzie do postsowieckiego kibla, ten zrozumie, że zjawiska nadprzyrodzone naprawdę istnieją. Oto resztki pokarmowe cofają się z kiszki do jelit, potem do żołądka i treść pokarmowa na nowo staje się rozdrobnionym szaszłykiem lub kanapką. Po biegunce ani śladu. Wymioty owszem, bo jeżeli szaszłyk w cudowny sposób pokonał drogę odwrotną do naturalnej, to, będąc konsekwentnym do końca, chce przejść cały szlak i wyjść na zewnątrz tą drogą, którą do żołądka trafił. Dlatego właśnie wcześniej poleciłem noszenie przy sobie wilgotnych chusteczek dla niemowląt – krzaki są wszędzie. Młodziakom, którzy nie pamiętają PRL-u, dodam, że u nas też było podobnie, ale nie aż tak twórczo, jak w Związku Radzieckim. Było syfiasto, ale otwartych, grupowych kłopotów bez kabin i z muszlą „na narciarza” w Polsce się nie spotykało. Luksusowych wersji publicznej toalet, które pamiętam między innymi z radzieckich lotnisk, czyli krótkich kabin, znad których wystawały ramiona i głowa (co pozwalało na swobodną konwersację w trakcie stawiania zamku bez planu) też nie uświadczyliśmy w PRL.

No dobrze, wracamy na trasę. Po krótkim postoju pojechaliśmy dalej i niebawem zatrzymaliśmy się przy popularnym źródle z tryskającą wodą mineralną, aby nabrać jej trochę na drogę i spróbować na miejscu. W źródło wmontowano rurę, którą albo później zabetonowano, albo osad z minerałów obudował ją sam. W każdym razie na górze tej konstrukcji ktoś zamontował dodatkowo przedziurawiony plastikowy baniak, aby ułatwić czerpanie wody, która bez tego patentu pryskałaby w niebo jak nasienie Aleksa Portnoya. Woda sama w sobie smakowała wyśmienicie. Przypomniał mi się obrazek, który zawsze mnie śmieszył, a mianowicie

widok kuracjuszy pijących wodę zdrojową z charakterystycznych kubków z dzióbkiem-fiutkiem. Z miejsca wyjaśniam, że nie kuracjusze mnie śmieszają jako tacy, tylko sam akt picia z tego subtelnie fallicznego naczynia, które mój pofreudowski umysł odbiera jako akt zbiorowej tęsknoty starszego pokolenia za rozkoszami miłości francuskiej, której nie wszyscy zaznali.

Ostatnim przystankiem przed Tbilisi była twierdza Ananuri, miejsce na tyle interesujące widokowo, że jeżeli ktoś ma czas, a nie wybiera się w góry i jakimś cudem nudzi się za dnia w stolicy, to niech tam wpadnie – to niewiele ponad godzinę z dworca Didube. Można też zrobić jednodniówkę w dwa miejsca, czyli do Mcchety i Ananuri. Najlepiej mieć wtedy auto do własnej dyspozycji, ale to Gruzja, więc jak się chce, to się dojedzie metodą łączoną. Twierdzy nie zwiedzałem, bo albo coś robić na serio, albo wcale, a dwudziestominutowy postój to jednak za mało na porządne oględziny. Ograniczyłem się do szklanki świeżego soku z granatów i krótkiego spaceru, planując wrócić w to miejsce i wtedy dokładnie się mu przyjrzeć.

## NA CHYBIŁ TRAFIŁ

Gości Marcina zostawiliśmy przy dworcu Didube, z którego mieli transport do Kutaisi. Marcin został w domu, a ja po najszybszym prysznicu świata wybrałem się na spacer po stolicy. Z mieszkania Marcina, tuż przy Filharmonii, miałem parę kroków do ścisłego centrum. Jednak zanim wyszedłem na miasto, znów musiałem przyznać plusa Gruzinom. Na klatce schodowej, na drugim piętrze, stał rower turystyczny w całkiem przyzwoitym stanie. Bez jakiegokolwiek zabezpieczenia, do niczego nie przypięty. W naszym chrześcijańskim kraju rower taki powstałby pół dnia, a może i mniej. Gdy po kilku nocach wyjeżdżałem, rower stał nadal, zupełnie nieświadomy, że w bratnim kraju byłby przedmiotem pożądania, a potem, po lekkim liftingu, trafiłby na internetową aukcję lub na plac targowy.

Wyszedłem na miasto głodny wrażeń i głodny dosłownie, z zamiarem kontynuowania tego, co zacząłem robić cztery lata temu, czyli wchodzenia do barów i restauracji na chybił-trafił. Poznana w samolocie Justyna powiedziała, że szansa trafienia na coś niesmacznego jest bliska zeru i że to najlepsza metoda na poznanie smaków Gruzji. Pomysł ten nie sprawdza się niestety w Polsce, gdzie, jak wiadomo, można zarówno zjeść doskonale, jak i dostać dobrze nie na talerz, a po kieszeni. Wbrew opinii Justyny uparłem się, że w końcu znajdę jakiś kiepski lokal. Dlatego na zmianę wybierałem te przyzwoicie, jak i te parszywie wyglądające miejsca, raz siadałem tam, gdzie był tłok, a raz tam, gdzie było pustawo, pragnąc mieć jak najszerszą perspektywę. Z menu wybierałem jak leci, starając się nie powtarzać dań.

W pierwszym barze w Tbilisi, wyglądającym jak skrzyżowanie Mc Donald's z barakowozem-stołówką na budowie Huty Katowice, zamówiłem chłodnik, do tego kurczaka w mocno czosnkowym, białym sosie i nieśmiertelną sałatkę z pomidorów, ogórków i obowiązkowej kolendry. Chłodnik miał nieco inną strukturę niż nasz – gęsty, z botwiną i ogórkiem, na prawdziwym zsiadłym mleku, ech, kiedy to było... Nie mogłem mieć jednak o to pretensji, bo wcześniej gdzieś czytałem, że w Gruzji koncepcja chłodnika wygląda zdecydowanie inaczej. Po wciśnięciu soku z cytryny i doprowadzeniu było ok. Za to kurak powalił na łopatki. To była ćwiartka z udkiem, najpierw pieczona, a potem podduszona w delikatnym, lekko śmietankowym sosie z dodatkiem czosnku. Czosnek i przyprawy czuć było

też w strukturze mięsa, co oznaczało, że głupi ptak (jakim bez wątpienia jest kurczak) musiał być wcześniej macerowany. Dobrze jak diabli. Nie napiszę tu, że się rozpląwał w ustach, bo w ustach niech się lody rozpląwają, a mięso ma mieć, określony gatunkiem i rodzajem dania, stopień twardości, pozwalający na przyjemność z wgryzania się w białkowe włókna.

Przez następne dni wciąż nie udawało mi się źle trafić, bez względu na to, czy zamówiłem danie z fasoli podawane w glinianym naczyniu, warzywa z bakłazanem w przewodzie, smażone i duszone, czy długo pieczoną cielęcinę we własnym sosie i podaną z posiekaną zieleniną. Zawsze wszystko było smaczne. Dla ciekawości zamawiałem nawet takie dania, których smaku można było się domyślić po samym opisie. Mam na myśli pieczarki zapiekane z miejscowym solankowym serem. Jak się zna smak pieczarek i sera, to się wie, że dostanie się danie o smaku sera i pieczarek. I tyle. Nie smakował mi jedynie chleb kukurydziany, ale go nie zamawiałem, tylko dostawałem jako dodatek, więc się nie liczy. Sam w życiu nie zamówiłbym niczego, w czym kukurydza występuje jako baza, a nie jako dodatek. Takie mam podniebienie. Uczulone na kukurydzę, głównie tę z multipleksów.

Na samym początku moich kulinarnych testów robiłem nawet notatki, zapisywałem nazwy lokali i dań, ale potem przestałem. Dlatego nie wiem, jak się nazywa przepyszna pikantna wołowina w pomidorach. Pamiętam smak, zapach i konsystencję, ale nie nazwę z menu.

Raz zaczynałem już mieć nadzieję, że w końcu trafiłem źle. Oglądając przez szybę wnętrze baru, zauważyłem, jak starsza pani w części kuchennej wrzuca na patelnię z dużą ilością tłuszczu wyjęty z zamrażarki kawałek mięsa w kształcie cygara. Wszedłem i poprosiłem o to samo. Pani wyjęła mięso z zamrażarki, wrzuciła na patelnię, a w międzyczasie wymieszała cebulę z ziołami, obowiązkową kolendrą, czosnkiem oraz oliwą i tym czymś poląła mięso po usmażeniu. Do tego dostałem chleb i małą porcję pomidorowego sosu. Gdy ze sceptyczną miną przystąpiłem do jedzenia, po raz kolejny musiałem mentalnie uklęknąć przed wielkością miejscowej kuchni. Podany mi, spory kawałek mielonej, wyraźnie i ostrawo doprawionej baraniny, doskonale komponującej się z ziołami w oliwie i pomidorowym sosem, był cudowny, mimo prostoty. Bez pardonu zapytałem, czy to gotowe danie ze sklepu, na co starsza pani odpowiedziała, że przedwczoraj zrobili za dużo, część nie zeszła, więc zamrozili. Tak

wygląda gastronomia, gdy tradycje domowe przenosi się do kulinarnego biznesu!

Gesslerowa nie zarobi w Gruzji! I oby tak zostało jak najdłużej. Ostateczną recenzją miejscowej kuchni niech będzie fakt, że tu się w ogóle nie tęskni za rodziną. Pod tym względem jestem obiektywny, bo w Polsce mogę miesiącami nie jeść przysłowiowego schabowego, żurku, gołąbków, ale jak wyjadę gdziekolwiek za granicę, to już po dwóch dobach śni mi się mizeria i ziemniaki z koperkiem. Gdziekolwiek, tylko nie w Gruzji. Smacznego!

## SEX PO GRUZIŃSKU

Mieszkanie Marcina tętniło życiem. Oprócz mnie nocowali tu inni goście, kręcili się polscy przewodnicy, czy raczej polskie przewodniczki, z którymi z miejsca poczułem kumpelską więź. Wszyscy razem ruszyliśmy na miasto. Ja zamówiłem kufelek, przewodniczki wino. Jednak, jak to w centrum Tbilisi – po chwili przewodniczki spotkały znajomych, potem znajomych znajomych i trzeba było złączyć stoliki. Dzięki temu mogłem posłuchać o życiu Polek w Gruzji. Jakoś tak, od słowa do słowa, zeszło na tematy intymne. Bo w Gruzji też jest sex, chociaż na pierwszy rzut oka go nie widać. Ale jaki to sex?! Wyzwolone, świadome swoich potrzeb Polki, dla których prawo do satysfakcji jest czymś naturalnym, nie miały żadnych oporów, żeby o tym opowiedzieć. I nie przebierały w słowach.

– Wyobraź sobie, Artur, romantyczny wieczór, powolny wzrost napięcia, pierwszy dotyk, pocałunki, długie i wyrafinowane pieszczoty, po których w idealnym momencie następuje zbliżenie. Wyobraź sobie sytuację, gdy jest już po, a świadomy kobiecych potrzeb partner wie, jak się zachować, jeżeli ona też ma finał za sobą, ale wie też, co zrobić, aby i jej dać rozkosz, jeżeli wcześniej się nie udało. Wyobraź sobie ciąg dalszy i różne scenariusze, gdzie jedni będą spełnieni w stu procentach, a ci z większym temperamentem odpoczną, aby po jakimś czasie wrócić do tego, co daje im radość. Wyobraziłeś sobie? Znasz to? OK, w takim razie napisz, że coś takiego tu, w Gruzji, nie istnieje.

– Tu kobieta jest tylko po to, aby facet spuścił z krzyża. Tak brutalnie trzeba to nazwać. Gruzini nie potrafią całować. Albo miażdżą wargi jak dzicy, albo machają językiem jak krowa oblizująca kostkę soli. Jak któryś coś potrafi, to cud. O minucie zapomnij, tu Francuz działa tylko w jedną stronę. Jak najszybciej pchają się do środka, nie patrząc, czy kobieta jest już gotowa. A potem kilkanaście razy w górę w dół i po sprawie. Nie wiem, skąd wziął się ten mit romantycznych kochanków...

– Słuchaj, oni nie wiedzą, po co są ręce. Pieszczoty, jakiś masaż, głaskanie, no wiesz, te rzeczy nie występują. Ręce jak kłody, płót ma więcej wrażliwości. A spróbuj takiego czegoś uczyć, to się obrażają. No i oczywiście uważają się za bogów seksu.

– Ja nie wiem, jak sobie radzą Polki, które powychodziły za Gruzinów, być może trafiają na wyjątki potwierdzające regułę. Znam zadowolone,

więc trafia się i tak, ale to mniejszość. Oczywiście, nikt tutaj nie wie, co to gumka, nikt się tu nie przejmuję takimi drobiazgami. Jak całość trwa pięć minut, to i tak dobrze. Mam parę gruzińskich koleżanek. Sex to dla nich temat tabu. I w sumie nie ma się co dziwić, że ich to nie interesuje, skoro mają takie doświadczenia...

– Spróbuj z nimi na ten temat pogadać! Z miejsca zastosują tę samą sztuczkę, z której korzystają, gdy coś im nie pasuje. Oskarżą o szerzenie stereotypów i dyskusja się kończy.

– Podryw składa się z zestawu pytań. Skąd jesteś? Czy pierwszy raz w Gruzji? Czy jadłaś już chaczapuri? Czy masz męża? Czy chcesz, abym cię zawiózł do X? Albo proponują łóżko wprost. Ostatnio miałam taką propozycję od gościa po pięćdziesiątce, czyli w wieku mojego ojca... Obrzydliwe... Najdziwniejsza jest ta ich pewność siebie, która jest powszechna i nie wiadomo na czym oparta, bo w łóżku są kiepscy.

– To jest mały element większej całości. Sex to tylko jeden z elementów całej układanki, w której facet jest bogiem. To się objawia wszędzie. Negocjowałam ostatnio z jednym takim warunki współpracy. Masa maili, rozmowy i tak dalej. Gdy po tygodniach negocjacji poprosiłam, aby w końcu podjął ostateczną decyzję, to pominął mnie i ofertę wysłał wprost do mojego szefa. Tak jest zawsze. Szowiniści.

– Z początku, jak tu się trafia, to ich nastawienie na podryw może wydawać się miłe, ale z czasem dociera do ciebie, że jesteś jedynie obiektem seksualnym, dodatkiem do cipy.

– Sex z Gruzinem? Wolę się masturbować.



## AZERSKI PODRYW W BARZE WARSZAWA I PIWNY PING-PONG W BARZE DIVE

Miejszem pielgrzymek Polaków jest bar „Warszawa”, bo kto by nie chciał cyknąć fotki i pochwalić się w Polsce, że nasi odnoszą sukcesy również w gruzińskiej stolicy? No, niewielu.

Lokal jest prowadzony przez sympatyczną Anię, która przyłączyła się do naszego zespołu, co nie było niczym dziwnym, bo wszyscy Polacy w stolicy się znają. A przynajmniej wszyscy ci, którzy w ostatnich latach osiedlili się w Gruzji. Zeszliśmy do piwnicy, z głośników poleciały polskie utwory. Śpiewaliśmy razem z Marylą, Sztywnym Palem Azji i z każdym, kto jeszcze był przywołany. Jeżeli uważacie, że nie da się tańczyć przy Kasprzyckim lub Wolnej Grupie Bukowinie, to znaczy, że mało wiecie. Da się. Co chwila do piwnicy schodził ktoś, żeby zobaczyć, co to za śpiewy i tańce, ale większość po kilku minutach wychodziła, nie rozumiejąc ani, co się dzieje, ani naszego języka. Kilka osób jednak zostało.

W pewnym momencie pojawił się młody mężczyzna kaukaskiej urody i dziewczyny z miejsca przeprowadziły wywiad, kto zacz. Facet był z Azerbejdżanu i wyraźnie szukał przygody damsko-męskiej, no, prawie się ślinił. Wysoki, wysportowany, przystojny i dobrze ubrany emanował pewnością siebie. Nie miał jednak na tyle jaj, żeby przyłączyć się do naszych tańców, widocznie uznając, że przy takiej urodzie taniec jest zbędny. Dosiadał się jedynie do moich towarzyszek i zagadywał je po kolei. A one najpierw okazywały zainteresowanie, przez co gość mógł poczuć, że sprawy idą w dobrą stronę, za chwilę ignorowały go w sposób koncertowy, a potem znów pozwalały mu emanować swoim samczym ego. Koleś był totalnie ogłupiony sytuacją. Prawdopodobnie przywykł, że nikt takiego przystojniaka nie spuszcza na bambus. Siadał, wstawał, podchodził, odchodził i znów siadał. Jak pies, co to nie wie, jak dobrać się do jeża. Ale to było widowisko! W ciągu godziny, po wielu próbach wbicia się na pozycję gwiazdy wieczoru, przystojny Azer wyraźnie się podłamał i usiadł, markotny, w kącie. Mimo braku nadziei na wyrwanie którejś z obecnych tu kobiet, nie odchodził. Na koniec, gdy już wychodziliśmy z lokalu, dostał wyraźny sygnał, że nie zabieramy go ze sobą, a wtedy z przystojniaka na

amen zeszło powietrze. Aż mi się go zrobiło żal, ale jedynie przez moment. Jeżeli uwierzył obiegowej opinii, że Europejki są łatwe, to sobie sam strzelił w stopę. Polowanie nieudane. Zostają Panie Azer ręczne robótki, zwane przez miłośników loterii państwowej „masowaniem małego Tolka”, przez wegetarian „obieraniem banana”, przez ogrodników „kulaniem gruchy”, przez wierzących „trzepaniem kapucyna” lub przez patriotów „waleniem Niemca w hełm”. Ciekawe, czy Azerowie mają tyle, co my, Polanie, określić na tę czynność?

Nie pamiętam już, która była godzina, ale w finale zostałem sam z przewodniczką Moniką, Kasią, która na stałe mieszka w Wietnamie, gdzie uczy angielskiego i z koleżanką Moniki spotkaną w poprzednim lokalu. Monika rzuciła hasło „piwny ping-pong”. Fajna to gra, która polega na tym, że dzban piwa rozlewa się do szklanek (lub plastikowych kubków) ustawionych po przeciwległych stronach stołu. Jeśli przeciwnik trafi piłeczką do ping-ponga w jedną z twoich szklanek, to wypijasz zawartość. W sumie fajna zabawa, bo przegrywanie nie boli. Pod warunkiem, że nie ma się dość alkoholu, a piwo jest dobre i porządnie schłodzone. W przeciwnym razie przegrywanie boli. Tyle teorii.

Na miejsce rozgrywki Monika zaproponowała odjechany bar prowadzony przez Amerykanów, którzy sami produkują piwo. Amerykanie mają dobrą rękę do piwa. Wiem, bo bujając się kiedyś po USA, miałem okazję próbować w mini browarach. Do miejsca zaproponowanego przez koleżankę szedłem zatem z ochotą. Lokal nazywa się „Dive” i jest urządzony sprzętami z demobilu, co tylko dodaje mu uroku. Zamówiliśmy dzban i akcesoria do ping-ponga. A potem nastąpiła wtopa wieczoru, bo tak słabego rzemieślniczego piwa nie piłem, jak żyję i przegrywanie rzeczywiście bolało. Nie wiem, czy zawsze dają tam taki browarek, czy to jedynie była jakaś nieudana partia. W każdym razie smakowało jak szczychy szatana lub jak poczucie humoru posłanki Pawłowicz.

## ROZDZIAŁ, KTÓREGO NIE PLANOWAŁEM I KTÓRY POWSTAŁ BEZ PRZYJEMNOŚCI Z PISANIA

Kawały są zakorzenione w rzeczywistości. Lata temu słyszałem w Związku Radzieckim dowcip na temat edukacji seksualnej, ale wtedy nie miałem pojęcia, że to z życia. Oto on. Ojciec postanowił pójść z synem do burdelu, bo ten za cholerę nie chciał się zainteresować kobietami i tylko siedział w książkach. Szkoda, aby się chłopak zmarnował. Poprosił więc burdelmame, żeby wyznaczyła najlepszą dziewczynę, która by cierpliwie, krok po kroku, z dokładną instrukcją, co i jak, wprowadziła juniora w arkana sztuki miłosnej. Stało się, jak ojciec chciał. W umówionym dniu przywiózł syna i ten udał się do wskazanego pokoju. Przygotowana wcześniej kurtyzana, zgodnie z instrukcjami, mówiła chłopakowi, co ma robić. Zamknij za sobą drzwi! Zamknął. Zaciągnij zasłony! Zaciągnął. Zapal świece! Zapalił. Otwórz wino! Otworzył. Zaczynaj mnie rozbierać! Zaczął. Całuj! Zaczął całować... Robił wszystko według instrukcji, ale nic z własnej inicjatywy. W końcu, gdy oboje już byli nadzy i leżeli obok siebie, zniecierpliwiona dama straciła panowanie nad sobą:

– A teraz mnie wypierdol!

Chłopak zerwał się z łóżka, otworzył szeroko drzwi i wskazując palcem na korytarz, krzyknął:

– Wypierdalaj!!!

Dowcip ten celowo umieściłem na początku rozdziału. Dlaczego? Dowiedzie się na końcu. W każdym razie, po wysłuchaniu miażdżących opinii o życiu seksualnym z Gruzunami, nie mogłem przestać myśleć o tej sprawie. Może negatywne opinie były przesadzone? Pomocny okazał się Internet, w którym można znaleźć całą masę komentarzy na ten temat, od zwykłych plotek, po rzeczowe artykuły i twarde raporty statystyczne oraz komentarze do nich. Czytając artykuł za artykułem, wiedziałem też, że nie obędzie się bez poszukania w Polsce Gruzinek, które wypowiedzą się na neutralnym gruncie. Temat relacji damsko-męskich i edukacji seksualnej jest jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Wielkiej i niebezpiecznej góry lodowej. To temat rzeka.

Sam, będąc ojcem, mam świadomość, że szkoła i podręczniki nie zastąpią wolnej od przesądów edukacji domowej i nie wyobrażam sobie, żeby w tej kwestii zastępował mnie ktoś inny, szkoła bądź ulica. Bądź ambona. Skoro poradziłem sobie z edukacją córki, przekazując jej informacje stopniowo i stosownie do wieku, to tym bardziej poradzę sobie z synem. Nie wyobrażam sobie, żeby gruzińskim zwyczajem fundować synowi prostytutkę. Głupi nie jestem i wiem, że nie każdy tak robi, ale obyczaj z pewnością jest akceptowany. Pomijam kwestie moralne i zdrowotne (w końcu każda prostytutka to gotowy materiał na doktorat z dermatologii). Powiem tylko, że odarcie młodego człowieka z emocjonalnej strony cielesnego pożycia już na początku jego seksualnego rozwoju jest przejawem zwykłego barbarzyństwa i zacofania, przykrywanego pseudokulturą kaukaskiego macyzmu. Nic dziwnego, że później każda kolejna kobieta, w ocenie mężczyzny wyedukowanego tą drogą, będzie nosić w sobie pierwiastek prostytucji – instytucji mającej bez wzajemności zaspokoić męską chuć.

Po powrocie do Polski skontaktowałem się z Nikołozem Kawelaszwilim, Gruzinem doktoryzującym się we Wrocławiu. Wyjaśnił mi on, że zjawisko fundowania prawiczkowi prostytutki rzeczywiście nie budzi w Gruzji zgorszenia, ale powoli traci popularność. Tyle dobrego. Gorzej, że próby prowadzenia w szkołach edukacji w tym zakresie spotykają się z protestami rodziców i cerkwi. Znowu sprzeczność – jak nie chcą, aby ktoś uczył ich dzieci, to powinni to robić sami. Nie robią jednak, bo się wstydzą. Natomiast proponować bara-bara turystkom się nie wstydzą. Polki, które powychodziły za Gruzinów (na FB zaczęłam w tej sprawie sześć kobiet), odmawiały komentarza w tej sprawie. Dopiero siódma stwierdziła, że nie jest źle, ale i ona słyszała podobne opinie, tyle że nie tak dosadnie wyrażone. Dziękuję, pani Magdo, za odpowiedź. Tak, jak obiecałem, nazwiska nie podaję.

Następnego dnia po zwierzeniach koleżanek postanowiłem wykorzystać nowo zdobytą wiedzę w rozmowie z jakimś Gruzinem. Miejscowi wciąż pytają, czy mi się podoba w Gruzji. Tym razem postanowiłem nie odpowiadać, że owszem, tylko zaprzeczyć, aby sprawdzić reakcję rozmówcy.

Wystarczyło poczekać na odpowiednią okazję. Gruzin, który się do mnie dosiadł w restauracji, zaczął od standardu – skąd jestem i tak dalej. Kiedy zapytał, czy mi się podoba w Gruzji, zaproponowałem kielicha i odrzekłem,

że wiele rzeczy mi się podoba, nawet bardzo, ale nie wszystko. Był zdziwiony. Powiedziałem zatem, że nie podoba mi się to, że wznoszą toasty, odwołując się do religii i Boga, a za chwilę proponują obcym kobietom szybki numer w samochodzie. Albo Bóg i religia, albo ciachanko na boku. Facet zbaraniał. Wyjął telefon, coś tam niby przeglądał i w końcu powiedział, że musi już iść, bo ma jakąś ważną sprawę. Nie poradził sobie z tym, co powiedziałem, a przecież swoją odpowiedź i tak zmiękczyłem, zachwalając wcześniej to, co uważam za godne uznania i podziwu. Mój rozmówca nawet nie dopił wina. Po prostu wstał, pożegnał się i poszedł.

Było mi mało tej jednej, spłoszonej reakcji, więc taką rozmowę powtórzyłem jeszcze dwa razy. Z tym samym skutkiem, czyli z wyraźnym zakłopotaniem i ucieczką rozmówcy. Czwarty raz już nie chciałem próbować, żeby nie kusić losu, bo ktoś mógłby mi w końcu dać po głębie.

W Gruzji, jak we wszystkich kulturach patriarchalnych, z jednej strony panie są ofiarami systemu, a z drugiej same fundują podobny los kolejnym kobietom, wychowując synów w poczuciu boskości. Oto kolejny paradoks. W dodatku w kryzysowej sytuacji to gruzińskie żony częściej niż mężowie decydują się na wyjazd za granicę do pracy, a to jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Niby tradycyjne społeczeństwo, a chłop siedzi w domu, podczas gdy baba zapierdala na obczyźnie. Chce się rzygać na samą myśl, bo taki sort ojców i mężów to dokładny odpowiednik polskich alimenaciarzy. Na szczęście trend ten się zmienia i to mężczyźni coraz częściej podróżują za pracą. Dobrze i to. Kiedy o tym myślałem, dotarło do mnie w końcu to, na co wcześniej nie zwróciłem uwagi. Nigdzie, na chodnikach, w parkach i na deptakach, nie widać w Gruzji facetów z wózkami. Chyba że specjalnie na mój przyjazd wszyscy się pochowali.

Smutne to były rozważania. Mam czterdzieści sześć lat. Wychowałem się na wsi, gdzie w większości domów nie istniała edukacja seksualna. W temat wprowadzali starsi koledzy, z różnym skutkiem. Młodzi chłopcy rwali się jak byki do pierwszego razu, ale rówieśniczki stawiały opór. Łatwiej było ze starszymi koleżankami. Nie każdy miał jednak śmiałość próbować, co przesunęło wiek inicjacji. Później zaczęły się zmiany obyczajowe, te dobre i te złe (pogadajcie z gimbazą, to się nasłuchacie o tym, w co się bawią polscy gówniarze...), ale nikt syna do burdelu nie prowadził. Zresztą burdel to dalej u nas strefa wstydliva. Pełno ich

w Polsce, ale nikt się nie przechwala, że tam chodzi, bo to po prostu obciach.

W ostatnich latach zmieniło się, na szczęście, podejście facetów do ojcostwa. Świadomych mężczyzn, którzy czują prawdziwą satysfakcję z zajmowania się dziećmi, nie brakuje. W parkach i na skwerach ojcowie dumnie paradują z wózkami. Chodziłem z córką do teatru dla maluchów, chodzę do kina. Z przyjemnością. Ojców przyprowadzających dzieci jest tam tyle samo, co matek. Na ścieżkach rowerowych podobnie. Wśród przyprowadzających dzieci do przedszkoli i szkół również widać sporo ojców. Daleko nam pewnie do ideału, ale jest coraz lepiej, a to pokazuje, że z zacofania da się wyjść. Najpierw trzeba jednak do zacofania się przyznać i nazwać je po imieniu.

Czy Kaukaz stać mentalnie na takie wyzwanie? Można obserwować, komentować, chwalić lub ganić go pod tym względem, chociaż oczywiście to prywatna sprawa mieszkańców. My mamy własne problemy. W „Polityce” z czerwca 2018 roku pojawił się obszerny artykuł o tym, że polskie dzieci przodują w Europie w konsumpcji ostrej pornografii...

Teraz proszę wrócić do dowcipu z początku rozdziału. Prawda, że mało śmieszny? No właśnie. Tak już jest w podróży, że czasem przychodzi odkrywać coś, co niekoniecznie jest piękne. Mieszkające we Wrocławiu Gruzinki (znów Facebook) potwierdziły zjawiska, o których czytałem i jeszcze coś dodały od siebie, ale doszedłem do wniosku, że dla odczucia gorzkiego smaku Gruzji to, co już opisałem, powinno wystarczyć. Co ciekawe, wszystkie te negatywne zjawiska nie zmieniają faktu, że rodzina jest w Gruzji wartością nadrzędną. Realnie, nie teoretycznie. Po prostu Gruzini inaczej pojmują swoje obowiązki wobec najbliższych.

## MIASTO, KTÓRE OPOWIADA HISTORIE

Nie lubię dużych miast. Zaduch i smog odczuwam w szczególnie przykry sposób. Mimo to od czasu do czasu je odwiedzam, bo zawsze jest tam coś ciekawego do obejrzenia czy zrobienia. Mieszkając w Mińsku Mazowieckim, jeździłem do warszawskich teatrów i jazzowych knajp, od czasu do czasu wracam też do Krakowa, bo to wyjątkowe miasto, chociaż przemieszczanie się po nim jest uciążliwe. W Toruniu pojawiaam się, gdy tylko mam okazję, bo to, po Krakowie, mój numer dwa w Polsce. Zdarza mi się zwiedzać zagraniczne metropolie i mam nawet swój ranking. Do Wiednia w życiu nie wrócę, bo jest odnowiony tak perfekcyjnie, że aż pozbawiony ducha. Budapeszt jest świetny, ale nie na tyle, żeby za nim tęsknić. Jak się trafi, to mogę zajechać po drodze. W Moskwie byłem wielokrotnie, ale przestałem tam się pojawiać, gdy znajomi, którzy tam mieszkali, wrócili na stałe do Polski. Po Nowym Jorku łąziłem przez dwa tygodnie, łapiąc się co chwilę na tym, że wszystko, co oglądałem, znam już z filmów. Za to Londyn nie może mi się znudzić i gdyby mnie było stać, finansowo i organizacyjnie, to mógłbym latać tam co weekend. Wszystko mi tam pasuje, poza złodziejskim British Muzeum. Nie mogę zapomnieć Kairu, który miałem okazję poznać od innej niż turystyczna strony. Moim numerem wśród dużych miast jest jednak czeska Praga. Zdarłem kilka par butów w tym mieście, zostawiłem czapkę pieniędzy i wciąż mi mało. Uwielbiam tam wszystko, łącznie z wkurwionymi na cały świat kelnerami i kieszonkowcami na Starym Mieście, których potrafię wywachać na kilometr. W sumie mógłbym mieszkać w Pradze, a nawet chciałbym. Kiedyś było już blisko i w sumie szkoda, że nie wyszło. Rozumiem te wszystkie ochy i achy, zachwyty i orgazmy nad tym miastem, które urzekło i mnie, w którym szczytem szczęścia jest siedzenie z pełnym kuflem w barze dla kibiców hokeja i złośliwe darcie łacha z wkurzonych Czechów, gdy dostają bęcki od Słowaków. Praga zawsze była na pierwszym miejscu, potem nic, a wszystko inne mieściło się na trzeciej i dalszych pozycjach. Zmieniło się to dopiero, gdy poznałem Tbilisi. Teraz to miasto w moim rankingu znajduje się na mocnej, drugiej pozycji.

W Tbilisi jest wszystko. Nie ma w tych słowach żadnej przesady. Coś dla siebie znajdzie tu miłośnik architektury, fanatyk historii i przyrody, domorosły socjolog i profesjonalny dziennikarz, miłośnik dobrego jedzenia,

rozrywkowy imprezowicz, który w dzień śpi, a w nocy baluje oraz szukający duchowości, zagubiony chrześcijanin. Po mieście tym można się prześlizgnąć albo wniknąć w nie głębiej, co kto lubi, co kto woli, co tam komu w duszy gra. To miasto opowiada historie, prowokuje i skłania do refleksji.

– Posłuchajcie.

Trudno znaleźć Gruzina, który nie będzie znał przynajmniej jednego z tych dwóch nazwisk: Zurab Cereteli i Niko Pirosmani. Tbilisi jest wspólnym miastem tych dwóch ludzi w tym sensie, że jeden został tu pochowany, drugi się tu urodził. Połączyło ich też powołanie. Jeden odebrał staranne wykształcenie, drugi był samoukiem. Jeden malował uczy, drugi ucztuje, kiedy tylko chce i z kim chce.

Niko Pirosmani żył na przełomie XIX i XX wieku, najpierw pracował na etacie, a po nieudanych próbach prowadzenia interesu mleczarskiego i bankructwie wylądował na ulicy. Żył z malowania szyldów, ozdabiania ścian i tworzenia obrazów na życzenie. Pieniądzy wystarczyło mu najwyżej na przetrwanie. Jego talent odkryto zbyt późno. Zmarł w 1918 roku, dożywszy pięćdziesięciu sześciu lat.

Szesnaście lat później, w 1934 roku, przychodzi na świat Zurab Cereteli. Nie ma już Rosji, jest Związek Radziecki. Zurab uczęszcza do liceum plastycznego, później studiuje malarstwo. Wyróżnia się stylem i szybko staje się ulubieńcem władzy. Otrzymuje zlecenie za zleceniem. Zajmuje się głównie wystrojem artystycznym budowanych przez ZSRR obiektów, od ośrodków wypoczynkowych po radzieckie ambasady. Otrzymuje państwowe oficjalne tytuły jedno po drugim (Związek Radziecki miał całą drabinę oficjalnych tytułów dla zasłużonych) żyje jak pączek w maśle. Z czasem zostaje zauważony za granicą, a pochodzenie zza żelaznej kurtyny tym bardziej wzmacnia zainteresowanie jego sztuką. Podczas igrzysk olimpijskich w 1980 roku zostaje głównym artystą Olimpiady. Po rozpadzie Związku Radzieckiego zostaje w Rosji, ale jest już obywatelem świata. Za sławą zaczynają iść pieniądze, wielkie pieniądze. Maluje dużo, przeciwnicy mówią, że hurtowo i przewidywalnie. Rzeźby tworzy monumentalne, krzykliwe, chociaż jego talent najlepiej widać w kameralnych postaciach mieszczan, ulicznych grajków i biesiadników. Staje się celebrytą, przyjacielem sławnych ludzi i polityków. Zaczyna budzić kontrowersje, czasami oburzenie, bo tworzy dla każdego, kto odpowiednio zapłaci, choćby to miał być sam Putin czy inni z jego gwardii. W Tbilisi, w samym



centrum, inwestuje w muzeum sztuki nowoczesnej, którego znaczną część zajmują jego obrazy i rzeźby. To nie wszystko. W budynku tym stworzono odrębną przestrzeń na wystawę fotograficzną o życiu artysty, ale większość ludzi i tak zapamiętuje z niej głównie zdjęcia z Robertem De Niro, Gerardem Depardieu i małżeństwem Clintonów. Złośliwi komentują, że to bufonada, inni są dumni, że miejscowy chłopak zaszedł tak daleko i poznał takie szczyty.

Tak czy inaczej, czterysta pięćdziesiąt metrów dalej, w Narodowym Muzeum Sztuk Pięknych przy ulicy Puszkina, znajduje się największa kolekcja prac Niko Pirosmianiego. W prestiżowych miejscach, niedaleko od siebie, wystawiono dzieła obydwu artystów, którzy prezentują się światu jak równy z równym. Ale „ulica” wie swoje i ma faworyta. Jak Gruzja długa i szeroka, w każdym zakątku kraju, na ścianach restauracji i w recepcjach hoteli można spotkać repliki prac ulubieńca ludu. Również na magnesach, kubkach i pocztówkach króluje nie nikt inny, tylko Niko Pirosmiani. Gdzieś tam pojawia się z rzadka i Cereteli, ale fakt pozostaje faktem – Król jest tylko jeden.

Takie historie opowiada Tbilisi. Wystarczy się wsłuchać.

## MUZEUM NARODOWE I POLITYKA, PRZED KTÓRĄ TRUDNO UCIEC

Bilet wstępu dla dorosłego – dziesięć złotych i pięćdziesiąt groszy. Studenci płacą półtora złotego, młodzież szkolna siedemdziesiąt pięć groszy. Niska cena wstępu pozostaje w wielkim kontraście ze zgromadzonymi tam skarbami. Ilość złota po-wa-la-ją-ca! Finezyjne ozdoby i biżuteria. Diademy, naszyjniki, bransolety. Figurki zwierząt. Monety. Jak ktoś lubi ćwiczyć spostrzegawczość, może pośród zbiorów szukać tych figur, które skopiowano w powiększeniu podczas budowy słynnej fontanny w Kutaisi. Historia zapisana w sztuce, świadectwo zamożności czasów Królestwa Iberii i okresu rzymskiego. Oprócz złota niezwykle przedmioty z czasu brązu – w tym ozdobny miedziany pas z myśliwskimi scenami, opisywany w każdym opracowaniu o historii Gruzji. Rzeczywiście, bardzo ciekawy. A poza nim zdobione topory, głowy sztandarów, ozdoby, naczynia. Skarbiec w pełnym tego słowa znaczeniu. Jak się na to patrzy, to inaczej odczytuje się historię o Jazonie i Argonautach, jakoś to dociera bardziej do wyobraźni. Donald Trump zzieleniałby ze złości, że to wszystko nie jest jego.

W innej sali wystawiono upiorne czerepy hominidów, a wśród nich słynne czaszki odkryte w miejscowości Dmanisi. Dlaczego słynne? Bo postawiły na głowie teorie o pochodzeniu Europejczyków i cały czas wywołują dyskusje wśród naukowców. Po tym odkryciu uprawnione stało się twierdzenie, że my, ludzie, pochodzimy z Gruzji. Kolejna wystawa to zabytki z czasów chrześcijańskich z dużą kolekcją manuskryptów i tak dalej. Oczywiście muzeum wystawia jedynie część zbiorów, ale właściwe pytanie nie brzmi „co jeszcze jest w magazynach?”, a „co jeszcze kryje gruzińska ziemia?”.

Jest jeszcze jedna sala, w której nie sposób uciec od tematów politycznych. Można próbować, ale polityka narzuca się sama. Jeżeli nawet obok jednego eksponatu przejdziemy obojętnie, to temat zaatakuje nas gdzie indziej. Ze zdwojoną siłą i w innej formie.

W drodze do wodospadów Gveleti trudno nie zauważyć na jednym z mostków napisu namalowanego czerwoną farbą, który informuje o tym, że Rosja jest okupantem. Nie da się też nie zauważyć wlepek o podobnej

treści czy graffiti przedstawiającego ponurą gębę będącą skrzyżowaniem wrednych mord Hitlera i Putina. Nie ma nic bardziej wymownego – to, co rozumieją anonimowi graficy, tego bardzo nie chce zrozumieć cały Zachód, na czele z Niemcami i Francuzami. Oto Europa hoduje sobie drugiego Hitlera, który chętnie dobrałby się jej do gardła, gdyby tylko mógł. Stu dziewięćdziesięciu trzech Holendrów z zestrzelonego samolotu poszło w piach i nic. Żadnych konsekwencji... Zatem można! Co dalej? Nie wiadomo, ale na pewno coś. Kiedy piszę te słowa, podczas meczu Rosja-Chorwacja chorwacka pani prezydent siedzi w łoży VIP-ów z elegancko ubranym putinowskim fagasem i marionetką, niejakim Miedwiediewem, przekazując w ten sposób jasny komunikat ruskim zbirom: „Róbcie, co chcecie, wszystko i tak ujdzie wam na sucho”. Kilka dni później francuski prezydent nie ogranicza się do kurtuazyjnego przywitania się z Putinem, tylko mizia się z nim i szczebiocze. Scena warta lepszego pióra, której mogę dać roboczy tytuł *Umizgi kurwy do bandziora*.

Wróćmy jednak do muzeum. Jedna z sal została poświęcona historii okupacji radzieckiej. Na ścianie po prawej stronie od wejścia wisi nowy element – mapa pokazująca obecną okupację rosyjską na terenach Abchazji i Osetii. Przejęta przewodniczka wyjaśnia temat turystom z Włoch, ale ci słuchają średnio uważnie – skarbiec był ciekawszy! Jeżeli któryś z nich zechce dowiedzieć się czegoś więcej, sięgnie zapewne do Internetu i, jeżeli będzie miał odrobinę szczęścia, to znajdzie komentarz kogoś, kto obiektywnie przedstawia sprawę. Jest to jednak mało prawdopodobne, bo szybciej trafi na ruski punkt widzenia i stwierdzi, że to jakaś miejscowa awantura, którą nie warto się przejmować. Czy zatem przewodniczka marnuje energię na edukację zachodnich Europejczyków? Prawdopodobnie tak, bo oni i tak nie rozumieją gruzińskich problemów. Nie chcą ich zrozumieć. Nie jest to im do niczego potrzebne. Z drugiej strony, trudno o tym milczeć, bo milczeć to akceptować. Klincz. Nas, Polan, przekonywać nie trzeba. Nam cały czas siedzą w głowie słowa z piosenki Kaczmarek: „Tylko ofiary się nie mylą (...)”.

Jeszcze inna historia, a właściwie dwie historie. W Kutaisi przy ulicy Brose (blisko słynnego ronda) mieści się zapomniane, puste i nawet nie prowadzące biletów Muzeum Chwały Wojennej. Turystów oprowadza po nim pan Murmani Demetradze, niezwykle miły dyrektor i przewodnik, wyraźnie zadowolony z faktu, że może wyjść z biurka i porozmawiać z ludźmi. Gości jest tu znacznie mniej niż w głównym muzeum miasta. Gdy

pytam o statystykę odwiedzin, pan Demetradze nawet nie odpowiada, tylko macha ręką. Pewnie instytucja ratuje się szkolnymi wycieczkami... Na całe muzeum składa się w zasadzie jedna wielka sala, która prezentuje gruziński wkład w zwycięstwo nad Trzecią Rzeszą. Instytucja, jak łatwo się domyślić, powstała za czasów Związku Radzieckiego w celach propagandowych i w ramach klasycznej radzieckiej wdzięczności – wy oddajcie nam waszych synów, my postawimy wam pomnik. Albo muzeum.

Dziś miejsce to jest świadectwem mentalnego rozdarcia, bo Gruzini złożyli wielką ofiarę w obronie państwa, które ich niewoliło. Nie można jednak stwierdzić, że były to ofiary w złej sprawie, bo pomijając współczesną ocenę nazizmu, to jakie mieli wyjście? Zorganizować powstanie i czekać na wejście Turcji? Czy Turcja z Niemcami zaoferowałyby im więcej niż ZSRR? Można, oczywiście, teoretyzować z pozycji kanapy... Jeżeli u nas dyskusja o sensowności walki z Niemcami dopiero raczkuje, to co dopiero tutaj?

Pan dyrektor, który spędził w muzeum większość zawodowego życia, próbował jakoś się w tym odnaleźć i, oprowadzając Polaka, robił co mógł, aby dostosować przekaz do naszego rozumienia roli Związku Radzieckiego w Drugiej Wojnie Światowej. Naprawdę się starał. Nawet o pakcie Mołotowa z Niemcami pamiętał. Gdzieś przy opowieści o zdobywaniu Berlina wtrąciła się pani, która dotąd milczała. Gdy pozwoliłem sobie nie zgodzić się z nią w ocenie postaci Stalina, padły nienawistne słowa:

– A wy pomagaliście Niemcom zabijać Żydów!

Nawet nie podejmowałem dyskusji, nie dziwiąc się wcale, że i tu dopadła mnie polityczna bieżączka. Pan dyrektor spojrział na nią karcąco i obrażona pani przestała kłapać dziobem. Podkreśliłem, że nie ma problemu i pan dyrektor kontynuował opowieść.

Odeszliśmy od tematu II wojny światowej i przeszliśmy do spraw aktualnych – okupacji Abchazji i Osetii Południowej. Tej sprawie poświęcono sporo miejsca i oddzielną wystawę fotografii. Na innej ścianie zaprezentowano zdjęcia dotyczące obecności wojsk gruzińskich na tak zwanych misjach. Od 2004 roku Gruzja ma swój kontyngent w Afganistanie i nie obyło się bez ofiar, w tym śmiertelnych, ale największe wrażenie robią zdjęcia rannego żołnierza, który stracił nogi. W szpitalu odwiedziła go Angelina Jolie, prezydent Saakaszwili i amerykański mistrz wrestlingu umysłowego, Barack Obama. Zdjęcia obieży świat! I co dalej? Nic. Według informacji pana dyrektora, żołnierz wegetuje dziś w Tbilisi na

głodowej rencie. Komentując całą historię, pan dyrektor użył słowa „cynizm”, które po rosyjsku brzmi tak samo jak po polsku. Ja użyłem polskiego zwrotu „skurwysyństwo”. Pan Murmani Demetradze zrozumiał. Poprosił, żebym wpisał się do księgi pamiątkowej.

## O PRZEWAGACH GRUZJI NAD POLSKĄ – Z OPOWIEŚCI MARCINA

– Jak długo prowadzisz tu firmę? – zapytałem Marcina.

– Cztery lata.

– To siłą rzeczy swoje wiesz. Opowiedz o przewagach Gruzji nad Polską.

– Przykładów jest masa, ale weźmy coś prostego, chociażby taksówki. Są wyjątkowo tanie, bo konkurencja jest gigantyczna. Żeby zostać taksówkarzem, wystarczy mieć samochód i kupić na bazarze napis „TAXI”. Bez opłat, koncesji i pozwoleń. Jak trzeba zabrać pięć osób, to nie ma problemu, nawet policja nie będzie się czepiać. A policja to też odrębny temat. Wcześniej była mocna skorumpowana, ale Saakaszwili wymienił wszystkich, od dowódców po chodnikowych. Mam z nimi kontakt niewielki, głównie w czasie jazdy, ale rzuca się w oczy to, że oni są dla pilnowania porządku, a nie po to, aby gnębić ludzi mandatami. Zdarzają się nawet śmieszne sytuacje, na przykład, gdy ktoś zatrzyma się w miejscu zakazanym. Policja przez megafon nakazuje odjazd kierowcy, a on coś tam pokazuje na migi i nie odjeżdża. Wtedy gliniarze powtarzają polecenie, a jak delikwent nie słucha, to podchodzą do niego. Bywa tak, że kierowca się wyklóca, że on tylko na pięć minut, bo żona zaraz z ciężką torbą z zakupami się pojawi albo z nową fryzurą wprost od fryzjera. W Polsce z miejsca taki kierowca zapłaciłby mandat, a tu skończy się na pogadance. Widziałeś tu blokady na kołach?

– Nie.

– Masz odpowiedź. Ułatwień jest więcej, po pierwsze, po stronie urzędniczej, ale i po stronie zwykłych ludzi. Szukałem samochodu. Znajomi na giełdzie znaleźli dla mnie wózek i dali znać. Pojechałem, zobaczyłem, dałem zaliczkę. Facet od razu wydał mi auto z dokumentami, chociaż nie dostał całej kasy. Nie miał z tym żadnego problemu, że resztę podrzucę za jakiś czas. Nie do wyobrażenia w Polsce, między całkowicie obcymi ludźmi. Zresztą sam wiesz, że handel samochodami w Polsce to strefa oszustw – kręcenie liczników, kombinacje...

– Niemiec płakał, jak sprzedawał...

– No dokładnie. Tu nie ma mowy o czyś takim. Albo dostajesz dobre auto w konkretnej cenie, albo powiedzą ci, co jest do wymiany lub

reperacji. I wtedy cena jest znacznie niższa. Nie ma walenia po rogach.

– A rejestracja auta?

– Cała zabawa trwa pół godziny, z wszystkimi formalnościami podatkowymi i rejestracyjnymi w jednym miejscu, żadnych dokumentów tymczasowych, wszystko od ręki i z uśmiechem na twarzy. A wydanie tablic kosztuje takie grosze, że nawet nie pamiętam kwoty.

– A jak się prowadzi firmę?

– Trzeba zacząć od tego, że założenie firmy jest łatwe, nawet dla obcokrajowca. Tłumacz od dokumentów nie musi być tłumaczem przysięgłym, wystarczy, że wezmę ze sobą kogoś, kto mi przetłumaczy to, co podpisuję i z głowy. Skoro ja mu ufam, to państwu nic do tego. Dotyczy to nie tylko działalności jednoosobowej, ale też wejścia w spółkę z kimś miejscowym czy innych konfiguracji. Na dobrą sprawę parę podpisów wystarczy i koniec. Resztę załatwia państwo. Od strony formalnej i księgowej firmę prowadzi się bardzo łatwo. Podatki są relatywnie niskie. Nie ma koncesji. Nie ma czegoś takiego jak nasz ZUS. Nie ma obowiązkowych ubezpieczeń. Oczywiście można wykupić dodatkowe ubezpieczenia dla pracowników, ale to opcja. Tu nie ma takiego systemu emerytalnego, że pokolenie pracujące utrzymuje emerytów. Każdy musi odłożyć na siebie i każdy ma tę świadomość.

– A jak nie odkłada i bieduje na starość?

– Nawet, jak ktoś odkłada, to i tak może się przytrafić choroba, która zeżre oszczędności. Znasz to i z Polski, gdzie nie wszystko jest przecież refundowane. W takiej sytuacji pozostaje rodzina i przyjaciele. Może podam ci konkretny przykład. Mój przyjaciel ciężko zachorował i potrzebna była zrzutka na bardzo drogie leczenie. Znajomi z miejsca się skrzyknęli i ludzie dawali o wiele więcej, niż to, na co teoretycznie było ich stać. System ma swoje wady, ale jako taki uczy odpowiedzialności i w dłuższej perspektywie wyjdzie wszystkim na dobre. Poza tym trzeba pamiętać, że istnieją dobrowolne i dostępne cenowo ubezpieczenia. Z moich obserwacji wynika jednak, że są mało popularne, co mnie dziwi, bo składki są stosunkowo niskie.

– Co jeszcze ułatwia tu funkcjonowanie przedsiębiorstwa?

Nie tylko rozwiązania systemowe, ale też podejście ludzi do życia. Kiedyś znajomy odbierał mnie z Okęcia i stanął niedokładnie tam, gdzie powinien. Z miejsca wyskoczył jakiś stróż czy ochroniarz z pretensjami, że zaraz będzie mandat i tak dalej. Kolega zapytał go, czy to on te mandaty

wypisuje, a ten odpowiedział, że nie. Rozumiesz? Ale musiał pokazać, kto jest ważny. Może miał plan policję wołać? Tylko po co? Po co to nawiedzenie i nadgorliwość, skoro kolega zatrzymał się na pół minuty? Tu, w Gruzji, takich sytuacji nie doświadczyłem ani razu. Za to otrzymałem masę bezinteresownej pomocy, szczególnie na samym początku, kiedy stawiałem pierwsze kroki i tego nigdy nie zapomnę.



## **GORI – LEKCJA POLITYCZNEJ NIEPOPRAWNOŚCI**

Z politycznej poprawności wyleczył mnie Janek Wysocki, białostocki Cygan, dobry kolega i sąsiad. Janek nosił dumną ksywkę „Profesor”, bo był w tym czasie najbardziej wykształconym Cyganem w mieście. Skończył zawodówkę. Trudnił się handlem oraz pisaniem podań i wypełnianiem wszystkich innych papierów na wół niepiśmiennym Cyganom. Kiedyś oglądaliśmy wspólnie telewizję, w której padło słowo „Rom”. Janek tarzał się ze śmiechu, a jak już się uspokoił, to wyjaśnił, że nie ma nic głupszego niż bycie Romem, skoro całe życie było się Cyganem. Teraz ma być Romem na siłę, a przecież w swoim języku, między swoimi, to zawsze był tym Romem. To był jednak ich język, ich świat. Teraz ma być Romem dla tych, dla których jest Cyganem. Zastanawiał się też, czy inne słowa cygańskie również zaczną obowiązywać. Powiedział wtedy, że jeśli nawet określenie „Cygan” kojarzy się negatywnie, bo ocyganić to oszukać, to używanie innego określenia nic a nic nie zmieni powszechnej opinii o Cyganach, bez względu na to, czy na nią zasługują, czy nie. Czas pokazał, że miał rację. Poprawniakom proponuję przy okazji aby zamiast „ocyganić”, mówili „oromic”, oraz żeby zmieniali słowa piosenki z „dziś prawdziwych Cyganów już nie ma”, na „dziś prawdziwych Romów już nie ma”. Propozycja gratis.

Wspominam tę historię na wstępie, bo do Gori wybrałem się po to, aby na własne oczy zobaczyć to, co tak gorszy Polaków, czyli Muzeum Stalina, któremu towarzyszy jego powszechny kult, z polskiego punktu widzenia politycznie niepoprawny, gorszący i szokujący. Do Gori najłatwiej dojechać marszrutką z dworca Didube, który leży na krańcach Tbilisi. Do Didube można dojechać komunikacją miejską za siedemdziesiąt pięć groszy albo taksówką. Kierowca zacznie od ceny dwanaście złotych za kurs, a zgodzi się pojechać za dziewięć albo i mniej. Aż wstyd się targować, no chyba, że chce się zrobić panu niespodziankę – ustalić kurs za sześć lari, a na koniec dać osiem albo więcej. Wtedy tak, ale przy dwóch lub trzech osobach to nawet nie wypada zapłacić mniej.

Didube to wielki, pełen energii organizm. Fascynujący jako taki. Po środku miasta stoi wielki plac, pełniący rolę dworca dla marszrotek, ale

i dla prywatnych, małych aut powielających ich trasy. Wystarczy zapytać, z którego miejsca jadą auta w poszukiwanym kierunku i miejscowi wskażą. Oprócz tego Didube jest tętniącym życiem bazarem, który emanuje szaloną wschodnią energią, będącą przeciwieństwem europejskiego sztywństwa. Zanim znalazłem transport do Gori, pokręciłem się po terenie. Sklepy, kantor na kantorze, stragany i gastronomia.

Nie mogłem się oprzeć, bo pachniało fantastycznie. Zamówiłem piwo i placek z fasolą, nad którymi snułem wspomnienia o wrocławskim dworcu, który do remontu przed Mistrzostwami Europy w Piłce Kopanej tętnił życiem. Był trochę syfiasty, ale tętnił. Funkcjonowały tu bary z tanim piwem, budki z zapiekankami, całkiem przyzwoity punkt z kurczakami z różną oraz porno kino. Do całonocnego baru zajeżdżali taksjarze, kręcili się wykolejeńcy szukający sponsora („Panie kierowniku, dołoży pan do winka?”), podróżni znudzeni czekaniem na pociąg, a także splukani na dyskotekach młodzieńcy, spragnieni taniej zapiekanki i piwa. Często pojawiała się policja na zmianę z sokistami, więc mimo mocno zróżnicowanego towarzystwa rozrób było niewiele. Po remoncie z tej atmosfery nie zostało nic a nic. Fascynująca energia Didube tym bardziej mi to uświadamiała.

Oprócz straganów, sklepów i kantorów działają tu fryzjerzy, i to tacy, którzy nie tylko strzygą, ale też golią. Brzytwą, jak Bóg przykazał. Nie mogłem się powstrzymać i po otrzymaniu zgody zrobiłem u fryzjera zdjęcie, solennie sobie obiecując, że następnego dnia z samego rana poszukam golibrody. Nie dlatego, że nie lubię golić się sam, ale po to, aby zmanifestować swój stosunek do kretyńskich przepisów unijnych, zabraniających mi decydować o sobie samym. Gdyby rzeczywiście chodziło o AIDS czy inne choroby, jak to się próbuje nam wmawiać, to w pierwszej kolejności Unia powinna zakazać bzykania na boku i bez gumofilców na wacku.

Do Gori zabrałem się autem osobowym, przystosowanym do przewozu sześciu pasażerów. Trasa w jedną stronę to osiemdziesiąt kilometrów, godzina drogi. Cena za przejazd wynosi siedem i pół złotego. Sześciu pasażerów daje czterdzieści pięć złotych. Koszt paliwa przy pełnym obciążeniu auta to w najlepszym układzie dwadzieścia pięć złotych, a pewnie i więcej. Gdy się doliczy czas oczekiwania na pasażerów, to jeden kierowca robi dziennie maksymalnie osiem kursów. Teoretycznie więc dostaje sto sześćdziesiąt złotych na dzień na czysto, pod warunkiem

rozsądnego spalania benzyny i pełnego obłożenia. Gdzie jednak kasa na bieżące remonty, na płyny eksploatacyjne, na jakąkolwiek amortyzację i zwrot inwestycji w samochód, jaki by on nie był? No właśnie... Może taksiarze kombinują jak w Polsce z „lewym” paliwem, wtedy opłacalność rośnie. Nie wiem... W czasie jazdy jednak takie wyliczenia same przychodzą do głowy, a wraz z nimi wielki szacunek dla tych, którzy nie jęczą, tylko ciężką pracą zarabiają na chleb. Nawet gdy jest to zajęcie średnio opłacalne.

W trasie niespodzianka, bo jakżeby inaczej. Nic nie poradzę, że tak mam – zawsze przyciągam jakąś akcję, proszę zapytać znajomych z klubu rowerowego „Luźna Guma” lub kogokolwiek z moich znajomych. Jeżeli do pełnego ludzi baru wejdzie szukający towarzystwa świr, który właśnie uciekł z wariatkowa, to bankowo dosiądzie się do mnie, choćbym siedział na końcu sali zajęty lekturą i odwrócony do wszystkich plecami. Tu nie było inaczej. Na tylnym siedzeniu jechał ze mną pan Ilia Nadimashvili, historyk i publicysta, mocno zakręcony ex-pracownik Muzeum Etnograficznego w Gori, który jechał tam teraz po to, aby pochwalić się jakąś publikacją byłym kolegom z pracy. Po powrocie do Polski korespondowaliśmy przez chwilę, dopóki pan Ilia nie zaczął mnie pytać, czy nie znam kogoś, kto chciałby zainwestować milion baksów w świetnie położoną kamienicę w centrum stolicy, którą można zaadoptować na pensjonat. Gwarantowany zysk i prowizja dla mnie za znalezienie inwestora. To jednak było później, bo zanim poznałem biznesowe marzenia pana Nadimashvili, to pogadaliśmy sobie trochę o gruzińskim kryzysie gospodarczym. Czas szybko minął.

Wizytę w muzeum zacząłem od sklepu z pamiątkami, bo jest coś odjechanego w fakcie, że ktoś chce kupić kubek ze Stalinem, ale skoro funkcjonuje taki sklep, to znaczy, że są kupcy. Ceny wzięte z kosmosu. Koszulka ze Stalinem – sześćdziesiąt pięć złotych, kubek – trzydzieści złotych, okrągły znaczek – trzydzieści siedem złotych. Długopis z napisem Józef Stalin, najtańszy, jaki można znaleźć w agencjach reklamowych – dwadzieścia dwa złote! Najdroższe w tym zestawieniu były spinki do koszuli za – uwaga – trzysta piętnaście złotych! Nic, tylko brać i nie pytać.

Reszta muzeum jest taka sobie, poza salą z prezentami, które dostał Józiek Słoneczko. Zapewne jest to niewielka część tego, co za życia otrzymał Stalin, ale i tak zabawa okazuje się przednia. Dominują

przedmioty z portretem Józia, niektóre mało praktyczne. Polska ma tu niezłą reprezentację. Oto ozdobny talerz z napisem:

WODZOWI WOLNYCH NARODÓW, TOW. STALINOWI W 70-TĄ  
ROZNICĘ URODZIN – PRACOWNICY PAŃSTW. FABRYKI FARB  
I CHEMIK. CERAM. „CERFARBA” WAŁBRZYCH – POLSKA 1949

Zachowałem pisownię oryginalną, bo ciekawe jest to, że prezent został zrobiony „na odwal” i autorowi nawet nie chciało się napisać całym zdaniem słów „państwowej”, „chemikaliów”, „ceramiki” i „towarzyszowi”. Do tego pojawił się błąd i kropka zamiast „i” w jednym miejscu. Jak to przeszło w Wałbrzyskiej fabryce? Muszę wyjaśnić to małodatom, bo dziadki kumają, o co chodzi. Otóż komuniści w tamtych czasach pakowali na różne stanowiska – od posterunkowych po kierowników w zakładach pracy – półpiśmiennych chłopów, a często i analfabetów. Kwalifikacje nie miały znaczenia. Ważne, żeby byli wierni nowej władzy. Dlatego taki bubel przeszedł. Dla kontrastu inna polska fabryka się postarała i przygotowała prezent bez błędów i porządnie wykonany – porcelanowy talerz z portretem Stalina i pięknym napisem:

STALIN – TO WOLNOŚĆ I POKÓJ MIĘDZY NARODAMI.

Aż serce rośnie!

Oczywiście są i prezenty praktyczne, jak zestaw kieliszków na tacy z popielniczką, co świadczy o głębokiej wiedzy obdarowujących, oraz przedmioty śmieszne, jak również takie o trudnym do odczytania przekazie. Pierwszy z brzegu – wypchany, badziewiasty gołąbek pokoju uszyty przez Włoszki mieszkające we Francji. Kurzołap, panie się nie postarały. Albo inny, już mniej śmieszny, a może nawet groźny w swojej symbolice – nóż zrobiony z łuski i kuli używanej przez armię Czang Kaj-szeka. Czy miał oznaczać, że Chińczycy nawet gdy pogubią karabiny, to naboje przerobią na noże i dadzą radę się obronić, czy była to zapowiedź przyszłej potęgi gospodarczej, opartej na pracy sprytnych małych chińskich rączek? Pewnie wszystko na raz. Nie będę opisywał pozostałych prezentów, żeby nie psuć przyjemności ze zwiedzania.

Pozostałe sale prezentują historię życia najsłynniejszego Gruzina w taki sposób, że jego kult jest dla zwiedzającego oczywisty. Podkreślają to wyeksponowane książki, których tytuł wszystko wyjaśnia – *Zabójcy Stalina*

*i Berii*, jak również przemawiająca z egzaltacją obsługa oprowadzająca turystów. Przewodniczka przedstawia określoną wizję historii i zwyczajnie się wkurza, gdy ktoś ma inne zdanie. Co bardziej wnikliwi mieszkańcy byłych demoludów pięknie psują przewodnikom krew. I bardzo dobrze. Jak się prowadzi instytucję politycznie niepoprawną, to trzeba liczyć się z tym, że zwiedzający też mogą być niepoprawni. I tyle. Najzabawniej jest, kiedy ktoś zapyta nie o jakiś konkretny fakt, tylko o to, jak się czuje pani przewodnik, gloryfikując wielkie dzieło Stalina – Związek Radziecki, po którym aktywa przejęła Rosja, aby pchnąć historię w kierunku, który nie jest dla Gruzji korzystny, co widać chociażby po obecnej okupacji oraz niedawnym bombardowaniu miasta Gori przez rosyjską armię. No, jak się pani czuje, co o tym Pani myśli? Trudno opowiedzieć, jak wtedy rzednie mina przewodniczki. Jakiś facet mówiący niewyraźnie i z akcentem (Czech, Słowak, Estończyk?) próbował przydusić panią przewodnik oprowadzającą akurat grupę Rosjan, ale ta się wykręciła brakiem czasu. Cała czerwona na twarzy. Mało nie eksplodowała. Jakby wybuchała, to w służbie propagandy, czyli nie na darmo! W polskiej literaturze podróżniczej oraz w przeróżnych internetowych sprawozdaniach można znaleźć opisy rozmów Polaków z obsługą muzeum czy innymi miłośnikami Stalina. Uważam jednak, że są to rozmowy zbyt delikatne i należy walić z grubej rury, argumentami i już, a nie się certolić. Jak wolność słowa, to wolność słowa. Oczywiście z szacunkiem, ale na grube argumenty, ale bez cackania się.

Gdzieś w tych naszych polskich zdziwieniach pojawia się między wierszami postulat, jeśli nie o zamknięcie instytucji, to przynajmniej o rozszerzenie ekspozycji i pokazanie też „ciemnej strony księżycy”. No dobrze, tylko kto wtedy przyjedzie do Gori, kto kupi bilet, jak z „szokującej”, „kontrowersyjnej” instytucji zrobi się zwykłe muzeum poświęcone faktom? Nikt, poza szkolnymi wycieczkami. Dzięki obecnemu wyglądowi muzeum natomiast szerokim strumieniem płynie do miasta rzeka pieniędzy, dwadzieścia dwa złote od łebka za bilet pozwalający na zwiedzanie nie tylko instytucji, ale też wagonu kolejowego, którym jeździł Józiek Słoneczko, cierpiący na lęk przed lataniem. Przecież żaden zarząd o zdrowych zmysłach tego nie zrobi, a co tam po cichu myśli dyrekcja, tego nikt się nie dowie. Taka nawiedzona przewodniczka jest wszystkim jak najbardziej na rękę, bo nakręca koniunkturę, a zszokowanym gościom daje temat do dyskusji – „Wiesz, stary, w Gruzji byłem, tam dalej wielbią

Stalina, jak rany boskie, no, mówię ci, w Muzeum w Gori byłem, to widziałem!”.

To właśnie dzięki muzeum miasto żyje. Knajpy, taksówki, marszrutki, pamiątki. Z drugiej strony dziwi mnie, dlaczego ci, którzy tak się gorszą kultem Stalina, jadą tam i dają zarobić miejscowym. Jakaś schiza. Ja, osobiście, z polskiego budżetu ufundowałbym jeszcze jedną salę albo przynajmniej dodatkowy wagon (miejsca na zewnątrz jest dość) z ekspozycją pod tytułem „Polityka jako sztuka dymania naiwnych”, poświęconą szczegółowym wyjaśnieniom, jak to sojusznicy Stalina, Churchill i Roosevelt, koncertowo nas wydymali i co z tego mieli.

Wizytę w muzeum warto polecić różnej maści poprawniakom, przekonanym, że jak się ludziom zatka gęby, to zaczną inaczej myśleć. Nie zaczną. Zamiast zabraniać drukowania grafomańskiego *Mein Kampf* Adolfa, powinno się je wprowadzić do lektury obowiązkowej, żeby ludzie wiedzieli, jak chore i zbrodnicze idee mogą pociągnąć za sobą teoretycznie racjonalnych ludzi. Powinien też Hitler mieć, jak Stalin, swoje muzeum i to jeszcze bardziej rozbudowane, po których oprowadzaliby ochotnicy w strojach SS. Nie zabrakłoby chętnych. W samym Goerlitz znalazłaby się kadra do obsługi kilku takich przybytków. Spychanie różnej maści faszystów i pojebów do podziemia tylko ich wzmacnia, bo daje im poczucie misji, a odbiera normalnemu społeczeństwu możliwość oceny realnej skali zjawiska. Ja bym dał im możliwość wygłaszania tego, co chcą, a co głupsze wypowiedzi powtarzałbym w nieskończoność w mediach. Niech się ośmieszają. Wtedy będzie ich mniej.

Kiedyś miałem okazję dyskutować publicznie z mentalnym banderowcem (urodzonym w Polsce w latach siedemdziesiątych, w rodzinie przyznającej się do ukraińskiego pochodzenia) i nazwałem go tchórzem. Wyjaśniłem, że gdyby miał jaja, to zamiast relatywizować zbrodnię wołyńską i ją tłumaczyć, powinien tak, jak w gronie swoich kumpli banderowców, mówić wprost, że jest dumny, że tylu Polaków udało się wyróżnić. A tak jest takim samym tchórzem, jak niemieccy i austriaccy „kolejarze”, którzy w swoim gronie z rozrzewnieniem wspominają czasy, gdy byli panami świata. Zbaraniał i nie wiedział, co powiedzieć. Nie zaprzeczył jednak i było pewne, że nikt z przysłuchujących się rozmowie nie uzna już nigdy jego pokrętnych i zakłamanych wywodów. Bo odkrył się z tym, co w głębi ducha myśli.

Gloryfikację Stalina lepiej rozumieją ci, którzy obserwowali, jak wyglądała nostalgia za PRL-em, gdy okazało się, że przemiany ustrojowe nie idą w takim tempie, jak miały iść. Pamięć ludzka jest zawodna i wybiórcza. Również w Gori do dziś żyją (w całej Gruzji też) ludzie, którzy pamiętają czasy świetności Związku Radzieckiego i tamtą stabilność. Dodajmy jeszcze mieszankę dumy wielowiekowego narodu, zepchniętego obecnie na margines i olanego przez świat, z trudną sytuacją gospodarczą – oto gotowa pożywka dla kultu miejscowego chłopaka, który pół świata wziął za mordę! Nic tak nie leczy ran jak czas i wspomnienia. Jak nie ma szmalu i perspektyw, to jest przynajmniej poczucie dumy – zawsze coś. Nie ma złudzeń – gdyby nie Stalin, to nawet pies z kulawą nogą nie wiedziałby, co to Gori. Dzięki Stalinowi zaś ciągną tutaj autokary, taksówki, marszrutki i wypożyczone samochody.

Występuje tu jeszcze jeden, istotny czynnik – religia prawosławna, która ma wielki wpływ na postrzeganie wielkości człowieka. Kilka lat temu trafiłem na ciekawy komentarz u Zygmunta Kałużyńskiego w *Pamiętniku Orchidei*. Otóż zestawia on łacińską i grecką koncepcję dobra i zła. I co wychodzi? Że są skrajnie odmienne. Weźmy chociażby katolickich świętych – nieskazitelnych, szlachetnych, na wskroś jednoznacznych, a jeżeli nawróconych ze złej drogi, to już na amen. W sumie nieco sztucznych, napompowanych. Dla niekatolików wręcz niewiarygodnych. W przeciwieństwie do nich, wśród prawosławnych świętych pojawiają się postaci niejednoznaczne – władcy, którzy lubili sprawy załatwiać poprzez mało chrześcijańskie rąbanie ludzi na kawałki, ale mieli osiągnięcia, które przysłużyły się dobru ogólnemu – organizowali państwo, budowali szpitale i zakładali szkoły. Ludzie z krwi i kości, grzeszni, ale zasłużeni. To jest bardzo ważny czynnik – religia ma moc wytwarzania w ludziach zdolności do uznania rezultatów bez względu na ofiary. W ostateczności bowiem wszyscy jesteśmy grzeszni i zdolni do najgorszego, zatem nie ma potrzeby przed tym uciekać.

Stalin wpisuje się w ten wzorzec idealnie. Osiągnąć nie można mu odmówić. Gdy do tego doda się wieloletnią rusyfikację i sowietyzację, której nieodłącznym elementem była sakralizacja władzy, to aż dziw bierze, że kult Stalina jest jedynie kultem pasywnym, bez wyraźnej chęci ponownego dokopania całemu światu. Są też, oczywiście, jego prawdziwi fanatycy, ale to, jakby nie patrzeć, mało istotna garstka, tak nieliczna jak grono wielbicieli wokalu posłanki Senyszyn.

Na koniec zostaje zwykły egoizm jednostki patrzącej na świat tylko z własnej perspektywy. Była stabilizacja za Sojuza? Była. A teraz jest? Nie bardzo. Zwykła, ludzka logika. Taka, jak wszędzie. Mieszkańcy kolumbijskiego Medellín do dziś wspominają dobroczyńcę Escobara, bo kogo obchodziły amerykańskie ćpuny, jeżeli przy zbieraniu koki dało się zarobić? Przecież sam Pablo dbał o to, aby miejscowe dzieciaki w końcu mogły grać w piłkę na normalnym boisku i chodziły w butach do szkoły... No właśnie. Że po drodze były trupy? No, były. Czy pracujący w fabryce broni mieszkaniac Radomia będzie się zastanawiał, że być może ze złożonego przez niego pistoletu zginie niewinny człowiek? Nie będzie, a jeśli nawet, to wytłumaczy sobie, że nie broń zabija jako taka, tylko człowiek, który pociąga za spust. I tyle.

Tego rodzaju skojarzenia same przychodziły do głowy, gdy patrzyłem, jak przed wagonem generalissimusa zasuszony staruszek dorabia do emerytury sprzedając zapalek oklejonych zdjęciami Stalina. Dyrekcja go toleruje, staruszek nie musi nawet płacić za miejsce przy muzeum. Musi dorobić, to dorabia, nikt nie przegoni człowieka w potrzebie. Mówi, że był młody, gdy Josif Wissarionowicz Dżugaszwili zmarł, ale dobrze go pamięta. Jak go wspomina?

– Stalin był dobry – odpowiada bez zastanowienia.

Dziś Stalin daje mu zarobić. Zapalek ze zdjęciem Saakaszwilego nikt by nie kupił.



## GORI – CIĄG DALSZY

Podziękowałem starszemu panu za rozmowę i poszedłem dalej. Wagon Józia okazał się mało ciekawy, dość ciasny, ale przewodniczka i tak była podjarana jak lamparcica w rui. Każdego jara coś innego – jednego budynek Trybunału Konstytucyjnego, innego zatęchła kolejowa salonka z lat pięćdziesiątych. Pani powiedziałem, że warto przejść się do dyrekcji i zapytać o kilka spraw, bo właśnie oficjalnej wypowiedzi dyrekcji brakuje w sprawozdaniach Polaków z tego miejsca. Postanowiłem to nadrobić, ale szefostwo nie miało dla mnie czasu i nie była to wcale wymówka, bo w tym momencie pojawiła się spora grupa oficjalnie ubranych ludzi – jakaś delegacja, prowadzona przez podekscytowaną panią z kokiem na głowie.

Pozostała droga mailowa. Napisałem do muzeum list. Dokładnie do działu zajmującego się wizerunkiem, bo taki posiadają. W liście zaznaczyłem na wstępie, że ja osobiście nie mam żadnego problemu z zaakceptowaniem widocznego kultu i że daleko mi do politycznej poprawności. O co spytałem? Przede wszystkim o roczną liczbę zwiedzających, o powód astronomicznych cen pamiątek i ich popularności. Później również o kilka spraw trudniejszych, na przykład o to, czy zachwyty przewodników nad Stalinem to kwestia ich prywatnej postawy, czy linia odgórna. Zapytałem również o to, jak radzą sobie oni mentalnie z zachwytem nad Stalinem i stosunkiem do Rosji, dziedziczki Związku Radzieckiego, która to Rosja właśnie ich okupuje, a niedawno bombardowała również Gori. I żeby pozostać w duchu politycznej nieoprawności, zapytałem, jak by zareagowali, gdyby w austriackim Braunau zbudowano podobne muzeum Hitlerowi. Mimo przypomnień odpowiedzi z muzeum nie otrzymałem. Cienkie Bolki bez jaj.

Jak już jest się w Gori, to nie warto wyjeżdżać zaraz po wizycie w Muzeum Stalina. Parę minut dalej jest następne, Muzeum Etnografii i Historii. Kolejne muzeum w starym stylu, do którego mam słabość (do stylu, nie do konkretnego muzeum). Ruch tu niewielki, ale obsługa na medal. Zapytałem o liczbę odwiedzających rocznie, a miła pani, żeby nie przekłamać, poszła do biura z którego wróciła z informacją zapisaną na kartce, że pięć tysięcy coś tam, coś tam. Tak się robi w odruchu naturalnej i fantastycznej życzliwości. Znow plus dla Gruzji. Nie sposób takich prostych gestów nie pamiętać. Może częstowanie czaczą na ulicy jest

bardziej nośne w sprawozdaniu, lecz takie proste, nic nie kosztujące, ale wymowne zachowania cenię najbardziej. Samo zwiedzanie jak to zwiedzanie – archeologia, broń, numizmaty, odzież, dywany i sporo przedmiotów związanych z winiarstwem, co w muzeum etnograficznym winiarskiego kraju jest chyba oczywistością. Bilet kosztował marne cztery i pół złotego.

Kilka minut później dochodzi się do położonej na wzgórzu twierdzy, na którą można się wdrapać, jeśli ktoś lubi punkty widokowe i gapienie się na panoramę okolicy, ale ciekawsze od samej twierdzy są rzeźby u jej podstaw, zatytułowane *Pomnik gruzińskich wojowników bohaterów*. Ośmiu gigantycznych rycerzy siedzi w kole, podobnie jak legendarni rycerze króla Artura. Nie bije od nich jednak triumf, bo każdy z rycerzy jest ranny, jednemu brakuje ręki, drugiemu ręk i nóg, kolejny nie ma twarzy, następny ma wielką ranę w klatce piersiowej, więc wyobraźnia podpowiada, że może to być nawiązanie do ofiar nie tak dawnych bombardowań Gori przez rosyjską armię. To jest siła sztuki – przemawia do wyobraźni bardziej niż dziesiątki zdjęć ludzi z pourywanymi przez bomby kończynami. Nie takie było jednak zamierzenie twórcy (Giorgi Ochiauri), bo rzeźby powstały jeszcze w czasach Związku Radzieckiego, w latach 1981-1985, i ustawione w szpaler, a nie, jak teraz, w okrąg i zdołały jeden z tbiliskich parków. Okaleczeni, ale na posterunku – powie ktoś. Wojna to ofiary – powie inny. Chwała kosztuje – doda kolejny i każdy będzie miał rację. Twórca powinien być dumny, bo dzieło porusza. Niestety i tu dociera proza codzienności w najbardziej debilnej formie – za jednym z rycerzy dwie miejscowe małolaty, widząc, że podchodzę bliżej, wstydliwie schowały za plecy zapalone papierosy. Na ziemi tuż za figurą leżał stos niedopałków...

## CHICHOT HISTORII I RADA GAMALIELA

Do Muzeum Stalina można dojść przez niewielki skwer pełniący funkcję deptaka. Budka z lodami, elektryczne autka dla najmłodszych, komercja – wiadomo. Naprzeciwko wejścia, w cieniu drzewa stali z charakterystycznym stojakiem i religijnymi wydawnictwami Świadkowie Jehowy. Prześladowani w Trzeciej Rzeszy przez Adolfa, prześladowani w Związku Radzieckim przez Stalina. W niemieckich obozach koncentracyjnych oznaczano ich fioletowym trójkątem (różowy trójkąt nosili homoseksualiści, żółty Żydzi), a nadanie im oddzielnej kategorii więźniów pokazuje, jak bardzo zależało Hitlerowi na ich wytępieniu. Nie udało mu się, wręcz przeciwnie – mimo prześladowań, liczba Świadków w czasie wojny wzrosła. W Związku Radzieckim było tak samo – mimo programowej walki z tym wyznaniem, Stalinowi nie udało się z nim wygrać. Do dziś Świadkowie stoją przed jego muzeum w Gori. Historia szydzi sobie z wielkich w sposób okrutny – Wódz, który pokonał armię Adolfa, nie dał rady pacyfistycznie usposobionej, nielicznej grupie religijnej.

W posowieckich czasach, w ojczyźnie Stalina, gościnnej, życzliwej i otwartej na gości Gruzji, miejscowi Świadkowie Jehowy też nie mieli lekko. Jak zwykle w takich przypadkach, nie obyło się bez zaangażowania przedstawicieli kleru, który w Gruzji ma pozycję o niebo wyższą niż katolicki kler w Polsce. W 1999 rzecznik prasowy Gruzińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, Giorgi Andradze, stwierdził, że jest to szkodliwa i niebezpieczna sekta, którą należy zdelegalizować. To jest stara jak świat metoda wszelkiej maści duchowieństwa większości religii – powiedzieć coś, co pozornie jest tylko wyrażeniem opinii i z czego można się wykręcić w razie problemów, a potem już tylko czekać na ciąg dalszy, bo fanatycy wiedzą, jak odczytać przekaz. Tutaj też wiedzieli. Rozpoczęły się prześladowania, „spontaniczne” ataki na zgromadzenia, pobicia, podpalenia, niszczenie samochodów i miejsc kultu, zaczepki na ulicach, bazgranie sprayem gwiazd Dawida (sic!) na drzwiach mieszkań, brudzenie okien odchodami. W mieście Zugdidi fanatyków wsparł zamaskowany oddział antyterrorystyczny, co pokazuje, jak daleko sięgają macki gruzińskiego duchowieństwa. Powiadomienie władz nic nie dało, nawet nie wszczęto śledztwa, co raczej nie dziwi, bo władza musiałaby

wystąpić przeciw sobie samej. Oburzenie na sytuację poruszyło cywilizowaną część gruzińskiego społeczeństwa, tę część, której wyznawanie prawosławia nie przeszkadza w samodzielnym myśleniu. Petycja z ponad stu tysiącami podpisów trafiła do prezydenta Szewardnadze, ale ten ją zignorował. W rezultacie sprawa trafiła do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który w 2014 roku orzekł, że władze państwowe nie tylko tolerowały, ale również wspierały prześladowania. Udowodniono również rolę prawosławnego duchowieństwa w sprawie. Echa tych wydarzeń dotarły i do Polski, ale wzbudziły zainteresowanie głównie prawników i mediów specjalistycznych.

Podszedłem do Świadków stojących przed muzeum i zapytałem, jak jest teraz, w 2018 roku. Powiedzieli, że od lat generalnie mają spokój, chociaż sporadycznie zdarzają się incydenty. Żalu nie czują, przebaczenie prześladowcom mają wpisane w swój program. Jak Szczepan męczennik. Na potwierdzenie odczytali mi cytaty z *Dziejów Apostolskich*, który znam na pamięć, ale nie chciałem miłym ludziom odbierać przyjemności. No i oczywiście – bo to przecież też Gruzini – musieli zapytać, jak mi się podoba w Gruzji. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że bardzo. Ucieszyli się.

Idąc w stronę przystanku marszrutek, przypomniałem sobie scenę opisaną przez Łukasza w *Dziejach Apostolskich*. Gdy Sanhedryn zastanawiał się, co zrobić z chrześcijanami, którzy dla Żydów byli zwykłą sektą, uczonec Gamaliel wystąpił rozsądnie w ich obronie. Cytuję za przekładem Biblii Tysiąclecia:

*Mężowie izraelscy — przemówił do nich — zastanówcie się dobrze, co macie uczynić z tymi ludźmi. Bo niedawno temu wystąpił Teodas, podając się za kogoś niezwykłego. Przyłączyło się do niego około czterystu ludzi, został on zabity, a wszyscy jego zwolennicy zostali rozproszeni i ślad po nich zaginął. Potem podczas spisu ludności wystąpił Judasz Galilejczyk i pociągnął lud za sobą. Zginął sam i wszyscy jego zwolennicy zostali rozproszeni. Więc i teraz wam mówię: Odstąpcie od tych ludzi i puśćcie ich! Jeżeli bowiem od ludzi pochodzi ta myśl czy sprawa, rozpadnie się, a jeżeli rzeczywiście od Boga pochodzi, nie potraficie ich zniszczyć i może się czasem okazać, że walczyacie z Bogiem.*

Pytanie brzmi, czy gruzińscy duchowni czytają Dzieje Apostolskie, a jeżeli czytają, to czy cokolwiek z nich rozumieją.

## GOLIBRODA

Ktoś powinien zrobić porządny film o fryzjerach. Albo napisać książkę, ale nie taką jak *Przygoda fryzjera damskiego* mistrza Mendozy, tylko powieść grubą jak Albert Boczek i z akcją w salonie. Bo *Szalone nożyczki* i parę scen porzrzucanych po różnych filmach to jednak za mało, a ten temat ma potencjał. Rozplotkowana fryzjerka w jednym z odcinków serialu *07 zgłoś się* naprowadza ekipę Borewicza na właściwy trop i jest to jeden z najprawdziwszych w sensie psychologicznym epizodów tej serii. W scenie u fryzjera Eddie Murphy grający kilka postaci na raz, ratuje dość cienki film *Książę w Nowym Jorku*. Miłośnicy czarnego humoru znają miniaturę *Chciałbym się ogolić* z Maklakiewiczem, ale moim numerem jeden jest dialog u fryzjera z filmu *Gran Torino* z Clintem Eastwoodem.

W czasie swoich peregrynacji rowerowych po Polsce wolę iść do fryzjera niż do punktu informacji turystycznej. Fryzjer wie więcej. U fryzjera zawsze usłyszysz komentarz do bieżących wydarzeń, plotkę i opinię na każdy temat. Nieważne, czy logiczną, czy nie. Ważne, że barwną.

Szukając rankiem fryzjera w okolicy, zastanawiałem się, czy tu też tak jest. W pierwszym zakładzie była tylko kobieta, która golenia nie prowadziła. W drugim pracował duet damsko-męski i pan zaprosił mnie na fotel. Pierwsza rzecz, na którą zwróciłem uwagę, to ta, że zarówno nożyczki, jak i brzytwę pan fryzjer trzymał w jakimś zmyślnym urządzeniu z falami lub promieniami dezynfekującymi sprzęt. Brawo! Tradycja nie wyklucza nowoczesności. Piękna to sprawa takie golenie – fryzjer najpierw rozgrzewa skórę gorącym ręcznikiem, później nakłada pędzlem specjalne mydło, a nie erzac w sprayu, potem goli. Następnie płyn z alkoholem lub bez – według życzenia – potem ponownie gorący ręcznik i na koniec krem plus pachnąca woda. W trakcie pracy fryzjer wciąż mówi. Wystarczy zapytać, co słyhać i już. W czasie mojej wizyty w stolicy trwały protesty i golibroda poczuł się w obowiązku wyłożyć mi swoje zdanie na ten temat:

– Z Polski? Byłem w Polsce. Mam rodzinę w Gdańsku. My, Ormianie, to jesteśmy wszędzie, na całym świecie! Za pracą, za pieniądzem. Ja pięć lat w Grecji pracowałem. Po dziesięć godzin na dzień, nie tak jak Grecy, którym się robić nie chce. Gruzini też lenie. Teraz są protesty, bo było morderstwo w jednej ze szkół i okazało się, że zamieszany był syn kogoś ważnego, podobno jakiego prokuratora. I chyba zatuszowali. Ojciec tego

zamordowanego zorganizował protest i ludzie zaczęli się przyłączać. Opozycja też z nimi protestuje i chcą rząd odwołać. Lepiej by się do roboty wzięli. Tu ostatnio same protesty! Niedawno była manifestacja pedałów! Skąd ich tyle przyszło, przecież w całej Gruzji jest ich tylko dwunastu! Kto to widział w prawosławnym kraju, żeby takie rzeczy się działy?! Pewnie Soros im zapłacił, żeby przyszli, bo skąd by ich tylu było? No, skąd? O, taka ta wasza Europa. Przyjdą muzułmanie, to zrobią porządek, ale wtedy to będzie za późno. Ile? piętnaście lari.

Pominę ideologiczną treść monologu golarza – proszę ocenić to po swojemu. Istotny był zapał, z jakim ten pan przemawiał. Polscy fryzjerzy, nawet ci o najbardziej rozwiniętych zdolnościach oratorskich, mogliby się wiele od niego nauczyć. Ciekawe tylko, skąd wziął tę liczbę dwunastu homoseksualistów? Aż boję się myśleć, czy mu się z inną dwunastką nie pomyliło. Tu winien też jestem wyjaśnienie w kwestii tłumaczenia. Golibroda używał określenia „голубой”, co dosłownie znaczy niebieski lub błękitny, ale jest to określenie pogardliwe, takie jak polskie „pedał”, stąd takie przełożenie, a nie inne, bo przetłumaczenie dosłowne na „manifestacja niebieskich” zaciemniłaby przekaz. Niebiescy to u nas policjanci. Lub smakosze denaturatu.

Kilka godzin później przechodziłem znów koło tego zakładu i tknęło mnie, żeby wychodzącego ze środka pana zapytać, czy się golił i ile to kosztuje. Odpowiedział, że dziesięć lari. Czy golibroda mnie orznął? W żadnym wypadku. Po prostu dostosował cenę do możliwości klienta. Skoro klient na wejściu nie zapytał o cenę, to znaczy, że zdał się na fryzjera. Zagrał w ciemno. Mówiąc szczerze, to nawet mnie emocjonalnie podbudował, wyceniając o sześć złotych więcej niż miejscowych. Dla takiego gościa jak ja, który żyje z kompleksem małego penisa, każde połechtanie ego się liczy! To były dobrze wydane dwadzieścia dwa złote.

## PROTESTY

W Tbilisi było gorąco. Dosłownie i w przenośni. W samym centrum wiec przeciwko władzy. Co chwilę ktoś podchodził do mikrofonu i z przejęciem przemawiał. Gdy nie rozumie się języka, wtedy lepiej docierają emocje. Język gruziński robi wrażenie już samym brzmieniem, ale gdy przemawiająca kobieta przechodzi od spokojnej wypowiedzi do pełnego wzburzenia wołania na granicy płaczu, wtedy ciarki śmigają po plecach. Telewizja, chociażby nie wiem jak się starała, nie odda tej atmosfery, tylko złagodzi przekaz. W środku, między protestującymi, czuje się, że wystarczy iskra do prawdziwego wybuchu. Policjantów jest dużo, zachowują się spokojnie, nie prowokują, rozmawiają między sobą, robią miejsce, gdy ktoś chce przejść. Zachowują się, jakby nic się nie działo. Jeden je pestki słonecznika, inny rozmawia przez telefon, pozostali głośno się śmieją, jak po dobrym dowcipie. Dobrze, że nie eskalują napięcia.

Skąd te protesty? W jednej z renomowanych szkół doszło do zabójstwa, a w sprawę zamieszany był syn pracownika resortu sprawiedliwości. Pojawiły się matactwa i ojciec jednego z zabitych zainicjował protest. Prokurator generalny podał się do dymisji, ale opozycja poczuła wiatr w żaglach i, korzystając z okazji, zażądała dymisji całego rządu. Każdy motyw jest dobry, żeby dokopać władzy, chociażby to była tego typu tragedia. A władza nie ma lekko, bo sytuacja w Gruzji nie nastraja optymistycznie – bezrobocie duże, zarobki niskie, krajowa waluta traci cały czas na wartości. Ludzie mają tego powyżej uszu i dają upust frustracji.

Wcześniej skrajnie odmienny powód wyciągnął ludzi na ulice. W jednym z klubów LGBT zrobiono nalot na handlarzy narkotyków, ale w komentarzach powtarza się, że to był tylko pretekst do uderzenia w mniejszości. Pojawiły się głosy, że policja, zamiast zająć się organizatorami handlu, produkcji i przemytu, wyłapuje płotki. Ludzie wyszli na ulicę, nawet ci, którym idee mniejszości są obce. Ponieważ są niezadowoleni i chcą temu dać wyraz. Z drugiej strony połączenie w jedno tych dwóch tematów, praw mniejszości seksualnych i kwestii liberalizacji przepisów antynarkotykowych, nie przysłużyło się sprawie, a sprawiło, że w głowach konserwatywnej większości pozostał zbitek pojęć „sodomici i narkomani”. Jak u Barei: „To pijak. I złodziej. Bo każdy pijak to złodziej”. I może byłoby to śmieszne, gdyby cały spór ograniczał się do wymiany



poglądów. Ale nie jest, bo zdarzają się nie tylko pobicia, ale też zabójstwa homoseksualistów. Oczywiście kler do przestępstw nie zachęca, ale fanatycy wiedzą, jak czytać między wierszami. Z tego trudno się śmiać. I to też jest Gruzja.

Sytuacja w kraju to jedno, a zagranica też ma wpływ na nastroje. Dokładnie w czasie protestów rząd syryjski oficjalnie uznał niepodległość Osetii Południowej i Abchazji. Jaki kraj będzie następny? Jakiś na pewno – Rosja nie odpuści. Kierowca taksówki zapytał mnie, co o tym sędzę. Miałem ochotę odpowiedzieć, że moja opinia jest bez znaczenia, bo w polityce rację ma nie ten, kto ma rację, tylko ten, kto ma siłę, ale odpuściłem i wyraziłem oburzenie. Po kursie zostawiłem porządny napiwek, bo było mi zwyczajnie szkoda tego zasmuconego człowieka. Wieczorem w barze zapytałem, ile kosztuje tu trawa. Nic nie kosztuje. Można, jak się chce, dostać od kogoś za darmo, bo mało kto będzie ryzykował – za handel grozi nawet dożywocie, więc amatorzy marihuany hodują na własne potrzeby i dla bliźnich. Dostałem też propozycję wspólnego wypalenia niewielkiej porcji, ale wyjaśniłem, że pytałem z ciekawości, bo trawy nie palę. I bez niej mam w głowie kocioł.

## CHAŁUPKA PANA BIDUSIA

W wieczór przed wyjazdem złożyliśmy z Marcinem wizytę pani profesor Marii Filinie, z założeniem, że będzie to wizyta pierwsza, wstępna i krótka, przygotowująca do kolejnych, dłuższych i treściwszych, o ile pani profesor zaakceptuje takiego dziwołoga jak Zygmuntowicz. Zatem wino pod pachę i do przodu. Pani Maria mieszka w samym centrum, w ładnej kamienicy, w mieszkaniu adekwatnym do osoby właścicielki. Z miejsca widać, że to lokum profesorskie – w salonie fortepian, na ścianach obrazy, na półkach książki. Próbowałem wciągnąć panią profesor w opowieści o gruzińskich prezydentach, ale odmówiła, wyjaśniając, że to ją denerwuje. A poza tym, nie ma powodów do dumy. Kto to rozumie lepiej niż my, Polanie? Też mamy pod górkę z naszymi prezydentami. Nic nie przebije jednak losów prezydenta Saakaszwilego, który przeszedł drogę od zbawcy narodu do banity. Choroba filipińska Olka i balet na grobach to przy historii Saakaszwilego małe miki pozbawione dramatu...

Próbowałem nagrać coś na dyktafon, ale pani profesor mnie ofukała i po sprawie. W końcu to pierwsze spotkanie, a ja zaraz wyjeżdżam z nagrywaniem! Za to dostaliśmy opowieść z czasów największego kryzysu, który dopadł Gruzję zaraz po rozstaniu się z ZSRR i trzymał długo, w różnych formach. Brakowało prądu i żywności, szalała inflacja. Zdechł eksport do głównego nabywcy, bo po rozpadzie Imperium zerwane zostały gospodarcze więzi. Do tego doszły wewnętrzne konflikty załatwiane walką, pucz i strajki. Zniknęło bezpłatne za Związku Radzieckiego leczenie, leczenie stało się drogie i niedostępne. Sporo od tamtego czasu się zmieniło, ale mogłoby się nie zmienić i świadomość tego faktu nie budzi optymizmu, tym bardziej że ludzie znów wyszli na ulicę. W salonie, w którym siedzieliśmy, syn pani profesor siedział przed ryczącym telewizorem, w którym leciała transmisja z protestów. Dlatego zmieniłem temat na gruzińskie kino i atmosfera zelżała.

Na koniec wizyty zostaliśmy zaproszeni na balkon, żeby zobaczyć coś wyjątkowo porąbanego, chociaż to już moje określenie. Tu zwolennicy i przeciwnicy będą mieć coś do powiedzenia. Przeciwnicy stwierdzą, że mamy tu do czynienia z kiczem, architektoniczną agresją i niszczeniem krajobrazu, zwolennicy zaś odpowiedzą, że taka jest cena gospodarczej wolności. Facet ma kasę, to kupuje najdroższą lokalizację i stawia, co chce,

choćby to był budynek-koczkodan. O czym mowa? Otóż najbogatszy Gruzin, Bidzina Iwaniszwili, na jednym ze wzgórz okalających stare Tbilisi wybudował sobie chałupę wielkości fabryki kisielu i w tejże fabrycznej estetyce. Z balkonu pani profesor rozciąga się najlepszy w mieście widok na rezydencję, która w mojej skromnej ocenie przypomina lądowisko dla UFO, co by nawet pasowało, bo koszt zabawki był kosmiczny. Jednak pojawienie się UFO u Bidziny na chacie jest niepewne, bo wiadomo, że UFO ląduje głównie w USA. Polaków śmieszy już samo nazwisko pana miliardera, bo kojarzy się z „bidą”, co wzmacnia poczucie odrealnienia całej sytuacji. Oto jeden koleś, który dorobił się kasy w upadłym Związku Radzieckim, ma na koncie tyle szmalu, ile wynosi jedna druga rocznego PKB Gruzji. Na plus trzeba jednak przyznać panu Bidzinie (proponuję ksywę „Biduś”), że wrzucił parę worków z żelkami w działalność – jak to mawiano na egzekutywie – społecznie użyteczną. A potem poszedł do polityki. I to jest Gruzja. Najpierw poważne, smutne i wręcz przygnębiające sprawy, a tuż koło nich tematy zabawne, śmieszne i kuriozalne. Wszystko to przenika się wzajemnie, tworząc niepowtarzalny kolaż, który można lubić lub nie, można nawet kochać lub go nienawidzić, ale nie można pozostać wobec niego obojętnym. Nie da się.

## PIERWSZE ZAROBIONE W GRUZJI PIENIĄDZE

Po wizycie u pani profesor ruszyliśmy w miasto na małe pożegnanie, bo następnego planowałem wyjazd. Udaliśmy się do miejsca, gdzie w kilku stylowych barach bawią się ci, którzy cenią sobie muzykę na żywo. I znów nie sposób się nie ekscytować, bo muzycy grali – nomen omen – jak z nut, chociaż bez nut. W jednym z pubów spotkałem też w końcu dwie prawdziwe gruzińskie ślicznotki, których wcześniej jakoś nie mogłem zauważyć, a naczytałem się tyle o „tbiliskich księżniczkach”. Zabijcie mnie, ale tak było. Żadnych zachwyków miejscowymi kobietami. Aż do tego momentu. Dobre i to.

Wcześniej zastanowiło mnie, że we Wrocławiu, Warszawie czy innym Grudziądzu wystarczy usiąść pod parasolką i poczekać chwilę, aby zobaczyć atrakcyjne kobiety. Pomijam małolaty odsłaniające latem to i owo, pomijam kwitnące trzydziestki, ale poza tym w Polsce aż roi się od ognistych, zadbanych i ze smakiem ubranych pięćdziesiątek, chodzących sprężystym krokiem na nogach prosto z siłowni, od których aż bije sex-appealem. A tu takich postaci zdecydowanie mniej, jeśli nie wcale. Mimo że to stolica. Może za krótko byłem w Tbilisi, bo co do oglądania się za kobietami, to zrobiłem, co w mojej mocy. Do dziś boli mnie szyja od kręcenia głową w prawo i w lewo. W każdym razie po kilku innych pubach wylądowaliśmy na rozchodniaczka w czeskim barze z czeskim piwem.

Rano „kompletna korozja”. Kto pamięta z jakiego to filmu? Zgadza się – *Kariera Nikosia Dyzmy* z panem Pazurą Cezarym. Wsiadając do autobusu jadącego w stronę kolejowego dworca, bałem się, że stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa w tbiliskim transporcie publicznym. Emitowałem całym ciałem drgania tak silne, że istniało prawdopodobieństwo przeniesienia ich na cały autobus, co mogło się źle skończyć. Kierowca jednak jakoś sobie poradził i wysiadłem na dworcu bez oskarżenia o spowodowanie katastrofy w ruchu lądowym.

W budce przed dworcem kupiłem jeszcze coś na drogę i do pociągu marsz. Wybrałem pociąg celowo, mimo tego, że przejazd do Kutaisi trwa sporo dłużej niż jazda busem. Czego jednak się nie robi dla zdobycia nowej wiedzy i nowych doświadczeń. Nie spodziewałem się jednak, że cały

przejazd okaże się czymś więcej niż tylko zwykłym przewiezieniem zadka z punktu A do punktu B. Do Kutaisi jechał tylko jeden wagon. Bilet precyzował dokładnie, gdzie mam usiąść. Przedział pierwszy, miejsce czwarte. Ten typ przedziałów w trybie dziennym zabiera sześć lub osiem osób w pozycji siedzącej, a przy dłuższych i nocnych trasach cztery, bo zamienia się w sypialny. Komputer przydziela miejsca po kolei, zatem ludzie siedzieli w ścisku w trzech przedziałach, a pozostałe były zamknięte na klucz. Oprócz autochtonów jechało ze mną towarzystwo mieszane, polsko-angielsko-niemieckie, nie mniej skorodowane niż ja. Czułem, że w takim ścisku się wykończę, więc wyszedłem na korytarz, a upewniwszy się, że pozostałe przedziały są zamknięte na konduktorski klucz i puste jak bęben Rolling Stonesów oraz korzystając z doświadczenia zdobytego w czasach radzieckich, zaproponowałem opiekunowi wagonu dziesięć żelków za udostępnienie pustego przedziału, wcześniej upewniwszy się, że wiek pana w mundurze wskazuje na długą karierę kolejową, rozpoczętą w ZSRR.

Dwie minuty później zamknąłem się w przedziale i jak pan na włościach poszedłem spać. Obudziłem się po niecałej godzinie i wtedy mnie natchnęło. Poszedłem do pana konduktora i zapytałem, jak widzi następujący interes – ja pogadam ze skacowanymi turystami i opchnę dwa przedziały po dwadzieścia lari za łóżko. W sumie osiem razy dwadzieścia, dające eleganckie sto sześćdziesiąt lari do podziału pół na pół. Pięć minut później ośmiu skacowanych turystów leżało wygodnie w dwóch przedziałach, a ja wzbogaciłem się o osiemdziesiąt lari, czyli o sto dwadzieścia złotych. Pan konduktor chciał honorowo oddać mi te dziesięć żelków, które zainwestowałem na początku, ale ja honorowo odmówiłem. Honorowy Gruzin, nie chcąc być dziadem, przyniósł mi herbatę i owoc granatu, po czym wrócił do pracy w poczuciu właściwego załatwienia sprawy. W Kutaisi pożegnaliśmy się jak starzy znajomi, a goście, na których zarobiłem pierwsze w Gruzji pieniądze, nie wiedzieli, jak mi dziękować, bo w luksusie pospali pięć godzin i byli gotowi znów poznawać ten jakże sympatyczny kraj.

## PO TANIOŚCI

Jak eksperymentować, to nie tylko z różnymi środkami transportu. Myśląc o tej grupie polskich turystów, dla których ważny jest każdy grosz, postanowiłem przynajmniej jedną noc przenocować w obiekcie, który przez booking.com proponuje mi najniższą cenę w pokoju indywidualnym. Jak mówią chłopaki z Chmielnej w Warszawie, korzystający z usług Jadźki Flecistki, która obsługiwała w bramie jeszcze w czasach Gierka, spróbowałem „pójść po taniości”.

Nocleg w cenie dwudziestu dwóch złotych znalazłem w obiekcie o dumnej nazwie White House przy ulicy Królowej Tamary numer 18. Pokój nosił kuszące wędrowca miano „Deluxe”. No, grzech było nie skorzystać, tylko głupi by nie chciał mieć „Deluxe” za dwadzieścia dwa złote. No to wziąłem. W opisie rezerwacji aż roilo się od cudów wianków, które po krótko opiszę. Obietnice z rezerwacji podkreśliłem tłustym drukiem.

**Zestaw do parzenia kawy i herbaty.** Uznaję, że był, bo w kuchni, z której korzystali i goście, i właściciele, stał czajnik. Oraz inne przybory kuchenne. Jak to w kuchni.

**Minibar.** W kuchni była lodówka, więc może to był ten minibar. Innego nie stwierdziłem, drogi Watsonie. W lodówce inni goście trzymali swoje napoje, więc można było coś zajmować w ramach usługi.



**White House**  
 Adres: Tamar The Queen Street 18, 4600 Kutaisi, Gruzja  
 Telefon: +995 593 17 17 36  
 Współrzędne GPS: N 042° 15.971, E 42° 42.458

ZAMELLOWANIE  
**4**  
**CZERWIEC**  
 poniedziałek  
 07:00-00:00

WYMELLOWANIE  
**5**  
**CZERWIEC**  
 wtorek  
 00:00-07:00

POKÓJ NOCE  
**1 / 1**

---

**CENA**  
 1 pokój 19 zł  
 18% VAT 3 zł  
**Cena** około **22 zł**  
 (za 1 Gościa) **GEL 15**

**Podana całkowita cena to kwota, którą należy zapłacić obiektowi.**  
 Booking.com nie pobiera opłat rezerwacyjnych, administracyjnych ani żadnych innych.  
 Twój bank może pobrać opłatę za transakcję w obcej walucie.

**Informacje dotyczące płatności**  
 Obiekt White House przyjmuje wszystkie płatności.  
 Ten obiekt akceptuje następujące formy płatności: karty kredytowe nie są akceptowane; tylko gotówka

**Informacje dotyczące waluty i kursu wymiany**  
 Zapłacisz obiektowi White House w lokalnej walucie (GEL) zgodnie z kursem wymiany walut obowiązującym w dniu dokonywania płatności.  
 Kwota wyświetlona w walucie PLN to tylko kwota szacunkowa oparta na **dzisiejszym** kursie wymiany GEL.

**Dodatkowe informacje**  
 Uwaga: inne udogodnienia (np. dodatkowe łóżko) nie są wliczone w podaną cenę.  
 Jeśli odwołasz rezerwację, obiekt nadal może obciążyć Cię naliczonymi podatkami.  
 Jeśli nie pojawisz się w obiekcie i nie odwołasz rezerwacji z wyprzedzeniem, obiekt ma prawo obciążyć Cię całkowitą kwotą rezerwacji.  
 Pamiętaj, by zająć do sekcji **drobnym drukiem**, gdyż może ona zawierać istotne dodatkowe informacje.

**Chcesz się dowiedzieć więcej o płatności?**  
 Sprawdź [często zadawane pytania](#) i dowiedz się, jak i kiedy zapłacić.



**Pokój typu Deluxe (1 osoba dorosła + 2 dzieci)**

**Imię i nazwisko Gościa:** Artur Zygmuntowicz / na maksymalnie 1 osobę  
**Wyżywienie:** W cenę pokoju nie jest wliczony żaden posiłek.

zestaw do parzenia kawy i herbaty • minibar • prysznic • klimatyzacja • suszarka do włosów • budzenie na życzenie / budzik • żelazko • aneks kuchenny • balkon • szlafrok • lodówka • biurko • sprzęt do prasowania • część wypoczynkowa • bezpłatny zestaw kosmetyków • wentylator • toaleta • pralka • patio • łazienka • ogrzewanie • kapcie • wanna lub prysznic • wykładzina podłogowa • pokoje łączone • sofa • dźwiękoszczelność • drewniana podłoga / parkiet • budzenie na życzenie • czajnik elektryczny • przybory kuchenne • moskitiera • ręczniki / pościel (dostępne za dodatkową opłatą) • szafa / garderoba • środki czystości • dodatkowa łazienka • widok na miasto • taras • ręczniki • pościel • meble ogrodowe • stół na świeżym powietrzu • dojście na wyższe piętra tylko schodami • papier toaletowy • bezprzewodowa kabina prysznicowa • gniazdko koło łóżka • puchowa poduszka • poduszka syntetyczna

**Rodzaj łóżka/łóżek:** 1 łóżko pojedyncze 0

**Przedpłata:** Przedpłata nie jest wymagana.  
**Koszt anulowania rezerwacji:**  
 do 1 czerwca 2018 23:59 [+04]: GEL 0  
 od 2 czerwca 2018 00:00 [+04]: GEL 15 -  
 Zmiana dat Twojego pobytu nie jest możliwa.

#### Twoje korzyści



#### Zasady działalności obiektu

##### Parking dla Gości

- Bezpłatny Parking publiczny jest dostępny przy sąsiednich ulicach (nie jest konieczna rezerwacja).

##### Internet

- Wi-Fi jest dostępne w pokojach i jest bezpłatne.

Rezerwacja z Booking.com

**Prysznic i dodatkowa łazienka. Bezprogowa kabina prysznicowa. Bezpłatny zestaw kosmetyków. Suszarka. Szlafrok. Łazienka była. Nawet dwie. Pierwsza większa, z której korzystała też rodzina i inni goście. W łazience ktoś palił i wrzucał niedopałki do muszli. Wanna była, narożna, na obrębie której stały i leżały mniej lub bardziej świeże łazienkowe**

historie, takie jak podrzewiałe opakowania z pianką do golenia i inne atrakcje. Prysznic nie miał dodatkowego umocowania w ścianie, zawinięty był wokół kranu, co przekładało się na rozrywkę wyciągania słuchawki z płataniny siatko-gąbek do mycia się pod prysznicem, wciśniętych między baterię a ścianę. Siatko-gąbki miały za sobą długoletnią karierę w służbie higieny i stosowny do przebiegu wygląd. Obok stała pralka pełniąca rolę półki, na której stały pozostałe sprzęty toaletowe – stare kubki z maszynkami do golenia, butelki po szamponach, płynach, dwie zasuszone mydelniczki z mydłami, co pewnie miało być „bezpłatnym zestawem kosmetyków”. Można było brać i używać! Między tymi atrakcjami leżały jakieś stare ścierki i pewnie gdzieś pod nimi kryła się obiecwana w opisie suszarka, ale nie miałem odwagi sprawdzać. Na podłodze leżała zatechła sterta ubrań do prania, która gromadziła się zapewne od dłuższego czasu, bo swoim zapachem podzieliła się z całą łazienką, co w połączeniu ze smrodem papierochów dawało całkiem oryginalny bukiet. Jak Zygmuntowicz pisze, że bukiet był oryginalny, to trzeba uznać, że „waliło jak z murzyńskiej chaty”. Należy domniemywać, że obiecwany szlafrok leżał gdzieś w tej stercie ubrań.

Druga łazienka biła na głowę pierwszą. W pomieszczeniu był prysznic z kratką ściekową na podłodze, bez kabiny czy kotary, co przy obrobienie dobrej woli można uznać za „bezprogową kabinę prysznicową”. Na suficie wisiała prowizorycznie zawieszona żarówka, z przewodem elektrycznym na wierzchu i przy braku ostrożności podczas kąpieli można było liczyć na dodatkowe atrakcje w postaci porażenia prądem.

**Klimatyzacja.** W moim pokoju nie było.

**Widok na miasto, taras, patio.** Pokój, który dostałem, miał zamknięte na amen okno prowadzące na klatkę schodową, a drzwi wychodziły na korytarz. Z powietrzem zewnętrznym kontakt był znikomy. Taras stwierdziłem. Trzeba było przejść przez kuchnię, aby się na nim znaleźć. Taras okazał się typową graciarnią i wychodził na podwórko jeszcze bardziej zagracone niż on sam. Bez kawałka miejsca do siedzenia. Ilość gratów była tak wielka, że ułożono je pod ścianą w wielki stos, który mógł w każdej chwili stracić stabilność i spaść na łeb. Fajne miejsce dla masochistów – najpierw porażenie prądem pod prysznicem, potem graty spadające na głowę. Na koniec wpierdol od gościa z sąsiedniego pokoju, który zorientował się, że zajmujesz mu napój z lodówki. Przepraszam, z minibaru.



**Meble ogrodowe.** Meble ogrodowe?

**Kapcie.** Pewnie te właściciele, leżące tuż za progiem...

**Biurko. Łóżko duże. Pościel. Sofa.** To akurat było. Łóżko wygodne, pościel świeża i czysta.

**Stół na świeżym powietrzu.** W całej Polsce jest tylko dwóch ludzi, którzy byliby w stanie namierzyć ten stół w stercie gratów. Mam na myśli detektywa Rutkowskiego i najsłynniejszego krajowego jasnowidza o nazwisku Jackowski.

Poza tym wszystko grało. Plusem obiektu White House i pokoju Deluxe jest lokalizacja blisko małego spożywczaka, w którym można nabyć napoje pomagające znieść trudy eksperymentu z noclegiem „po taniości”. Czytelników, którzy chcą docenić moje poświęcenie dla sprawy, proszę o wysyłanie propozycji na adres Wydawnictwa. W końcu zrobiłem to dla Was!

## BAZAR I WIELKA CZERWONA RZEŻBA

Trudno jej nie zauważyć. Dla mnie to jeden z symboli miasta Kutaisi. Przy wejściu na bazar (ten położony w centrum), na jednej ze ścian znajduje się wielka, jak polski dług publiczny, płaskorzeźba, wykuta w czerwonym kamieniu. Tytuł *Kolchida*, autor Bernard Niebieridze, powierzchnia dzieła to dwieście siedemnaście metrów kwadratowych. Miejscowi, przyzwyczajeni do niej, przechodzą obojętnie. Turyści zatrzymują się chociaż na chwilę, bo jej obecność w takim miejscu zaskakuje z powodu braku kontekstu. Dookoła bazar, ludzie robią swoje, a płaskorzeźba-gigant kłuje w oczy. Na pierwszy rzut oka widać, że opowiedziane są na niej jakieś historie, ale od postaci jest gęsto, więc nie wiadomo, o co chodzi. Nie ma żadnej tablicy z informacją, żadnego opisu, co tym bardziej wzbudza ciekawość. Erich von Däniken miałby tu używanie!

Przy pierwszym spotkaniu z tym dziełem pogapiłem się jedynie i zrobiłem kilka zdjęć, ale zapadło mi mocno w pamięć. Później, gdy pokazywałem znajomym zdjęcia z wyjazdu, wszyscy dopytywali, co to dokładnie jest, bo miejsce robi wrażenie. Dlatego za drugim razem, gdy już wiedziałem, że pojawię się ponownie, odpowiednio się przygotowałem. Wydrukowałem sobie artykuł *Bazar mitów i symboli* (autor Wojciech Mania) z blogu [www.nie-miejsca.blogspot.com](http://www.nie-miejsca.blogspot.com) i schowałem do plecaka. Gdy już byłem na miejscu, to wiadomo. Wyjąłem notatki i gapiłem się na ścianę na przemian z czytaniem. Zaczepiła mnie polska rodzina zwiedzająca miasto i też skorzystali. Oto obszernie fragmenty tekstu pana Wojciecha:

*(...) Co przedstawia „Kolchida” Nebieridzego? Najkrócej mówiąc, historię Imeretii lub obszaru historycznego Królestwa Kolchidy. Kompozycja została podzielona na cztery główne części: okres starożytny, „złoty wiek” Gruzji w średniowieczu, a w końcu współczesność oraz przyszłość. Tej narracji towarzyszy szereg wątków pobocznych i symboli. Linia czasu biegnie od prawej do lewej. Rozpoczyna ją symbol solarny na kolumnie przy arkadach, pod którymi toczy się handel. Spójrzmy jednak w górę. Dostrzeżemy bohaterów greckiego mitu o złotym runie: króla Kolchidy Ajetesa*

(syna Heliosa), Jazona i cel jego wyprawy, czyli złote runo (...). W końcu pojawia się córka Ajetesa, czarodziejka Medea, kapłanka Hekate, która próbowała zbiec na statku Argo ze swą miłością Jazonem przed własnym ojcem. Na rękach zapewne trzyma swego brata Apsyrtośa. Wedle jednej z wersji mitu, zamordowała go, by powstrzymać pościg. Król pozostał bowiem na morzu, by odnaleźć i pochować poćwiartowane ciało syna. Kolumna za Medeą zamyka starożytny, mityczny rozdział historii Kolchidy. Pojawia się król Dawid IV, zwany Budowniczym, przedstawiony delikatniej, jakby nieco w tle względem innych bohaterów rzeźby. (...) Wedle tradycji jest przedstawiany właśnie z kościołem z Gelati na lewej dłoni i kodeksem w prawej. Podobnie jest na płaskorzeźbie Nebieridzego, jednak brak tu pewnego elementu. Chodzi o aureolę, Dawid został bowiem uznany za świętego przez Gruziński Kościół Prawosławny, lecz w Związku Radzieckim nie było miejsca dla świętych. Za postacią króla znajdują się jakby rozwarte wrota. To ikona-tryptyk z VIII wieku, pierwotnie znajdująca się w monasterze Chachuli (dziś Bağbaşı w Turcji), by później trafić do Gelati. Główną częścią było przedstawienie Maryi Dziewicy, w tradycji wschodniej nazywane Theotokosem, lecz tego religijnego wątku znów nie zobaczymy. Pozostaje ukryty za plecami Dawida Budowniczego i kolumnami. Ikona została skradziona z Gelati w 1859 roku. Wróciła do Gruzji zdekompletowana w 1923 roku. Można ją podziwiać w Gruzińskim Muzeum Narodowym w Tbilisi.

Na reliefie nie mogło zabraknąć motywu winorośli. Sergiej Paradzanow, reżyser, artysta i wizjoner, porównał Gruzinów do kiści winogron: choć grona są blisko siebie, to każde jest odrębne. Upatrywał w tym źródło gruzińskiej wolności i kreatywności.

Dalej widzimy alegorie wolności, tradycje gruzińskie, rodzinę. Nad figurą starca, noszącego tradycyjny strój, czochę i kaptur, widać portal ze zdobną kratą. Na szczycie są dwie tarcze, na których można dostrzec dłonie trzymające rogi do wina. To pod nimi znajduje się podpis autora.

U samego dołu kompozycji autor przedstawił złomowisko broni. Jej rodzaj zmienia się zależnie od okresu historycznego przedstawionego nad nią. Dostrzeżemy tam zatem z jednej strony dawne zbroje, a z drugiej współczesne bomby i karabiny maszynowe, w tym słynnego

*„kałasznikowa”. To dosłowne i raczej dość naiwne wezwanie rzeźbiarza do rozbrojenia i pokoju.*

*W końcu docieramy do lewej części ściany, gdzie widzimy zgromadzonych wokół supry Gruzinów – samych mężczyzn o ciężkich dłoniach. Jedna z postaci zaciska pięść, jakby zamierzała zadać cios. Natomiast człowiek w środku to malarz Otar Kandaria. Autor dał bohaterom rzeźby twarze innych artystów i osób sobie współczesnych. Zabieg ten był stosowany w sztuce od wieków.*

*Grupa spogląda groźnie spode łbów na skrzydlatego demona, wyciągającego ramię nad pustą częścią stołu w kierunku biesiady. Diabeł zamiast dłoni ma skorpiona, a lewa noga kończy się kopytem. Jest ubrany w marynarkę, koszulę i krawat. Tak naprawdę, być może jest to skorumpowany polityk lub urzędnik, sięgający po łapówkę lub chcący coś zwyczajnie ukraść. W środku znów pojawiają się mitologiczne postacie, jednak nie uczestniczą w scenie, patrzą na wprost. Ta część rzeźby przedstawia teraźniejszość, ale także niepewną przyszłość Gruzji.*

*Ponad sceną znajduje się kilkadziesiąt twarzy. To architekci, artyści i inne osoby związane z Kutaisi oraz Imeretią w okresie powstania dzieła.*

Specjalnie zacytowałem tak obszerny fragment. Czapka z głowy przed autorem, który podał to w taki sposób, że się czyta ten opis jak powieść. Nie lubię przewodników, ale gdyby były tak pisane, to bym polubił. A co ważniejsze, dzięki takim tekstom zwykle zwiedzanie zamienia się w przygodę i sprawia, że miasto nie budzące u wielu osób entuzjazmu, zamienia się w perełkę godną uwagi.

## TRZY HISTORIE BAZAROWE

Historia pierwsza. Parę metrów od rzeźby z czerwonego kamienia jakaś para handluje butami. Buty jak buty. Ktoś ogląda, ktoś targuje się, ktoś kupuje. Zainteresowanie jako takie. Nic szczególnego się nie działo. Aż do momentu, kiedy przechodząca kobieta torbą z zakupami zaczepiła stojak, który wywrócił się i buty poleciały na ziemię. Wtedy się zaczęło. Właścicielka stoiska nie dała czasu tej pani na przeproszenie, tylko z miejsca nawrzeszczała. Ofukana stwierdziła chyba, że skoro już zebrała opierdziel, to nie musi pomóc w sprzątaniu. Widać było wahanie, ale odeszła. Tego pani sprzedawczyni nie mogła przepuścić i posłała w jej stronę kolejną wiązanekę, ale już tak głośno, że ludzie zaczęli się zatrzymywać. Ofukana potraktowała to jak wyzwanie, wróciła, żeby się odszczekać i zrobiła to w pięknym stylu, głosem podniesionym, wibrującym i do tego z całą masą gestów, które udawało się jej wykonywać mimo trzymania w rękach toreb z zakupami. Wtedy do kłótni włączył się pan – sprzedawca lub współwłaściciel stoiska, razem ze swoją partnerką posyłając kilkanaście zdań na zmianę. Kobieta z torbami śmiała się z nich głośno, po czym odstawiła torby, podeszła bliżej i coś tam wykrzyczała im w twarz, a była przy tym dumna jak Nikodem Dyzma, gdy w cyrku obrugał sędziego, który źle rozstrzygnął pojedynek zapaśników. Ale to był ogień! Parka handlarzy zawiesiła się na moment, aby po chwili, już w wielkich nerwach, wrócić do kłótni i na moment odzyskać przewagę. Jednak źle trafili, bo ofukana nie dała się zapędzić w kozi róg. Po chwili wszyscy krzyczeli jednocześnie. Język gruziński jest charczący i gardłowy, co wzmaga widowiskowość takiej sytuacji, więc zabawę miałem przednią. Kłótnia trwała jakieś piętnaście minut, a skończyła się, bo pani z torbami widocznie się śpieszyła do domu. Ze trzy razy odchodziła, machając ręką, po czym wracała sprowokowana, aż w końcu odpuściła. Emocje jednak nie ustały ani na chwilę. W ten sposób zaliczyłem pełne ekspresji przedstawienie wraz z lekcją różnic kulturowych. U nas tak nerwowa pyskówka skończyłaby się, jeżeli nie bijatyką, to co najmniej przepychanką. Tu pokrzyczeli na siebie i tyle.

Historia druga. Padł mi telefon. Pomyślałem, że wyładowała się bateria, więc wszedłem w pierwsze lepsze drzwi pod kolumnami przy bazarze

i poprosiłem o naładowanie telefonu. To był zakład fotograficzny. Pani podłączyła mi sprzęt, a jak tymczasem skoczyłem do miejscowych muzeów. Po niecałych trzech godzinach byłem z powrotem. Chcąc pokazać, że Polacy nie dziady, poszedłem do kwiaciarni i po odbiór telefonu udałem się z symbolicznym kwiatkiem. Pani była zaskoczona i wdzięczna, dostałem wodę i propozycję wypicia kawy. Wodę przyjąłem z wdzięcznością, za kawę podziękowałem. Pijąc wodę, miałem okazję przyjrzeć się wnętrzu zakładu. Zakład, jako poinformowała mnie pani, powstał w latach sześćdziesiątych. Na zapleczu pozwolono mi obejrzeć stare płótna, które stanowiły tła do zdjęć, a które dziś zastępowane są cyfrowo. Zestaw imponujący, a jednocześnie kiczowaty. Podobnie jak współczesne rozwiązania, z których będziemy drzeć łacha za kilka lat. Te starocie miały jednak swój klimat. Oprócz płócien na zapleczu stały figury Wilka i Zająca, Chaplina i jeszcze jakichś nieznanych mi postaci. Dziś już nikt z nimi nie robi zdjęć, ale stoją, bo nie ma chętnego, żeby je wyrzucić. Za dużo wspomnień. W pierwszym pomieszczeniu było również sporo portretów bardzo poważnych, męskich twarzy. Zacząłem pytać po kolei, czyje to zdjęcia i okazało się, że to sami aktorzy, reżyserzy, artyści i sportowcy. Poczuję, że oto mam ciekawą historię – stary zakład fotograficzny, świadek mijającego czasu i odchodzących gwiazd oraz miejsce opowieści niezwykłych ludzi. Temat jak marzenie. Nagle na jednej z szafek dostrzegłem niewielką ramkę ze zdjęciem Alicji Bachledy-Curuś i to obudziło mój sceptycyzm.

– A to kto? – zapytałem, udając niewiedzę.

– Ładna dziewczyna. Nie wiem, kto. To chyba z gazety...

– A ci pozostali na portretach, to u was się fotografowali?

– Nie... Ale tak lepiej wszystko wygląda...

Bańka pękła, powietrze zeszło, klops. Podziękowałem za naładowanie telefonu, który i tak godzinę później zdechł na amen, i poszedłem dalej.

Historia trzecia. Bazar wylewa się na chodniki i ulicę. Oprócz regularnych stoisk, kto ma tylko coś do sprzedania, to rozstawia taboret albo stolik turystyczny i handluje. Inni sprzedają towar rozłożony na gazetach lub nawet wprost na betonie. Między kupującymi a sprzedającymi spaceruje starsza pani z tacą, z której sprzedaje domowe wypieki. Taniej niż w budce, ludzie kupują. Korwin-Mikke byłby zachwycony. Według jego recepty biznes zaczyna się od jednego hot-doga, potem sprzedaje się

kolejnego, po jakimś czasie ma się już wózek, a potem sieć budek. Tylko tu jakoś to się nie sprawdza... Niewątpliwa wolność gospodarcza zdaje się być tu receptą nie na dorobienie się w amerykańskim stylu, tylko na zwykłe przetrwanie. Tak to niestety wygląda. Starsza pani, jak filmowa Magdana, sprzedaje mleko i śmietanę, ale towar schodzi powoli, bo takich jak ona jest tu dużo więcej. Nadmiar podaży. Do tego dochodzą stoiska z nabiałem i sklepy. Konkurencja duża. Kupuję butelkę mleka i oddaję je umorusanemu dzieciakowi, który bierze butelkę w rękę, po czym zawstydzony ucieka, coś wołając. Panią pytam o zgodę na zrobienie zdjęcia. Pozwala. Inna, młodsza, siedząca obok, narzeka na biedę i pyta, jak nam się w Polsce żyje... Dwa metry dalej pewien pan sprzedaje zapaliki i jakieś drobiazgi rozłożone na gazetce, a oprócz tego oferuje oryginalną usługę – ważenie. Za trzydzieści groszy można się zważyć. Zainteresowanie wagą małe. Sprawdzam swoją wagę (raczej nadwagę) i odchodzę dalej.

Siadam z lemoniadą i przyglądam się dyskretnie jednemu panu, który nawet niczym nie handluje, ma tylko wagę. Z zegarkiem w rękę sprawdzam. Przez godzinę pojawia się jeden klient. Dzień pracy wystarczy na zakup chleba. Emocje sięgają zenitu, bo pierwsza myśl, jaka przychodzi do głowy, to wielki, niewypowiedziany szacunek dla tych ludzi, którzy robią, co się da, aby utrzymać się na powierzchni. Chciałbym, aby ten pan z wagą siedział tu nie dla pieniędzy, a jedynie dla towarzystwa i klimatu bazaru, ale moja optymistyczna wizja do mnie samego nie przemawia. Druga myśl, a raczej druga reakcja, jaka się pojawia, to przygnębienie. Wielki pudowy kamień...

To jeszcze nie koniec. Tuż obok mnie pojawia się parka rodaków. Ona milczy, a on wyciąga aparat i mówi:

– Widzisz tego gościa z wagą? Zajebisty biznes. Zdjęcie mu zrobię...

Nie zdąży nawet wyciągnąć aparatu, bo podchodzę i wyjaśniam, że trochę szacunku by się przydało. Chcesz zrobić zdjęcie – ładuję do głowy młodziakowi – to najpierw podejdź, waż się, zapłać więcej niż te pierdolone trzydzieści groszy, pogadaj i dopiero wtedy zapytaj, czy możesz zrobić zdjęcie. Z pewnością dostaniesz zgodę.

Gdy tak oświecam młodego rodaka, jego towarzyszka podróży zaczyna płakać i skarżyć się, że chce do domu. Natychmiast. A potem wieszka mi się na szyi i dalej zanosi łzami. Chłopak, ofukany wcześniej przeze mnie, stoi zbaraniały i minę ma nietęgą. Co było robić? Idziemy do knajpy! Na frasunek dobry trunek.

Poznaję całą ich historię. Dopiero co przylecieli. Młodzi ludzie z Warszawy, z zamożnych domów, oboje studiują prawo. Pierwszy raz w życiu na Wschodzie. Z lotniska jechali stopem, starym gratem (bo się naczytali o przygodach) z upiornie wyglądającym kierowcą z masą ubytków w uzębieniu. Pan zaprosił ich do średnio zadbanego domu, który ocenili jako biedny i smutny. Oni nie znają rosyjskiego, on angielskiego, więc nie rozumieli intencji, a nawet trochę się bali. Później poszli do Bagrati, gdzie dziewczyna próbowała skorzystać z bezpłatnej toalety przy parkingu. Nie dała rady. Odrzuciło ją i musieli wrócić na kwaterę. Potem trafili na bazar, naczytali się w Internecie, że to punkt obowiązkowy, bo to taka kwintesencja Wschodu. Przed wejściem zaczepiła ich matka z córką powykręcaną przez chorobę. Dziewczyna miała porażenie i nie do końca wykształcone kończyny. Dali jakieś pieniądze na to biedactwo, ale to nie uspokoiło ich sumienia. Wszystko w ciągu trzech pierwszych godzin pobytu w Gruzji. Trudno o gorszy początek. Potem na nich nawrzeszczałem. I dziewczę pękło, bo to nie dla niej. Nie na to liczyła. Miało być wino i śpiew, a tu bieda, syf w kiblu, kalecy i stres. Na szczęście restauracja pomogła. Zadbany lokal, miła obsługa, alkohol i dobre jedzenie. Czyli to, co znają i do czego są przyzwyczajeni. Zostaną w Gruzji. Rachunek z knajpy cały wzięli na siebie. Nie było dyskusji.



## MOTSAMETA, PRÓBY BYCIA INDIANA JONESEM I DÉJÀ VU

Klasztor Motsameta leży na tyle blisko Kutaisi, że można dojść pieszo. Nie jest to łatwe, bo nie zdążyłem przejść nawet pół kilometra, a jakiś pan już zapytał, gdzie idę. Odpowiedziałem, a ten zaoferował, że zaraz złapiemy marszrutkę, która mnie zostawi przy zakręcie, od którego zostanie dziesięć minut pieszo. Minutę później siedziałem w najbardziej napchany busie, w jakim przyszło mi w życiu jechać. Miły pan z ulicy musiał dopychać drzwi z całej siły, żeby mnie zmieścić. Nie ma głupich norm, jest pasażer, to znajdzie się miejsce. Ktoś mi odpowie, że to niebezpieczne i tak dalej. Owszem. Niebezpieczne. Ale jest wybór. Jak chcę, to wsiadam, nie chcę, to czekam na następnego busa. Moja sprawa, a nie urzędu i przepisów. Ile ludzi umiera rocznie na nowotwory spowodowane paleniem? W Polsce około sześćdziesięciu siedmiu tysięcy rocznie. Ile ginie w wypadkach samochodowych? Około trzech tysięcy rocznie. Ponad dwadzieścia razy mniej. Jaki procent tych wypadków był spowodowany nadliczbową ilością pasażerów w autobusach i samochodach? Znikomy, nawet nie ma tego w oficjalnej w statystyce! Palenia jednak nikt nie zabrania, a jeżdżenia w sześcioro w pięcioosobowym aucie owszem. Gdzie tu logika? W pieniądzach z akcyzy i Vatu od papierosów. Od 1989 roku, kiedy odzyskaliśmy Wolność przez wielkie „W”, stopniowo odbiera się nam wolność osobistą, tę pisaną małą literą. Władzy się nie dziwię, władza ze swojej natury zajmuje się zaciskaniem kagańca, ale dziwię się ludziom, którzy się nie buntują. Nie dziwię się natomiast tym, którzy zostawiają w rezultacie kraj, w którym się duszą.

Przepraszam za te antysystemowe wstawki, ale to mi się narzuca samo. Nic nie poradzę. Wróćmy jednak do Motsamety. Od wspomnianego zakrętu, przy którym mnie wysadzono, rzeczywiście zostaje parę minut do klasztoru. Po drodze mija się miejsce z pięknym widokiem na Gelati, nie sposób się zatem nie zatrzymać. Turyści piesi jak jeden mąż robią zdjęcia w tym miejscu, a szczęściarze z lornetkami dumnie wypinają globtroterskie torsy. Sam bym wypiął tors, jakbym miał lornetkę, a nie taki brzuch. Ilość piechurów zaskakująco duża, i to reprezentowanych przez różne państwa – Szwajcarzy, Niemcy, Węgrzy, Holendrzy. No i nasi, to oczywiste. Kilka lat

temu nie do pomyślenia, trafiali tu głównie Polacy i trochę Czechów. Motsameta z racji rangi i wieku jest mniej popularna, ale równie godna uwagi. Co prawda, po którymś tam z kolei zabytku wtopionym w górską panoramę obraz zamazuje się w pamięci, ale wystarczy nieco zejść ze ścieżki, aby było co wspominać. Klasztor Motsameta położony jest między wzgórzami, w zalesionym wąwozie, którego dnem płynie rzeka. Przed wejściem do klasztoru, po prawej stronie, biegnie słabo widoczna i z rzadka uczęszczana ścieżka, którą da się wypatrzeć, szczególnie gdy się wie, że ona tam jest. Tą ścieżką można dojść na sam dół do wartkiej, z lekka turkusowej rzeki. Klasztoru dołem nie da się okrążyć, ale można przejść wiszącym mostkiem na drugą stronę. Mostek zbudowany jest na bazie czterech stalowych lin. Górne służą za poręcze, do dolnych przyspawano metalowe listwy, na których pierwotnie zamocowano deski, ale zostało ich niewiele. Postanowiłem zostać Indianą Jonesem i ruszyłem. Stopy stawiałem ostrożnie, po wcześniejszym sprawdzeniu, czy kolejna listwa jest stabilna. Jakoś szło, chociaż całość elegancko się bujała, ze względu na wiatr i moją wagę. Mniej więcej po połowie mostka puścił prawy spaw i listwa oderwała się z jednej strony, a ja omal nie roztrzaskałem się na kamieniach. Na szczęście trzymałem się mocno, a poza tym opadłem kroczeniem na linę i zawisłem, majtając nogami. Bolało jak diabli, ale lepsze to niż pełna głazów rwąca rzeka. Jakoś wróciłem na start. I gdy stałem tam, masując swoje obite przyrodzenie, pojawił się wędkarz, który, jak gdyby nigdy nic, wszedł na mostek i raz dwa przeszedł na drugą stronę. To był miejscowy, który wiedział, że stopy trzeba stawiać nie na środku mostka, tylko w miejscu połączenia liny z listwą. Mądry Polak po Szkocie! Po szkodzie... Mądry Polak po Gruzinie.

Do miasta wracałem powoli z wiadomego względu. Próbowałem nawet dla pocieszenia ułożyć wierszyk pod rozbudowanym tytułem *Artur Zygmuntowicz próbuje być Indianą Jonesem*, ale wychodziły mi jedynie pojedyncze zdania, które nie trzymały się kupy, takie jak „W Motsameta przy klasztorze, każdy jądra stracić może” czy „Gdzieś w powiecie Kutaisi, nad przepaścią Zygmunt wisi”. Na ogół jednak tekst wychodził w formie pogardzanego ośmiozłogowca, więc odpuściłem z powodu braku talentu.

Po drodze mijały mnie kolejne busiki z turystami, których wozi się tu najpierw do Motsamety, a potem do Gelati dla eskalacji emocji – najpierw skromniejszy obiekt, potem strzał z grubej rury. W centrum, koło stacji kolejki linowej, można wykupić przejazd i albo udać się do klasztorów,

albo do dwóch kanionów dostępnych w okolicy (tłok, ale warto!!!) i do jaskiń (jaskinie też tu mają, a co!). W oba te miejsca jeżdżą regularne już linie. Jak komuś się nie chce kombinować z tańszym transportem, to wsiada w busik i szlus. Pięknie, bo jest wybór. Ja wracałem z Motsamety pieszo, ale szło mi się ciężko po kontakcie klejnotów ze stalową liną, a poza tym skończyła mi się woda.

Pod klasztorem stali jedynie sprzedawcy pamiątek i dewocjonaliów, a słońce operowało z największą mocą. Na szczęście po prawej stronie, bardzo blisko głównej drogi do miasta, ktoś mieszkał. Brama była otwarta, a w wysokim podpiwniczeniu przez poprzeczne okno przebijał się widok butelek i słoików. Wyglądało to na sklepik albo na bar. Obok stały dwa drewniane, zadaszone stoły. Podeszedłem bliżej i niestety, nie był to sklep ani bar, tylko okno w czymś, co przypominało nasze krajowe letnie kuchnie. Zawróciłem na pięcie zawiedziony, ale gospodarz wypatrzył mnie przez okno i zapytał, w czym może pomóc. Poprosiłem o wodę i zostałem zaproszony do środka. W kuchni siedzieli jeszcze dwaj panowie i wszyscy z gospodarzem byli już lekko wstawieni, mimo że było dopiero południe. Pili mocno schłodzone, białe wino i oczywiście, oprócz wody, dostałem szklaneczkę tego trunku. Potem drugą, na drugą nóżkę. Potem jeden z panów wyjaśnił mi, że chrześcijanin nie pije mniej niż trzy, bo dobry Bóg występuje w trzech osobach. Przynajmniej ich Bóg. Wypiłem, jednocześnie gryząc się w język, żeby nie nawiązywać do dwunastu apostołów i nawróconych w Dniu Pięćdziesiątnicy, których było chyba trzy tysiące. Pogadaliśmy chwilę, po czym wykręciłem się zmyśloną godziną spotkania i poszedłem dalej, ciesząc się, że nie wspomniałem o Indiach, w których mają jakieś sto milionów bogów. Z głównej drogi zabrał mnie pan eleganckim autem wartości domu i zapowiedział, że kiedyś Polskę odwiedzi. Zostawiłem mu nawet namiary na siebie.

Było dość wcześnie, więc przebrałem się w pokoju i ruszyłem na poszukiwanie basenu, żeby się schłodzić. Niestety był zajęty przez trenujących sportowców na najbliższe kilka godzin, zatem skończyło się na samej wizji moczenia zadka w chłodnej wodzie. Według biura informacji, w całym Kutaisi jest tylko jeden basen.

Wieczorem nie mogłem zasnąć. Głowa huczała od myśli. Było koło dwudziestej drugiej, gdy wyszedłem na ulicę. Kupiłem czeskie piwo w małym sklepiku i usiadłem pod murkiem, parę metrów od grupy Gruzinów, którzy namiętnie dyskutowali, żuli pestki słonecznika i rozpijali

coś wesołego. Uruchamiałem wyobraźnię. Dom, w którym dostałem wodę i wino, był genialnie położony. Ci, którzy pieszo wędrują z miasta do Motsamety, a jest ich coraz więcej, idą w przekonaniu, że przy klasztorze musi być choć mały sklepik z lodami czy napojami. Kiedyś coś tam było, stoi nawet budka, ale teraz jest zamknięta. W drodze powrotnej każdy chętnie zatrzymałby się pod sklepem, tym bardziej, że podwórze było spore, zacienione drzewami, a oprócz tego stały na nim gotowe stoły. Nic, tylko otworzyć mały sklepik, chociażby tylko na sezon. Polak by nie przepuścił możliwości zarobku. Oczywiście poza euro posłanką Bieńkowską, która jak wiadomo nad groszem się nie pochyli... Lody, woda, piwo, jakieś przekąski... Czy Gruzini nie widzą tej okazji? Dom nie wyglądał na zamożny, w południe już było zrobione winko... Zgoda, to ich styl życia i nic mi do tego, ale sympatyczny gospodarz, facet mniej więcej w moim wieku, miał konkretne braki w uzębieniu, a zęby wstawia się za pieniądze. Za pieniądze, które tu można by zarobić. Grzech nie spróbować.

Kiedy tak snułem wizję stworzenia małego sklepiku na trasie do Motsamety, jeden z diskutujących nieopodal podszedł do mnie z klasycznym pytaniem, skąd jestem. Déjà vu.

## ĆWICZENIA Z WYOBRAŹNI

Można żyć, nie bawiąc się w porównania. Ja jednak nie potrafię. Gdzie bym się nie znalazł, będę porównywał odwiedzane miejsca do Polski. Plusy dodatnie i plusy ujemne, jak mawiał słynny elektryk i noblista. W Kazbegi byłem w aptece, która nie miałaby szans w starciu z naszymi urzędami z Nadzoru Farmaceutycznego. Kazaliby zamknąć. A że ludzie nie mieliby gdzie kupić leków? A kogo to by obchodziło? Łukasz Piątek, kumpel ze starej branży, wrócił do zawodu i zatrudnił się jako masażysta oraz rehabilitant. Zainteresowanie miał tak duże, że postanowił pójść na swoje. Wziął na kredyt mieszkanie na parterze, z balkonu wyprowadził schody z podjazdem dla ludzi na wózkach. Zainwestował sporo, dostosował lokal do działalności. Nie dostał jednak zgody na działalność, bo zabrakło pół centymetra od podłogi do sufitu w jednym z pomieszczeń. Pani urzędniczka zarekomendowała skucie podłóg i wymianę kafli na cieńsze. Łukasz się wkurzył, wyrzucił babę za drzwi, lokal wynajął na gabinet fryzjersko-kosmetyczny, a sam wyjechał do Irlandii. Zapisy chętnych ma na trzy miesiące do przodu. Przyjmuje w lokalu, który przejął po solarium. Jakiś urzędnik przyszedł, popatrzył tylko, czy sufit na spadnie pacjentom na łeb i poszedł sobie. Pełen luz. A przecież to też Unia.

A tu w Gruzji? Tu taką urzędniczkę by ludzie związali i wrzucili do rzeki. I słusznie. Jeszcze bym im pomógł sukę utopić. Chłopak wydał ponad sto pięćdziesiąt tysięcy na dostosowanie lokalu, nie licząc kosztu zakupu... I wszystko stracone przez jeden nieistotny parametr. Gdyby w Gruzji też takie przepisy były – a nie ma, na szczęście – urzędnik by na coś takiego przymknął oko, udał, że nie zauważył. Bo to nie jedynie sprawa regulacji, ale też mentalności. Wolność i rozsądek idą w parze, tak jak mentalność niewolnika i głupota. Łatwo to udowodnić na przykładzie.

W okolicach Wisły, Skoczowa i Ustronia urzędnik instytucji kontrolnej zwróci uwagę na sprawy istotne, a resztę oleje, bo wie, że bzdury to bzdury, a ludziom prowadzącym biznes trzeba dać żyć, bo pracują na podatki, z których i on się utrzymuje. W tej samej instytucji kontroler wrocławski czy warszawski będzie się czepiał najmniejszej pierdoły i zatruwał przedsiębiorcy życie. Nie wymyśliłem tego, znam małżeństwo mające biznes gastronomiczny w kilku regionach Polski i to są ich opowieści... Takie to myśli chodzą po głowie podczas podróży. Nie tylko wrażenia

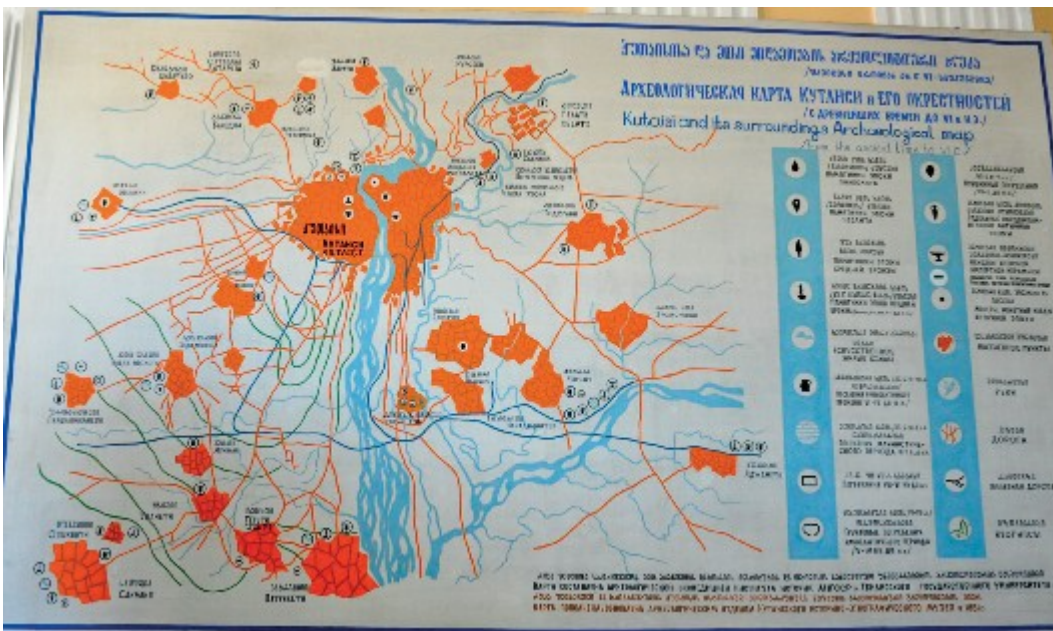
z oglądania pięknych krajobrazów, lecz również ciągle ćwiczenia z wyobraźni. I co ona podpowiada? Że byśmy byli w innym miejscu, gdyby odrobinę gruzińskich uwarunkowań przenieść na nasz grunt, ale nie tylko brak ograniczeń w działalności, ale też coś z ich mentalności – otwartość na ludzi, gościnność i odruchową chęć niesienia pomocy, która mogłaby pomóc w rozluźnieniu naszych spiętych tyłków. W drugą stronę to samo – im przydałaby się nasza kreatywność, zdolność kombinowania i umiejętność maszerowania pod wiatr, a także zdolność korzystania z dostępnych, chociażby skromnych zasobów. Też by na tym skorzystali, gdyby część swojej energii przeznaczyli na coś innego niż dotąd. I nic by ze swojej wyjątkowości nie stracili. Gdy podzieliłem się tym spostrzeżeniem z Niną, która od lat mieszka we Wrocławiu, zgodziła się ze mną i dodała, że przydałoby się jeszcze, żeby jakaś zaraza wytlukła Ruskich. No tak, o tym szczególnie zapomniałem...

Dosyć już tego sprawozdania z Gruzji. Czy jest warta wizyty? Ledwo ją liznąłem i za mało ją znam, żeby się wymądrzać, ale zapewniam z czystym sumieniem – wrażenia i emocje gwarantowane. Pomijam przyrodę, zabytki, twierdze i miasteczka, bo to sprawy oczywiste i trzeba lat, aby wszystko poznać, ale jeśli ktoś szuka przygody, to tu ją znajdzie. Na dobrą sprawę wystarczy tam lecieć i oddać się przypadkowi. Wydarzy się więcej niż gdzie indziej. Na bank. Dlatego jest to miejsce tak fascynujące i ciekawsze od wszystkich innych, do których można dolecieć z Polski w trzy godziny. Słodkiego smaku jest tu więcej, mimo że gorzki też się przebija. No, ale gdzie jest inaczej? Chyba jedynie na San Escobar. Tam się jednak nie wybieram, bo w szufladzie czeka kolejny bilet do Sakartwelo. Wyjdę z samolotu, przejdę do kontroli dokumentów i grzecznie ukłonię się miejscowej straży granicznej.

– Gamardzoba!



Drewniane rzeźbione drzwi, które przetrwały tysiąc lat. Muzeum Historyczne w Kutaisi.



Ilość stanowisk archeologicznych wokół Kutaisi może robić wrażenie, mimo że ich mapa nie jest aktualizowana.



Uwieczniona w brązie erekcja – oto nie wykorzystany marketingowo symbol miasta.  
Muzeum Historyczne w Kutaisi.





Kutaisi – miasto do remontu.



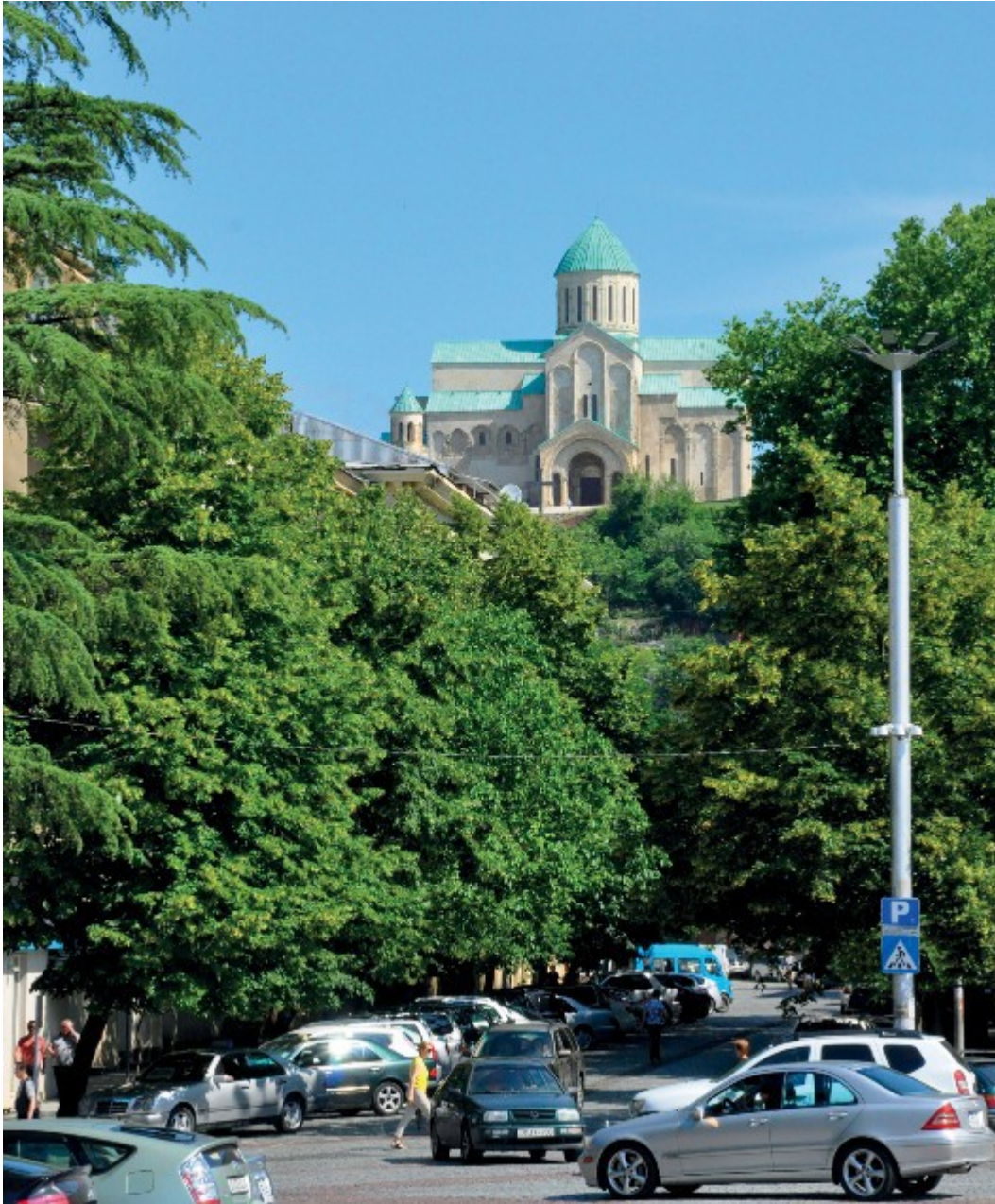
Plątanina rur, kabli, przewodów i innych patentów.  
Wbrew pozorom wszystko działa i miejscowi wiedzą, co i jak!



Złote wisiory z IV wieku przed naszą erą posłużyły jako główny motyw kutaiskiej fontanny. W tbiliskim Muzeum Narodowym znajdują się pozostałe oryginały, które posłużyły za wzór.



Grill lub greel – co za różnica? Ważne, że wiadomo, z czym mamy do czynienia!



Bagrati najlepiej prezentuje się z oddali. Z bliska widać pseudo miedziany dach, nowoczesne okna i inne przejawy radosnej twórczości.



Bagrati w trakcie remontu. Jeszcze pod patronatem UNESCO.



Widoczna po lewej stronie katedry współczesna, metalowo-szklana plomba to jedynie zapowiedź tego co turysta zobaczy w środku.



Dewocjona i pamiątki obok jednego z najważniejszych miejsc w Gruzji – klasztoru Gelati z grobem króla numer jeden – Dawida Budowniczego.



Freski we wnętrzu Gelati.



Gelati



Dopiero po przyjechaniu na miejsce zauważyłem, że moja marszrutka wiozła nie tylko ludzi.



Diabelski młyn w Batumi. Co jest „diabelskiego” w powoli kręcącym się kole?



Po latach komunistycznej sztampy architekci mogą w końcu poszaleć.





Obok siebie żyją w zgodzie dwa światy – resztki po socjalistycznej architekturze i niczym nie ograniczone fantazje współczesnych architektów.



Jakby komuś było mało karuzeli i diabelskich młynów, to w tym wieżowcu czekają gondole z daleka przypominające złoty zegar.



Warunki drogowe plus specyficzne podejście do środków transportu to najlepsza mieszanka dla szukających adrenaliny.



Twierdza Ananuri warta jest oddzielnej wycieczki, ale w praktyce jest odhaczana po drodze do Stepancminy.



Jeden z najczęściej fotografowanych widoków w Gruzji. Kazbek i klasztor Cmind Sameba.



Okolice Kazbegi. W całej Gruzji takich widoków są tysiące.



Grill Arczego, pod którym biegnie biała plastikowa rurka z gazem.  
Jak mówią saperzy – bombowy pomysł!



Od urwiska dzielą nas centymetry, ale Arczi zna drogę i nie tracąc czasu, wysyła esemesy.



Klasztor żeński w dolinie Truso.



Ruiny twierdzy Zakagori w Dolinie Truso.



Tylko dwóch ludzi mieszka w tej opuszczonej wsi w Dolinie Truso. Sprzedają ser i czaczę, a przemoczonym dają możliwość osuszenia się przy piecu.





Western czy dreszczowiec? Dolina Truso i okolice to gotowy filmowy plener.



W tak pięknych okolicznościach przyrody można polatać za konkretne pieniądze, piętnaście minut w cenie biletu lotniczego na trasie Polska – Gruzja i z powrotem.



Kuchnia to domena kobiet, ale wyjątkiem jest szaszyk. Arczi w akcji.



Autor w konfrontacji z czaczą pitą z małego rogu i Arczi dumny z szaszłyków.



Oto najlepszy dowód na to, że czacza nie jest trunkiem dla wszystkich.



Platforma widokowa, a w pobliżu Pomnik Przyjaźni Gruzji-Radzieckiej. Niestety z czasem ją rozbiorą lub wyremontują i będzie po atrakcji.



Gdyby nie ten patent z butelką, woda tryskałaby w górę jak nasienie Portnoya.



Wejście do apteki w Kazbegi Zdjęcie ze specjalną dedykacją dla Nadzoru Farmaceutycznego w Polsce.



Jak jest okazja albo ochota, to miejsce biesiady przestaje mieć znaczenie. Można bezpośrednio przy ulicy.



Najpopularniejsze auto do obsługi turystów.



Motyw uczyty pojawia się w twórczości Niko Pirosmanaszwiliego bardzo często, co jest zrozumiałe, bo jemu samemu się nie przelewało.



Trudno się dziwić, że tyle tu się biesiaduje – wszystko jest smaczne!







Dworzec Didube i kantor na kantonze.



Fryzjer na dworcu Didube.



Oblicza Tbilisi.



Księgarnia, w której można kupić wino. Zacne połączenie!



Chałupa „Bidusia”. Jak widać gust nie musi iść w parze z zamożnością.



Auta Tbilisi. Jedni powiedzą – stare rzęchy, inni – klasyki z epoki.



Skrzynki na datki świadczące o pomysłowości miejscowych duchownych są dosłownie wszędzie. I okradane są niezwykle rzadko lub wcale.



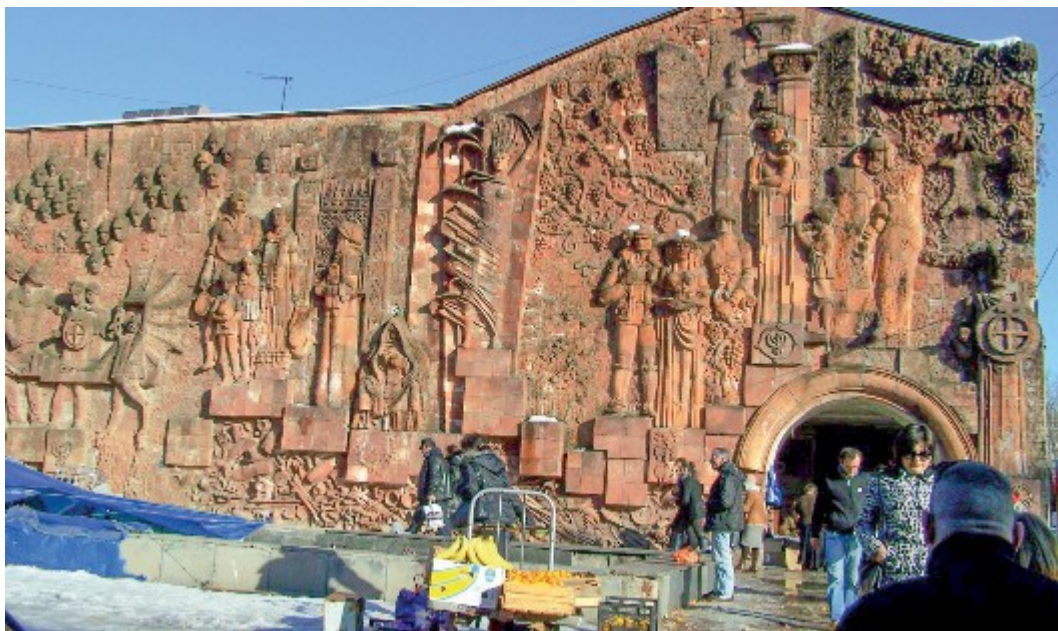
Czyściciel obuwia, inaczej pucybut. To nie tylko usługodawca. To ktoś jak fryzjer, kto zna teren, miejscowe plotki i jak trzeba, zamienia się w psychoterapeutę.



Motsameta



Chcesz zostać Indianą Jonesem? Zejdź na dół ścieżką po prawej stronie od wejścia przy klasztorze Motsameta.



Bernard Niebieridze, *Kolchida*.





Tbilisi. Artysta uliczny.



Jedna z rzeźb Zuraba Cereteli.



Zurab Cereteli i jego klienci.



Poranieni wojownicy do niedawna rezydowali w stolicy, ale w Gori robią większe wrażenie.



Stalin był dobry – wspomina starszy pan sprzedający przed muzeum zapalki i magnesy z wizerunkiem najśłynniejszego Gruzina.



Wolność słowa i obrazu. Pamiątki ze zdjęciami Józia Słoneczko dostępne w muzeum w Gori.



Zaplecze zakładu fotograficznego. Ze starymi figurami nikt już nie robi sobie zdjęć, ale właściciel nie potrafi się ich pozbyć, bo przypominają mu czasu świetności.



Czaszki hominidów w Muzeum Narodowym. Miejsce nie tylko dla naukowców – miłośnicy makabry nie będą zawiedzeni!



Złoto, złoto i jeszcze raz złoto – skarbiec w Muzeum Narodowym.



Tbiliskie knajpy pełne są Rosjan, którym nie przeszkadzają tego typu widoki. Gruzini muszą stosować dwumyślenie – nienawidzą Rosjan za okupację i cenią ich za przywożone pieniądze.



Prezenty z Polski. Jeden wykonany byle jak, drugi trzymi fason.





Najsłynniejszy Gruzin Józiek Słoneczko. Przed muzeum w Gori.



Jeden z gruzińskich sportów narodowych – upychanie ludzi w busie.



Mleko, wypieki, jakieś drobiazgi czy usługa ważenia przechodniów. Bez narzekania czy czekania na zasiłek. I jak ich nie lubić?



Bazar otoczony jest wianuszkami pojedynczych sprzedających.



Lomisoba



Zazwyczaj gotują tu kobiety. Ale są wyjątki, taki jak ten podczas święta.



Lomisoba

## BIBLIOGRAFIA

- David Marshall Lang, *Dawna Gruzja*, PIW 1972.
- Anna Dziewitt-Meller, Marcin Meller, *Gaumardzos. Opowieści z Gruzji*, Świat Książki 2011.
- Szota Rustaweli, *Rycerz w tygryziej skórze*, Wydawnictwo Literackie 1983.
- George James Frazer, *Złota gałąź. Studia z magii i religii*, Etiuda 2012.
- Wojciech Górecki, *Abchazja*, Wydawnictwo Czarne 2013.
- Zygmunt Kałużyński, *Pamiętnik Orchidei*, Latarnik 2003.
- Wojciech Materski, *Gruzja*, Trio 2000.
- Marcel van Herpen, *Wojny Putina: Czeczenia, Gruzja, Ukraina 2014*, Prószyński Media 2014.
- Bohdan Baranowski, *Historia Gruzji*, Ossolineum 1987.
- Maria Ossowska, *Socjologia moralności: zarys zagadnień*, PWN 2014.
- Małgorzata Budyta-Burzyńska, *Socjologia narodu i konfliktów etnicznych*, PWN 2013.
- Marcin Sawicki, *Pestki winorośli i trzy jabłka: reportaże z podróży do Gruzji i Armenii*, Fundacja Sąsiedzi 2014.
- Tomasz Grzywaczewski, *Granice marzeń. O państwach nieuznawanych*, Wydawnictwo Czarne 2018.
- Maciej Jastrzębski, *Klątwa gruzińskiego tortu*, Helion 2014.
- Praca zbiorowa, *Seksualność dziecka. Co każdy rodzic wiedzieć powinien: rozwój psychoseksualny dziecka od urodzenia do dwunastego roku życia*, Bauer-Weltbild 2008.

*Dziękuję medycynie za leki wspomagające wątrobę. Dziękuję wszystkim, którzy mnie gościli w Gruzji i mną się zajmowali, ze szczególnym uwzględnieniem Marcina Rogalskiego i jego współpracownic. Dziękuję Celinie Wasilewskiej i Emilii Małys za zdjęcia i gruzińskie opowieści. Dziękuję Polakom mieszkającym w Gruzji i Gruzinom mieszkającym w Polsce za cierpliwe odpowiadanie na moje pytania i komentarze do (nie zawsze trzeźwych) obserwacji. Dziękuję ekipie STAPIS-u za pracę przy kolejnej książce. Jeśli kogoś pominąłem, niech mnie piorun trzaśnie i oczko wodne wyschnie.*

***Artur Zygmuntowicz***



Festiwal Cywilizacji i Sztuki Mediów  
Odkrywców i Podróżników

[www.mediatravel.pl](http://www.mediatravel.pl)



**MEDIATRavel**

Pod patronatem honorowym:  
Prof. Piotra Glińskiego - Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Nagroda im. Stanisława Szware-Bronikowskiego  
w Konkursie "Książka Podróżnicza Roku"

Nagroda

dla

**Artura Zyguntowicza**

za książkę

**„Białoruś imperium kontrastów”**

W imieniu Jury:

Tomasz Grzywaczewski, Agata Kosmalka, Piotr Makos, Mirosław Olszycki

Łódź, 06.10.2018 r.

*Podczas wizyty w Gruzji korzystałem z pomocy firmy Georgia Adventure Club, organizującej wyprawy po Gruzji, a po powrocie do kraju korzystałem z pomocy Celiny Wasilewskiej, prowadzącej Peter's Guest House. Odczytanie tych kodów QR da Wam więcej informacji o ich ofercie, a ja ich usługi serdecznie polecam.*

